NR 15 (1061) ROK XXI 9 KWIETNIA 1978 R. CENA 3 ZŁ

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

W NUMERZE: Proza Ewy Ostrowskiej i Ludwika Gebla ■ Adam Lewaszkiewicz o fałszerstwach filatelistycznych ■ Wiersze młodych poetów ■ Reportaże Feliksa Bąbola i Ryszarda Binkowskiego ■ Wędrówki zimą i latem Edwarda Szustra ■ Magazyn kulturalny

RYSZARD BINKOWSKI

WSZYSTKO w KOLORZE BLUE

1.

Przemierzając w kilku kierunkach województwo miejskie łódzkie, widzę z okien samochodu, jak odgórne zarządzenia w rodzaju „akcja strzechy", nowoczesność, snobizm i biegnący w szaleńczym tempie czas ujednolicają krajobraz. Znikły strzechy, wyrąbano wierzby i brzozy, rozwalono rudery, pejzaż przesłonięto szarym eternitem, a pozostałe pod miastem szczątki krzewów i zagajników sprytni i bezczelni kierowcy ciężarówek przysypali śmieciami i złomem.

Gdzie się nie obejrzysz, wszędzie bije w oczy nowoczesna, propagowana na wielką skalę, architektura przydrożna.

Wejdziesz w teren pagórkowaty, bunkry z płaskim dachem, oddzielone od drogi pordzewiałą siatką na betonowej podmurówce.

Przemierzasz obszar nizinny — piętrowe kamienice z mażniętymi jaskrem loggiami, albo całe w kolorze bahama yellow.

Wkraczasz na przestrzeń otwartą: bliźniacze domy, stodoły i obory z silikatu albo szorstkich, ordynarnych pustaków.

Dalszy ciąg na str. 8

FELIKS BĄBOL

MIASTECZKO NA SZLAKU

W budynku klasztornym kamedułów zakonnice nieprzerwanie odmawiają różaniec, odcięte od świata i stracone dla społeczeństwa, tutaj, gdzie teraz siedzę z sekretarzem biura urzędu i gminy MARIANEM MAGDĄ, był kiedyś areszt gminny. Pozostały po nim wspomnienia i zacieki na ścianie, jakiś nastrój osobliwy. Biurka zapełnione są papierami i aktami, na ścianie lśni biały plastykowy orzeł, na szafie leży zakurzony, mało używany dziurkacz, bo akt tu nikt nie spina, gdyż wiele spraw załatwia się od ręki, albo nie załatwia się wcale, gdy wynikają trudności nie do pokonania.

Dalszy ciąg na str. 9

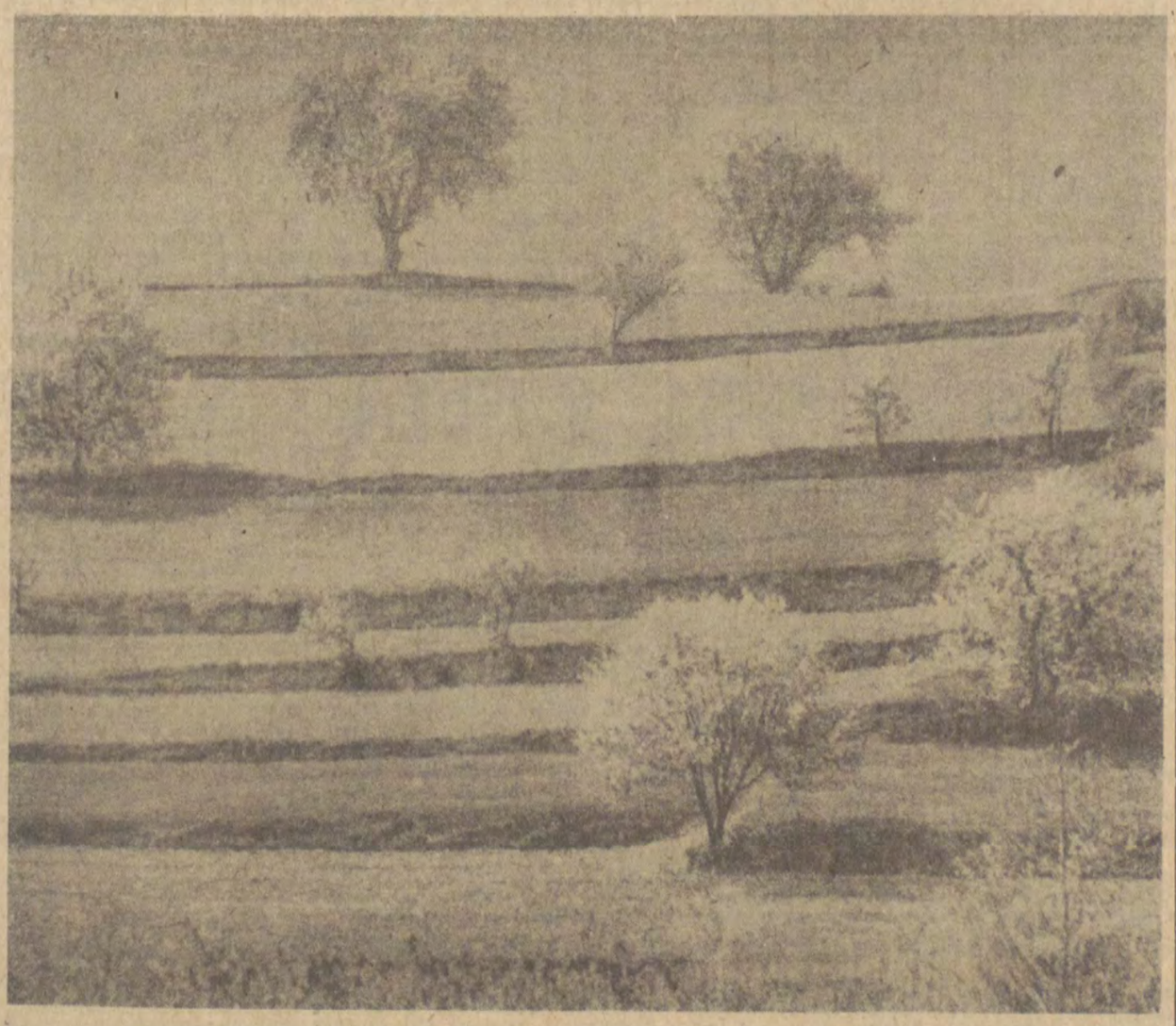

Foto: Archiwum

CZY PAŃSTWO LUBIĄ MLECZKĘ?

MAREK MILLER — Gdyby się nasze role odwróciły, o co by pan zapytał?

ANDRZEJ MLECZKO — Na swoje pytania odpowiadam sobie we własnym zakresie.

— Efekt tej rozmowy zależy jednak od tego, co pan powie.

— Bardziej od tego, o co pan zapyta. Dobry wywiad zależy nie tyle od odpowiadającego, ile od dziennikarza i kiedy on jest dobry, to i wywiad jest dobry. Akurat miałem pecha do nienadzwyczajnych.

— O co pytali najczęściej?

— „Skąd pan bierze pomysły do swoich rysunków" — to stałe pytanie, które musi paść na samym początku.

— Więc skąd pan bierze?

— Wiedziałem, że tak będzie! Ale ja naprawdę nie wiem.

— To niech pan coś wymyśli.

— Jest to... umiejętność, którą naprawdę trudno mi tu przeanalizować...

— Skąd u pana tak oszałamiająca wydajność: „Student", „Polityka", „Przekrój", „Miesięcznik Literacki", „ITD", itd ?

— Potrzeba mi po prostu dużo pieniędzy. Ale tak na serio to zajmuje mi to kilka godzin dziennie. Muszę sobie dać teraz więcej luzu, żeby nie zwariować. Mam już trochę dosyć.

— Gdyby jedna redakcja zaoferowała panu odpowiednią ilość gotówki, czy zgodziłby się pan pracować tylko dla niej?

Dalszy ciąg na str. 6

ŻYCZENIA JUBILEUSZOWE

Nieco spóźnione, ale bardzo szczere gratulacje z okazji dwudziestolecia istnienia „Odgłosów". Żadne pismo w Łodzi nie utrzymywało się przy życiu tak długo. Jest to sukces bezsporny. Tylko tak dalej.

Jan Koprowski — były odgłosowiec

Z okazji jubileuszu „Odgłosów" wierni czytelnicy — nauczyciele przesyłają całej Redakcji i osobiście Naczelnemu szczere życzenia satysfakcji z pracy, nowych rzesz czytelników, nieustającego wzrostu poziomu literackiego, coraz ciekawszych tematów i nowych znakomitych piór.

Zgłaszamy także gotowość dalszej współpracy nauczycieli-pisarzy z gronem redakcyjnym „Odgłosów".

Wszystkim wszystkiego najlepszego!

Z największym poważaniem w imieniu kolegów nauczycieli
Kierownik Klubu Nauczyciela
mgr Michał Dalecki

Z okazji jubileuszu 20-lecia „Odgłosów" składamy całemu Zespołowi Redakcyjnemu najserdeczniejsze gratulacje za wartościowe i interesujące artykuły ukazujące się na łamach Waszego Pisma, niejednokrotnie wykorzystywane w naszej pracy szkolnej.

Życzymy równocześnie dalszych wspaniałych skucesów w pracy publicystycznej i pomyślności w życiu osobistym.

Dyrektor I Liceum Ogólnokształc.
im. Jarosława Dąbrowskiego
w Tomaszowie Maz.
mgr Tadeusz Kawka

Z okazji 20-lecia przesyłam ze Złotowszczyzny życzenia wielu sukcesów i wszelkiej pomyślności

Eugeniusz Foerster

OD REDAKCJI: Serdecznie dziękujemy za przesłane życzenia.

SEN NOCY LISTOPADOWEJ

Piszę te słowa bezpośrednio po obejrzeniu „Nocy listopadowej" Wyspiańskiego — Wajdy, z myślami i odczuciami jeszcze rozkołysanymi spektaklem. Stąd może brać się pewne niewyważenie sądów, które przynosi dopiero większy dystans czasowy.

Byłem w 1974 roku w Teatrze Starym w Krakowie na legendarnym już dziś przedstawieniu Wajdy, zrealizowanym w siedemdziesięciolecie napisania „Nocy listopadowej". Inscenizacja telewizyjna była swoistym przeniesieniem czy adaptacją tego właśnie spektaklu. Towarzyszył Wajdzie w jego przygotowaniu ten sam zespół współpracowników, niewielkim zmianom uległa obsada aktorska (np. novum w stosunku do widowiska scenicznego stanowiło powierzenie roli Lelewela Romanowi Stankiewiczowi). Nie zmieniło się zasadniczo odczytanie dramatu przez reżysera. Uciekł się on jednak do generalnego zabiegu, który materię spektaklu teatralnego przekształcił w nową jakość: przeniósł sceny dramatu nie w blankietowe warunki studia telewizyjnego, w które wpisać można każdą treść i formę, ale w oryginalne tło historyczne wydarzeń, do parku i pałacu łazienkowskiego, do budynku szkoły podchorążych, pod pomnik Jana Sobieskiego, do teatru na wyspie, na Nowy Świat i w zaułki staromiejskie, na podworzec Belwederu.

Prowadziło to do różnorodnych implikacji. Koncepcja dramatu Wyspiańskiego wyrosła w pewnej mierze z wrażeń, jakie zainspirowały poetę, gdy w 1898 roku zwiedzał Warszawę, stykając się z autentyczną scenerią nocy listopadowej. W plastycznej wyobraźni Wyspiańskiego gąszcz parku łazienkowskiego zaludnił się ewokowanymi z przeszłości postaciami. Cienie Wysockiego, Nabielaka, podchorążych podjęły znowu swój marsz na Belweder i na arsenał. Ale to ożywienie zmarłych nie wystarczało wielkiemu wizjonerowi, rozmiłowanemu w antyku i stale poszukującemu analogii losów swojego narodu z wymiarem dziejów starożytnej Hellady. Patos zrywu powstańczego ujął Wyspiański w mistyczną bordiurę, którą zaludnił postaciami bogów i herosów mitologicznych, podpowiedzianych mu częściowo przez posągi zdobiące park łazienkowski.

Wajda dokonał po latach swoistego powtórzenia owych migotliwych majaczeń zrodzonych w umyśle Wyspiańskiego. On także wypełnił aleje parku i wnętrza pałacowe historycznymi postaciami, bohaterami nocy na 29 listopada 1830 roku. Zrekonstruował w ten sposób rzeczywiste wydarzenia, ale równocześnie odtworzył procesy zachodzące w wyobraźni Wyspiańskiego w 1898 roku. Właśnie telewizja, nie scena teatru, dała Wajdzie pełną szansę podwójnego odniesienia do przeszłości. Mistyczna obudowa tworzy u Wyspiańskiego w stosunku do wydarzeń historycznych odrębny plan. Ale plan realistyczny i ten nierzeczywisty, metaforyczny przecinają się i zazębiają o siebie. Na scenie teatralnej Pallas Atena, Demeter, Kora, czy Charon ocierają się o realne postacie w sposób raczej dosłowny. Jak bowiem odebrać aktorom czy aktorkom cielesność, fizyczną obecność. W realizacji telewizyjnej świat mityczny ukazywany jest na „półmiksie", rozrzedzony, skontrastowany z ostrym konturem, jakim obrysowane są rzeczywiste postaci. To wyraźnie pozwala rozróżniać to co należy do świata konkretu i to co rodem z mistycznej wyobraźni, nawet wtedy gdy przedstawiciele tych dwóch planów wiodą ze sobą dialog.

Nie umiem na gorąco ocenić telewizyjnej „Nocy listopadowej" we wszystkich jej aspektach. Gruntowniejsza jej analiza wykazałaby być może, że spektakl nie jest bezbłędny, że przedłuża pewne pęknięcia, niejednorodności, a nawet naiwności tkwiące w samym oryginale dramatu. Jestem jednak głęboko przekonany, że na tle naszej telewizyjnej codzienności, prezentowanych nam schematów realizacyjnych i „grzecznych" konwencji — widowisko Wajdy rozbłysło światłem niezwyczajnym, stanowiło jakościową innowację, swego rodzaju święto na szklanym ekranie

Osobnego prześledzenia wymagałyby akcenty współczesnej interpretacji dramatu Wyspiańskiego przez Wajdę, przepuszczonej przez filtr narodowych doświadczeń, o które bogatsi jesteśmy od poety. Dotyczy to większego sceptycyzmu w ocenie zrywu powstańczego, którym Wyspiański wydawał się zafascynowany w stopniu utrudniającym realistyczną ocenę i pragmatyczny krytycyzm. Razem z kompozytorem Zygmuntem Koniecznym i scenografem Krystyną Zachwatowicz uniknął Wajda niewątpliwych śmieszności, jakich w poetyckim zapamiętaniu Wyspiańskiego dopatrzeć się może widz współczesny. Reżyser dokonał tego, o dziwo, nie przez odrzucenie patosu, ale drogą nasycania go i potęgowania aż po misterny sztafaż operowy.

Dla widza szukającego w telewizji wyłącznie rozrywki nie było to widowisko łatwe w odbiorze, sądzę jednak, że każdy przynajmniej w części uległ urokowi tego feerycznego snu nocy listopadowej.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

PRZED WALNYM ZJAZDEM ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

W 13 numerze zamieściliśmy wypowiedzi delegatów łódzkiego środowiska pisarskiego w związku ze zbliżającym się Zjazdem ZLP w Katowicach. Dziś drukujemy kolejną wypowiedź delegata na Zjazd ZLP — J. M. KONONOWICZA — przepraszając Autora za opóźnienie w publikacji.

Po raz dwudziesty grono pisarzy będzie mówić o sprawach literatury, a więc w konsekwencji o podstawowych kwestiach polskiego życia. Nie ma bowiem dla prawdziwej literatury rzeczy jej nie obchodzących. Im bardziej jest literaturą godną tego miana, tym szersze ma pole obserwacji, tym bardziej stara się zgłębić istotę rzeczy, tym lepiej zrozumieć sens istnienia zarówno indywidualnego, jak i społecznego, tym wnikliwiej, surowiej, ale i rozważniej wymierzać — jak mówił Conrad — sprawiedliwość widzialnemu światu.

Tak też chyba trzeba widzieć i cel Zjazdu w Katowicach. Nie o to przecież chodzi, by raz jeszcze zastanawiać się nad położeniem materialnym pisarzy — które, notabene, bynajmniej nie jest tak dobre, jak to się zdaje niektórym ludziom, stojącym daleko od tych spraw — nad ich ubezpieczeniem chorobowym i rentami, choć są to niewątpliwie sprawy nadzwyczaj ważne. I nie pytanie, jak pisać może stanowić przedmiot narad grona piszących. To każdy biorący się do pióra musi rozwiązać sam i we własny sposób. Wszelkie próby tworzenia w tym zakresie jakichś norm obowiązujących powszechnie, zawsze kończą się żałośnie. Po prostu przestaje istnieć literatura. Mieliśmy tego przykłady nawet w naszej niedawnej przeszłości. Jest tyle sposobów pisania, ilu pisarzy.

Także i jednolity punkt widzenia twórców na rzeczywistość pozaliteracką jest niemądrą mrzonką. I tu oryginalność spojrzenia, dostrzeganie przez innych pomijanych światów, wreszcie znalezienie sensu zdarzeń, którego nikt inny nie umiał się dopatrzeć, jest nie tylko prawem, ale wręcz obowiązkiem pisarza. Czy inaczej postępowali najwięksi — Prus, Sienkiewicz, Żeromski, Dąbrowska? Dziesiątki i setki tysięcy ludzi odwiedzało Łódź, mieszkało w niej i pracowało, ale jeden tylko Reymont umiał zobaczyć w niej „ziemię obiecaną" i jeden tylko Tuwim w zupełnie inny sposób uwiecznił ją w „Kwiatach polskich". Właśnie dlatego, że byli wielkimi pisarzami i mieli swój własny punkt widzenia i swój własny sposób obrazowania i wyrażania rzeczywistości.

Jeśli więc nie o „uzgadnianie postaw" ma chodzić na Zjeździe, ani o sprawy warsztatowe, to co powinno być głównym przedmiotem jego obrad? Oczywiście — troska o jak najlepsze, najwłaściwsze, „optymalne", jak to się modnie mówi, warunki dla powstawania i rozwoju literatury. A z tą sprawą nie jest dobrze. Wystarczy przejść się po księgarniach, by zobaczyć, że nowych książek jest o wiele za mało jak na 35 milionowy naród, wystarczy zajrzeć do Związku Literatów, by zorientować się, jak przesuwa się w górę wiek piszących. I to jest rzecz, która musi zastanowić każdego, komu nie są obojętne losy kultury narodowej, a już szczególnie każdemu piszącemu.

W istocie — jest jeszcze gorzej. Nawet wyrobieni i znani pisarze milczą, nawet debiutanci nie sięgają po ambitne tematy, choć było to zawsze przywilejem młodości. W ramach krótkiej wypowiedzi trudno analizować, dlaczego tak jest. Ale wydaje się, że tym właśnie przede wszystkim powinien się zająć Zjazd w Katowicach, a co więcej, że głos jego powinien być uważnie wysłuchany i wzięty pod uwagę. Nawet jeżeli komuś mowa i wymowa Zjazdu wyda się twarda. Nikt bowiem w sprawach literatury i kultury narodowej nie może się uważać za bardziej kompetentnego od samych twórców. A chodzi przecież o sprawę największą — o naszą tożsamość narodową, o nasze miejsce w kulturze Europy i świata, o to, co nasza generacja zdoła przekazać do twórczego kontynuowania następnym pokoleniom.

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

SZTUKA KTÓRA POWINNA ZROBIĆ KARIERĘ

Do teatru szliśmy nie wolni od nieufności, wychodzili — żywo dyskutując nad spektaklem, który stał się jedną z milszych niespodzianek chylącego się ku końcowi sezonu.

Nieufność brała się stąd, iż sam tytuł „Ogrodnik z Tuluzy", nic nikomu nie mówił, co i nie dziwne, jako że była to polska prapremiera utworu zupełnie świeżo przetłumaczonego przez **Jana Perza i Małgorzatę Maciejewską.** O wiele więcej mówiło nazwisko Georga Kaisera, czołowego przedstawiciela niemieckiego ekspresjonizmu, choć jego sztuki ze sceny mogło znać jedynie starsze pokolenie widzów, gdyż po II wojnie twórczość tej formacji pisarskiej już raczej grywana nie była. Słusznie, czy nie — nie będziemy próbowali rozstrzygać, zwłaszcza, że w „Ogrodniku z Tuluzy", może poza warstwą językową, śladów ekspresjonistycznej maniery doszukać się dosyć już trudno.

Sztuka — napisana w 1936 roku po ucieczce Kaisera z hitlerowskich Niemiec do Szwajcarii — jest po prostu doskonale skonstruowanym sensacyjnym dramatem (czy też sensacyjnym melodramatem, bo i tak można rzecz odebrać), w którym oszczędność użytych środków idzie o lepsze ze starannie przygotowaną, zaskakującą i posępną sceną finałową.

I to byłaby niespodzianka pierwsza: nie poznaliśmy Kaisera ekspresjonisty, poznaliśmy natomiast Kaisera mistrzowsko sprawnego dramaturga, który umie spełnić i ten nawet wymóg, że strzelba powieszona na wbitym w ścianę gwoździu powinna koniec końców wystrzelić. Wsłuchajcie się państwo w otwierające sztukę pogwarki ogrodnika o roślinkach wczepiających się korzeniami w ziemię, a potem mężnie przecierpcie raczej denerwującą scenę, w której to młody żonkoś koniecznie ence udawać konika i sam nakłada sobie na szyję postronek z łyka, wręczając jego końce małżonce... Właściwy dramat rozpocznie się wprawdzie dopiero wraz z wejściem agenta — pośrednika w wynajmie nieruchomości, czy poszukiwaniu pracy — mimo to każde niemal słowo z pozornie jałowej ekspozycji okaże się w końcu potrzebne, zostanie bezbłędnie wykorzystane.

Akcja, pełna meandrów i nagłych zwrotów, toczy się nie jako w dwóch kierunkach — z biegiem czasu i „pod prąd" czasu, jako, że w kolejnych spięciach poznajemy przeszłość bohaterów, oddziaływającą na ich dalsze postępowanie. Przypadek, który w małej posiadłości pod Tuluzą zderza byłą właścicielkę lunaparku z jej byłą pensjonariuszką, może się wprawdzie wydać mało prawdopodobny, raz jednak przyjawszy karkołomne założenie, całość rozgrywa Kaiser doprawdy po mistrzowsku. Walka dwóch kobiet o mężczyznę, miłość, zazdrość, zabójstwo wreszcie — wszystko to zostało wymieszane z iście aptekarską precyzją i przeprowadzone o całe niebo logiczniej niż w przeciętnej „Kobrze". Co czytelnik zechce przyjąć na słowo, sztuki bowiem nie będę streszczał, żałując po prostu tych wszystkich niespodzianek, które autor zechciał dla nas przygotować.

Odnotować jeszcze należy staranną, „wysmakowaną" realizację, ani nie przechyloną w stronę łzawego melodramatu, ani też nie doszukującą się w sztuce Kaisera nie istniejących zapewne głębi, w połączeniu z więcej niż poprawnym, dobrym i wyrównanym aktorstwem.

W wielu realizacjach **Teatru Ziemi Łódzkiej** trudności z zestawieniem w pełni utrafionej obsady, rzutowały niestety na ogólny poziom spektaklu, w tym przedstawieniu **Jan Perz** zdołał jednak skompletować właściwy kwartet wykonawców, prowadząc go dyskretnie, acz pewną i mocną ręką.

Z umiarkowaniem, prosto i na szczęście wcale nie łzawo — o co było tak okropnie łatwo — potraktowała rolę Janine **Alina Kulikówna.** Równie prosto, jakby wciąż myśląc o przejmującym finale, zagrał nieśmiałego ogrodnika Bertin **Kuba Geiger,** z kolei **Danuta Cwynarówna** znalazła dla pani Teophot ton chyba najwłaściwszy — była jednocześnie parweniuszką z pretensjami i kobietą pewną swojej władzy, dobrze znającą mężczyzn. Całość dopełniał agent Quechatre w wykonaniu **Remigiusza Rogackiego** — rola niby mała, ale ważna i potraktowana ogromnie wyraziście.

Co rzekłszy mogę już tylko złożyć gratulacje tłumaczom, reżyserowi i wykonawcom za przyswojenie polskiej scenie sztuki niezbyt wprawdzie myślowo głębokiej, ale doskonale napisanej, atrakcyjnej dla aktorów i dla widowni chyba również. Na premierze ta ostatnia niezbyt wprawdzie dopisała, niech się jednak tylko fama po mieście rozniesie...

A „Ogrodnik z Tuluzy" — zaryzykuję małą przepowiednię — zrobi jeszcze karierę na polskich scenach, bo są tu po prostu dwie świetne role kobiece, na których brak w światowej dramaturgii aktorki utyskują tak często. Koszta małe jedna dekoracja tylko, a pole do popisu — ogromne.

JERZY PANASEWICZ

Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej. Georg Kaiser — „Ogrodnik z Tuluzy". Tłumaczenie — Małgorzata Maciejewska i Jan Perz. Reżyseria — Jan Perz. Scenografia — Jolanta Bojkun. Opracowanie muzyczne — Jerzy K. Przybylski. Premiera w marcu 1978 roku.

LUBLIN POZDRAWIA WIEDEŃ

Pod hasłem „Lublin grüsst Wien" (Lublin pozdrawia Wiedeń) „Kamena" — najstarsze czasopismo literackie w Polsce — wydała specjalny numer w języku niemieckim adresowany do czytelnika austriackiego. To obcojęzyczne wydanie otwiera wywiad z I sekretarzem KM PZPR w Lublinie, mgr Stanisławem Mantyką na temat odległej przeszłości i teraźniejszości miasta. Z kolei Maciej Podgórski w interesującym reportażu „Osterreicher und Puławy" przedstawia życie Austriaków pracujących w „Azotach" i innych zakładach przemysłowych Puław. Tadeusz Jasiński w publikacji zatytułowanej „Die Königin Kohle" (Królowa węgla) prezentuje naddunajskiemu czytelnikowi (Austria jest poważnym importerem naszego węgla) Lubelskie Zagłębie Węglowe. Uzupełnieniem tego ostatniego materiału jest artykuł Jerzego Dostatniego omawiający udział województwa lubelskiego w polskim eksporcie.

Okupacyjną przeszłość Lublina przypomniał Austriakom doc. Zygmunt Mańkowski. Prof. dr Władysław Ćwik, przewodniczący lubelskiego oddziału Towarzystwa Polsko-Austriackiego, przedstawiając cele swojej organizacji, ukazał szeroko związki polsko-austriackie w dziedzinie kultury. Doc. Władysław Kucharski, dyrektor Centrum Kultury i Oświaty na Uniwersytecie im. M. Curie-Skłodowskiej omówił działalność lubelskiego oddziału Towarzystwa „Polonia".

Wiele miejsca poświęciła „Kamena" prezentacji lubelskiej kultury. Maria Bechczyc-Rudnicka przedstawia działalność miejscowych scen profesjonalnych, a Mirosław Derecki przypomina bogate tradycje teatrów studenckich. Stefan Münch ukazał muzyczne tradycje i współczesne osiągnięcia lubelskich muzyków. Życie plastyczne Lublina omawia Ireneusz J. Kamiński. Zygmunt Mikulski w udokumentowanej wypowiedzi odwołuje się do imponujących tradycji lubelskiego regionu.

Uzupełnieniem tych publikacji są informacje o życiu lubelskich wyższych uczelni, o zabytkach, budownictwie mieszkaniowym i zespole tanecznym „Gracja" dobrze znanym Austriakom z wielokrotnych występów na ich ziemi.

Redaktorowi Markowi Adamowi Jaworskiemu, który kieruje „Kameną" po śmierci swego ojca, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, należą się słowa uznania za cenną inicjatywę obcojęzycznego wydania dwutygodnika. Żałować tylko należy, że cudzoziemcy więcej dowiadują się o życiu kulturalnym ośrodków regionalnych w Polsce niż czytelnik krajowy. Cóż, jeszcze jeden z paradoksów naszego życia kulturalnego.

K. F.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROSCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

JAKI JEST I JAKI POWINIEN BYĆ, WSPÓŁCZESNY KIEROWNIK?

Rozmowa z kierownikiem Wydziału Przemysłu i Handlu KŁ PZPR – LONGINEM MATRASEM

Od dłuższego czasu rozważa się zagadnienie jak najbardziej efektywnego kierowania gospodarką, we wszystkich jej działach i na wszystkich szczeblach zarządzania. Nieprzypadkowo zwracano uwagę nie tylko na czysto ekonomiczne aspekty problemu, ale i społeczne. Wszak odczucia i stosunki społeczne powstające w trakcie kierowanej produkcji dóbr kształtują i określają świadomość społeczną ludzi uwikłanych w proces wytwarzania, w równym stopniu co warunki materialne. Charakter owych odczuć i stosunków z kolei decyduje o ludzkich postawach wobec wszelkich przejawów komplikacji i całej złożoności procesu rozwoju społeczno-gospodarczego, o zaangażowaniu poszczególnych jednostek w proces wytwarzania i pomnażania dochodu narodowego, a tym samym właśnie w proces rozwoju gospodarki.

Oczywiste jest więc i w pełni zrozumiałe powszechne zainteresowanie problematyką podejmowania decyzji gospodarczych, zarówno o charakterze strategicznym jak i operacyjnym. Uwaga społeczna kieruje się tu zwłaszcza ku jednostkom podejmującym owe decyzje i egzekwującym oraz kontrolującym ich wykonanie. Jednostki te to ogół kadry kierowniczej, zarządzającej całością naszej gospodarki, a więc kierownicy różnych szczebli.

Ze względów, o których była wyżej mowa, kierownik właśnie, a raczej jego działalność i postawa wobec leżących w jego gestii spraw, podlega wnikliwej kontroli społecznej i surowej ocenie. Od kierownika oczekuje się bardzo wiele, jego obciąża się, nieraz niezupełnie słusznie, całkowitą i wyłączną odpowiedzialnością za mniej czy bardziej sprawne funkcjonowanie podległego mu odcinka gospodarki. Kierownika rozlicza się z pracy ilościowo i jakościowo, ale także w kategoriach – nazwijmy to – ideowych i moralnych. Kierownik wreszcie bywa stawiany za wzór i brany za przykład do naśladowania w działalności zawodowej i społecznej przez podwładnych i współpracowników. Kierownik więc to bardzo ważna postać w naszym życiu gospodarczym i społecznym.

Jaki jest nasz współczesny „pan kierownik"? Jaki powinien być? Jakie możemy i powinniśmy stawiać mu wymagania?

Z tymi pytaniami zwróciłem się do kierownika Wydziału Przemysłu i Handlu KŁ PZPR w Łodzi – LONGINA MATRASA.

— Oczywiste jest, że sprawność funkcjonowania naszej gospodarki zależy w decydującym stopniu od sprawności i jakości zarządzającej nią kadry kierowniczej. Jaka jest ta nasza kadra? To bardzo trudne pytanie i być może dlatego nasza rozmowa na ten temat będzie trochę „nieuczesana". Ale do rzeczy. Może zaczniemy od próby definicji.

Kto jest mianowicie kierownikiem? Praktycznie do kadry kierowniczej zaliczamy ogół osób, które z racji pełnionych przezeń funkcji zawodowych i związanych z tym kompetencji kierują mniejszymi lub większymi zespołami ludzkimi i jednostkami gospodarczymi, powołanymi dla realizacji pewnych zadań na określonym odcinku naszej gospodarki. Określenie to dotyczy osób pełniących funkcje kierownicze różnych szczebli, od kierownika resortu do majstra. Oczywiście zakres kompetencji na poszczególnych szczeblach jest różny, jak i zakres oraz waga podejmowanych decyzji.

— Spróbujmy dokonać pewnej ogólnej charakterystyki naszej kadry kierowniczej, przy jednoczesnym porównaniu z krajami wysoko rozwiniętymi.

— Gdyby dokonać takich porównań, to okaże się, że nasza kadra kierownicza góruje na ogół poziomem wykształcenia, co jest oczywiście zjawiskiem pozytywnym. Natomiast jest ona zbyt liczna w stosunku do rzeczywistych potrzeb, można więc tu mówić o pewnych przerostach administracyjnych. Ten stan będziemy chcieli zmienić, po prostu przenieść sporą liczbę fachowców od biurek do produkcji, co pozwoli na znacznie lepsze i właściwsze wykorzystanie ich wiedzy i umiejętności zawodowych, z niewątpliwym pożytkiem dla naszej gospodarki.

— Średnia wieku naszej kadry kierowniczej jest dość wysoka, w porównaniu z innymi krajami...

— Tak. Podobnie jest zbyt mała rotacja na stanowiskach kierowniczych. To często pociąga za sobą pewne niedobre, przestarzałe schematy działania, daje przewagę rutynie nad działaniem twórczym, innowacyjnym, powoduje pewne „skostnienie" systemów działania, co może stanowić poważną barierę dla jakiegokolwiek rozwoju. Zatem tutaj także będą potrzebne pewne zmiany, co zresztą już robimy. Jeśli chcemy „dogonić" czy nawet „prześcignąć„ gospodarczo kraje wysoko rozwinięte, musimy zapożyczać od nich pewne wzory działania, także jeśli idzie o system zarządzania, oczywiście adaptując je odpowiednio do naszych potrzeb i naszej rzeczywistości społeczno-gospodarczej. „Uczmy się choćby od diabła", jeśli tylko płyną z tego dla nas jakieś korzyści.

— To tyle od strony formalnej...

— Jeśli idzie o osobowość w szerokim tego słowa znaczeniu, waży ona ogromnie na pracy kierowniczej. Każdy kierownik narzuca styl pracy danego zespołu. Socjologowie wyróżniają trzy zasadnicze style kierowania: autokratyczny, demokratyczny i liberalny. Od tego, jak kierownik prowadzi swój zespół, czy ograniczy się do formalnego tylko kierowania, wydawania i egzekwowania poleceń, stosowania nadmiernej kontroli, czy też stworzy atmosferę wzajemnego zaufania, tak że w zespole ludzie zdolni będą czuli się dobrze i będą śmiało wychodzić z inicjatywami, zależy bardzo wiele. Czasami trzeba tzw. „twardej ręki", ale tylko wtedy, gdy wymaga tego sytuacja.

— Taka metoda często budzi sprzeciwy ze strony podwładnych, przynosi efekty inne od spodziewanych...

— To prawda, ale czasem jest to potrzebne. W krajach rozwiniętych wysoką sprawność kierowania osiąga się poprzez stosowanie bezwzględnych metod egzekwowania, z dobrymi wynikami. Oczywiście w naszym ustroju trzeba się odwoływać do motywacji, kształtować przede wszystkim czynnik zaangażowania.

— Tutaj bardzo ważna jest rola kierownika.

— Zaangażowanie to czynnik, który musi u nas towarzyszyć każdemu działaniu, a pracy kierowniczej w szczególności. Owo zaangażowanie kierownik musi umieć z kolei zaszczepić swojemu zespołowi. Oczywiście samo zaangażowanie nie przesądza o efektach pracy zespołu. W grę też wchodzą inne czynniki, jak poziom uzbrojenia technicznego, wyposażenie zespołu w środki i narzędzia pracy, poziom specjalistyczny i moralny ludzi w samym zespole. Ale też kierownik musi to wszystko odpowiednio wyważyć. Jeśli nawet zdarzy się jakaś trudna sytuacja, to wtedy często o powodzeniu decyduje ów moment zaangażowania, który kierownik potrafi zaszczepić w zespole jako jego przywódca, a nie tylko formalny zwierzchnik.

— Kierownik musi więc zawsze znaleźć tzw. wspólny język z zespołem, właściwą płaszczyznę porozumienia?

— Oczywiście. W grę wchodzi tu też tzw. fachowość. Potocznie uważa się, że np. na dyrektora zakładu chemicznego najlepiej nadaje się inżynier chemik. Niekoniecznie jednak musi tak być. Bywa, że nie najlepszy specjalista jest znakomitym kierownikiem. Natomiast często powołujemy na stanowisko kierownicze najlepszego specjalistę w zespole i w rezultacie okazuje się, że nie jest on dobrym szefem, a przy tym straciliśmy dobrego fachowca. Czasem szkody mogą być tu nie do odrobienia.

— Pewna wiedza specjalistyczna jest jednak kierownikowi potrzebna.

— Oczywiście, chociaż sytuacja jest tu trochę paradoksalna. Mianowicie im więcej specjalistów ma „pod sobą" kierownik, tym mniej potrzeba mu tej wiedzy specjalistycznej. Tak więc dyrektor zakładu chemicznego wcale nie musi być chemikiem, natomiast majster grupy ślusarzy koniecznie musi się znać właśnie na ślusarce, bo inaczej nie będzie miał autorytetu w swojej brygadzie. W sumie kierownikowi na tyle potrzeba owej wiedzy specjalistycznej, by mógł zawsze porozumieć się z podległym mu zespołem. Ważniejsze jest tutaj, by kierownik zawsze i dla każdej sytuacji znalazł najlepsze rozwiązanie, o słuszności którego wszyscy będą przekonani i które przyniesie najlepsze efekty. Wtedy jest dobrym kierownikiem i ma duży autorytet w zespole, czasem niezależnie od stylu kierowania.

— Dobry kierownik więc to taki, który wraz ze swym zespołem sprawdza się w każdej sytuacji.

— Oczywiście. Inaczej mówiąc, zawsze uzyskuje efekty najlepsze z możliwych do osiągnięcia.

— Niekiedy są to efekty pozorne.

— Tak. Wydaje się, że w naszej polityce kadrowej za mało odwołujemy się do efektów we właściwym rozumieniu tego pojęcia. Nie wystarczy bowiem rozliczać kierownika z ilości produkcji i jej jakości. Podam tu taki przykład. Załóżmy, że jakiś zakład wykonuje w pełni plan ilościowy i uzyskuje wysoki wskaźnik jakości, choćby i 100 proc. I co z tego, jeśli są to artykuły niechodliwe, czyli zwyczajne buble? Mamy tu zmarnowany towar, zużycie maszyn, zmarnowanie ludzkiego wysiłku. Ale pozornie wszystko jest w porządku, przynajmniej od strony tzw. wskaźników. Często się to zdarza, bo brak nam jeszcze właśnie odpowiednich metod rozliczania kierowników z pracy. Nad takimi metodami pracuje się u nas.

— Podobnie szkodliwy może być tzw. „niepokojący spokój".

— Tak. Wydaje się, że jak gdzieś jest względny spokój, „interes" jakoś się kręci bez przestojów, awarii, kłopotów, to jest dobrze i kierownik też jest dobry. A wtedy właśnie często jest źle, bo to jest zwyczajna stagnacja, brak postępu, a więc w efekcie cofanie się.

— Musi być więc ten twórczy ferment, nawet za cenę pewnych niepokojów, naruszania ustalonych struktur, schematów myślenia i działania.

— Oczywiście, bo inaczej może dojść do paradoksu, że wszyscy są zadowoleni, a właściwych efektów nie ma.

— Jeśli więc gdzieś dzieje się nie najlepiej, to często jest tak z winy kierownika danego odcinka gospodarki?

— Mówi się potocznie: „Jaki pan, taki kram". Jest w tym powiedzeniu wiele racji. Nie wystarczy stworzyć odpowiedni system, warunki pracy i działania, przepisy, wskaźniki. Liczy się przede wszystkim człowiek. Bo to przecież nie sam system funkcjonuje, ale ludzie w tym systemie. Od tych, którzy kierują ludźmi w owym systemie zależy bardzo wiele. Oni muszą dawać właściwy przykład swoim podwładnym, aby móc z kolei wymagać od nich takiej czy innej postawy w stosunku do pracy, obowiązków, do realizowanych zadań. A od właściwego wykonania tych zadań zależy poziom naszej gospodarki, a więc i poziom naszego życia.

— Warunki pracy mamy coraz lepsze, co daje nam szanse produkować więcej i lepiej, a to już bezpośrednio służy podnoszeniu poziomu naszego życia.

— Tak. Jakość życia w decydującym stopniu zależy od jakości pracy. Rzecz w tym, byśmy mądrze wykorzystywali te lepsze warunki pracy, nasz potencjał techniczny i ludzkie umiejętności. Te szanse, jakie nam to stwarza, są jeszcze niekiedy zaprzepaszczane przez nieudolność, złe metody pracy, czy innego rodzaju niewłaściwe postępowanie kierownika jakiegoś szczebla czy odcinka. A ma to kapitalne znaczenie dla realizacji zadań całej naszej gospodarki, dla jej rozwoju, przy pełnej synchronizacji działań, tak w poziomej jak i pionowej kooperacji. To tak, że posłużę się znanym porównaniem, jak w wielkiej precyzyjnej maszynie — wystarczy, że jakiś tam trybik nieprawidłowo funkcjonuje, a przez to i cały mechanizm pracuje źle, nie tak dobrze i sprawnie jak mógłby. To zaś obniża ostateczne efekty pracy, tak że są one często znacznie mniejsze od potencjalnie możliwych. Tak więc od jednego kierownika, od trafności jego decyzji, od jakości pracy jego i jego zespołu może zależeć bardzo wiele w ostatecznym rozrachunku. Świadomość tego jest nam potrzebna powszechnie, na co dzień.

Rozmawiał:
ZBIGNIEW S. NOWAK

ZMORA, CZY MAGISTRA VITAE

Scena dzieje się na egzaminie wstępnym w jednej z naszych wyższych uczelni. Kandydatkę poproszono o scharakteryzowanie insurekcji kościuszkowskiej. Kiedy zaczęła się plątać, egzaminator rzucił pytanie, mające na celu naprowadzenie dziewczyny na właściwą odpowiedź, „Może zacznie pani od tego: kto to był Tadeusz Kościuszko? — Był to dowódca I Dywizji Wojska Polskiego, który zginął pod Lenino — odpowiada nie zmieszana dziewczyna". Scenka to autentyczna, jak zapewnia Witold Maciej Putkiewicz w swej uroczej książeczce, wydanej niedawno (1977) przez „Naszą Księgarnię", a zatytułowanej: „Zmora, czy magistra vitae? O sztuce uczenia się historii". Podobnych jak przytoczony „kwiatków" z egzaminacyjnej łączki — najzupełniej zresztą, jak zapewnia autor, autentycznych — przytacza Putkiewicz znacznie więcej. Rozumiem go, że przestał już się dziwić temu, „że Białystok jest portem bałtyckim, a marszałek Foch był admiralem niemieckim i zginął w czasie II wojny światowej pod Trafalgarem", ocenię zaś za to, że zamiast załamać ręce i co najwyżej wydać drukiem antologię tego rodzaju nonsensów, zadał sobie nielatwe pytanie o przyczyny, dla których kandydaci na wyższe studia zbyt często udzielają egzaminatorowi takich lub tym podobnych odpowiedzi. Z refleksji nad tą ważną społecznie sprawą zrodziła się właśnie ta niewielka książeczka, adresowana przez autora przede wszystkim „do uczniów ostatnich klas licealnych, którzy odczuwają pewien niedosyt w zakresie tzw. wiedzy ogólnej, a przy tym już niedługo będą musieli rozpocząć życie na własny rachunek, nurtujące zaś problemy rozwiązywać samodzielnie". Kręgu czytelników swej książki nie ogranicza jednak Putkiewicz jedynie do niemal już dorosłych licealistów. Ma nadzieję, że dziełko to okaże się przydatne również dla innych uczniów, zarówno tych, którzy pasjonują się historią, jak również i tych, którzy uważają ją po prostu za piąte koło u wozu, za niepotrzebny balast umysłowy, zbiór anachronicznych i nieprzydatnych wiadomości o ludziach i sprawach, nie mających żadnego znaczenia dla naszej skomputeryzowanej i utechnicznionej współczesności.

Powstał w ten sposób zgrabny traktacik o historii, o jej społecznej funkcji, oraz jej nauczaniu, tym różniący się od innych opracowań, podejmujących tę tematykę, że napisany klarownie i lekko, w sposób niezmiernie komunikatywny, niekiedy dowcipny. Myślę, że W. M. Putkiewiczowi udało się znaleźć najtrafniejszą formułę dla tych rozważań, gdyż najczęściej ubierano je w kostium sztywnej uczoności, który z góry podkreślał nawet najsilniejsze pragnienia popularyzacyjne autorów. Ostatecznie rzadko którego z zawodowych historyków trzeba przekonywać i informować o tym, że historia ma również we współczesnym świecie coś do zaoferowania, że pełni istotne funkcje, nie ograniczając się jedynie do poznawania minionych dziejów, że ma dla współczesnego człowieka jakiś ogólniejszy sens. Rozważania na ten temat warto adresować przede wszystkim w innym kierunku, nie do historyków, ale tych, którzy zajmują się czym innym, niż uprawianiem historii, do szerokich kół osób, czytających książki, niezależnie od ich wieku czy zawodu. „Co to znaczy: myśleć historycznie" — oto pytanie zasadnicze, na które W. M. Putkiewicz stara się znaleźć przekonującą i komunikatywną zarazem odpowiedź.

Autor tej miłej książeczki nie ma ambicji metodologicznych, nie stawiał sobie za zadanie stworzenia nowej ogólnej koncepcji na temat roli historii w świecie współczesnym. Chodziło mu raczej o coś innego: o dostępne i interesujące zarazem wyłożenie poglądów, co do których słuszności jest w pełni przekonany, niezależnie od tego, czy doszedł do nich sam, czy też skorzystał z przemyśleń innych. Szczególnie wiele skorzystał w tym względzie ze współczesnych poszukiwań metodologii historii, bujnie rozwijających się w naszym kraju, często jednak ujmowanych w formę absolutnie niezrozumiałą już nie tylko dla szerokiego kręgu zainteresowanych czytelników, ale również i wielu... zawodowych historyków.

W. M. Putkiewicz przypomina stare porzekadło Cycerona o historii jako nauczycielce życia, uważa ją za „przewodniczkę w gęstwinie problemów współczesnego świata". Metodologowie historii coraz częściej zaznaczają swoją rezerwę w stosunku do słynnej wypowiedzi antycznego retora i czynią to nie bez powodu. Chodzi mianowicie o to, że zbyt często Cyceronowej maksymie nadawano znaczenie, z którym trudno się nam pogodzić: uważano ją za imperatyw poszukiwania w przeszłości wzorców, podług których mierzylibyśmy współczesność, za nawoływanie do zreorientowania naszego światopoglądu wstecz. Oczywiście W. M. Putkiewiczowi nie o takie rozumienie słów Cycerona chodzi. Z całą mocą podkreśla on, że idzie mu o historyczny punkt odniesienia dla współczesności, która przecież skądziś się wzięła. Znajomość przebytej drogi — dowodzi — pozwala lepiej ocenić miejsce, w którym się znajdujemy, dzięki niej uzyskujemy wiedzę o tym, skąd i jak idziemy, wiedzę bez której łatwo byłoby nam popełnić niejeden błąd. Bez znajomości historii bowiem — jak celnie pisze W. M. Putkiewicz — człowiek byłby niejako pozostawiony sam sobie, a wówczas „każde własne mini—osiągnięcia traktowałby jako absolutne i nieskończone, a własne zachowanie i wyobrażenie jako najlepsze". Świat historii — dowodził tego niedawno J. Topolski — jest nieuchronnie światem zmiany, dynamiki, zmierzania w przyszłość; świat bez niej, to świat stagnacji, zachwytu nad własnym dziś, bez oglądania się... na jutro.

ANDRZEJ F. GRABSKI

ANNA POCHYŁA

GRAWITACJA

obiecana była ziemia
szczodra syta ziemia
dążyli do niej w nieskończoność
kierując wzrok przewidujący
— tylko ślepcy zważywszy nadzieję
nieufnie przesiewali ją przez palce
(gdzieś jeszcze owocują drzewa wiadomości,
których się wyrzec i wejść w rajów kręgi,
gdzie jest tak jasno od jasności,
że aż przymykać trzeba oczy, podnosząc ręce
do przysięgi)

obliczona jest nam ziemia
ciężka płodna ziemia
dojrzewa w statystykach zboże
telewizory i zużycie mydła
analfabetyzm nafta głód i róże
i dojrzewają nowe konstrukcje zapewnień —
tylko nasze rachuby nie wychodzą poza
jedność stąd blisko do jednomyślności:
wierzyć lub wiedzieć coraz wspólniej
że się składamy tak obiecująco
na historię z coraz lepszym
znakiem

obmyślona jest nam ziemia
piękna wolna ziemia

* ★ *

chudy cień pod gałązką chudą
z papierosa dym i łyk wódki
senne smutki czarnoziemu grudy
skrawki nieba w ostróżkach płoty krzywe
śpiewać stanąć na rogu
zachodu i wschodu
wszystko jest albo nie jest możliwe

a jeśli brzozy kruchość w jednej ukryć dłoni
a w drugiej wzrok zmęczony dorożkarskich koni
i schować obie ręce w kieszeniach lichej
jesionki
podbitej wiatrem — czy, powiedzmy —
skrzydłami

piechotą idzie przez łąki
pogwizdujący anioł

Kropla tęczy zalśni w pajęczynach,
zgaśnie w liściach słoneczny lok,
anioł mruczy coś z Jesienina —
chłodno już i nadchodzi mrok...

WOJCIECH WIŚNIEWSKI

POKÓJ DO WYNAJĘCIA

dzisiaj także był dzień —
w prowincjach moich myśli
kobiety i dzieci
tańczyły podczas deszczu
jak w święto

dzisiaj także był dzień
co na ziemi wypisane
czcionką obu rąk —
tańczący nadal tańczą
wodę życia

dzisiaj także był dzień
tyle dnia ile płuc
orzygięło się w oddechu —
odwrócony plecami do deszczu
odchodziłem ponad

JANUSZ WOJDECKI

TRANS—EUROPA

Ewo są dworce wielkie autostrady
Są wielkie odległości nie przebyte jeszcze
Palimy papierosy jednego za drugim
Są jeszcze dworce Jedźmy

Wielka jest Europa i wiele jest dworców
Mężczyźni w białych płaszczach gaszą papierosy
Spiker krzyczy odjeżdża dwudziesta zero osiem
To najpiękniejszy wiersz

Ewo na wielkim dworcu chrypią megafony
Na wielkim dworcu czyste i jasne są wnętrza
Usiądźmy na ławce palmy papierosy
Deszcz pada Ewo pocałuj mnie Jedźmy

Ludwik Gebel

ucieczka

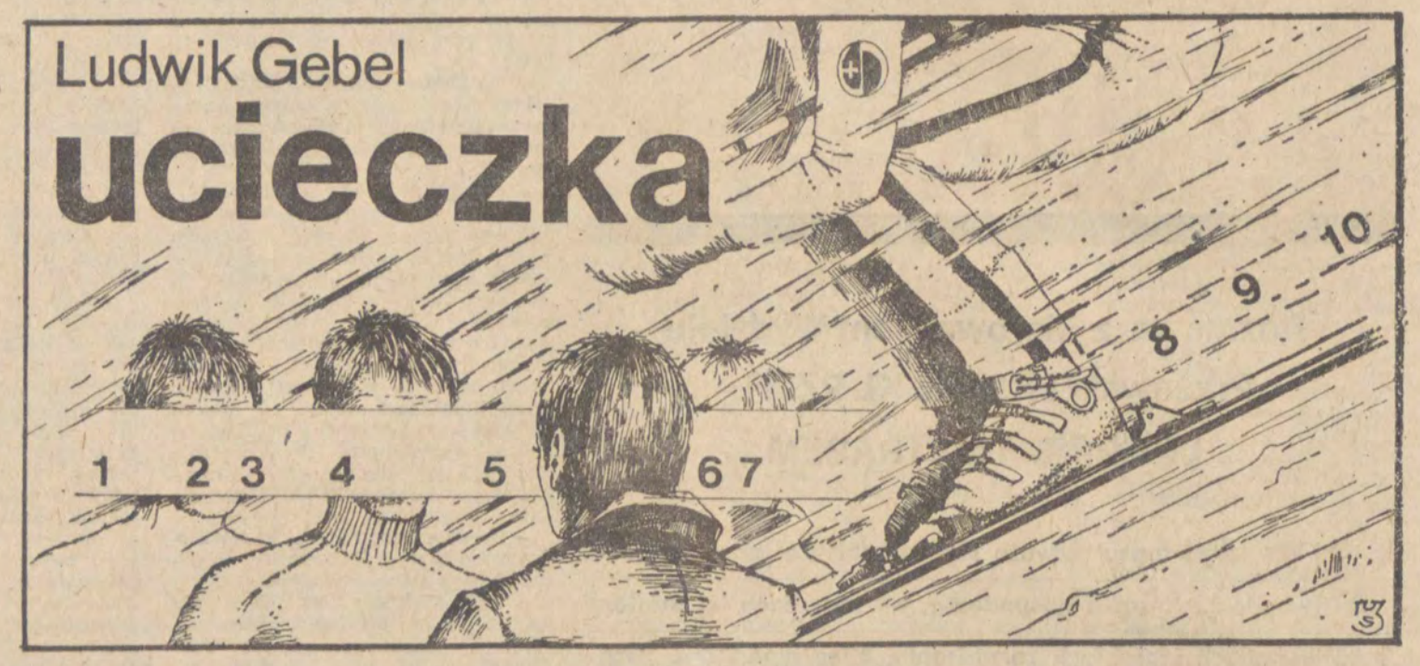

Usiadł na łóżku ostrożnie, tak aby nie zawadzić głową o żarówkę. Na szybie szron wyrzeźbił czarne liście. Odwrócił się. Ogień z żelaznego pieca połyskiwał na metalowych kijkach narciarskich. Parowały mokre buty i skarpety. Było duszno. Nagle drzwi uderzyły w drewnianą ścianę. Zapaliło się światło.

— Zgaś! — krzyknął.

— Co ty, Gienek, kładziesz się już spać?

Nie odpowiedział.

Znów weszło kilka osób:

— Może przewietrzymy trochę?

— Od duchoty nikt nie umarł.

— Od smrodu, panie kolego.

— A pan na długo przyjechał?

— Czy można się odciąć?

— Można, ale po co?

— To się odcinam.

— Więc co cię gryzie? — Bronek zagadał do Gienka.

— Chodź na dół, zrobimy partyjkę szachów.

— Nie mam ochoty.

— No to weźmiemy dwa wrzątki.

— Daj mi spokój, Bronek.

— Po jaką cholerę siedzisz w tym kombinezonie, kiedy wszyscy na dole?

— Mam tu coś do załatwienia.

— Tutaj?

— Tak. Mam jedną sprawę do siebie.

— Chory jesteś?

Weszło kilka osób. Na sąsiednie łóżko wspięła się dziewczyna.

— Dzień dobry pani — zwrócił się do niej Bronek.

— A, dobry wieczór. Nie poznałam w pierwszej chwili.

— Jednak wróciła pani?

— Udało mi się uciec jeszcze na cztery dni.

— Dobrze, że nie przyjechała pani wczoraj — wtrącił ktoś z dolnego łóżka.

— Dlaczego?

— Zabłądziła do nas grupa adwokatów. Nie dali spać do pierwszej w nocy.

— Takim to nawyk gadania nie przechodzi od razu — dorzucił ktoś inny. — Dopiero dziś jak narty dały im w kość przestali prostować paragrafy

— Pan, zdaje się, też jest prawnikiem.

— Byłem, droga sąsiadko. Jestem już tylko skromnym badylarzem.

— Ach tak.

— Tak. I dzięki temu, kiedy tylko zechcę mogę uciec ze szklarni prosto na deski.

— Wszyscy uciekamy! — wybuchnął niespodziewanie Gienek. To udaje się nam najlepiej. A nasze niezałatwione sprawy, jak nagie tyłki pod nos podsuwamy innym.

— Panie Gienku, pan chyba pedałowi uciekł dziś na trasie fisowej — powiedział ogrodnik

— Panowie, panowie — Bronek dobył z plecaka metalowe pudełko — komu cebulkę? Częstujcie się. Cebulka to witamina C. Wzmaga odporność i uspokaja.

— Sumienie.

— Możesz wyrzucić je za okno. Akurat ktoś otworzył.

— Ja nie żartuję.

— No to opowiedz.

— O czym?

— O czymkolwiek. Sam słyszysz, mój kochany, że jest wolność słowa. Wygadasz się, poczujesz się lepiej.

— Czuję się jak dezerter.

— Jak kto?

— Głupio się czuje.

— Trzeba przywyknąć. Dziś poszło ci lepiej. Każdy jest połamany przez pierwsze dni.

— Ja nie o tym.

— Wziąłeś zwolnienie aby odpocząć. Tak?

— Właśnie.

— To czym się trujesz?

— Widzisz, nigdy nie brałem lewych zwolnień. I nigdy nie chorowałem.

— A zatem masz pełne prawo mieć nerwicę.

— Kilka dni temu kolega w pracy miał zawał.

— Otóż to. Bo nie jeździł na nartach.

— Dowcipkujesz głupawo. — A ty co robisz?

— Teraz koledzy mają po sześćdziesięciu pacjentów na głowę.

— A gdybyś wziął urlop, to mieliby mniej?

— Prosiłem szefa o sześć dni urlopu. Odesłał mnie do personalnej. A personalna: panie doktorze, czy nie wie pan, że jest zarządzenie wewnętrzne, aby nie dzielić urlopu na okresy poniżej trzynastu dni?

— I fajnie. Masz jeszcze trzy dni, aby zapomnieć o personalnej.

— Tak, ale ja uciekłem, rozumiesz? Uciekłem od swojej roboty.

— Głupstwa gadasz. Nie chcesz herbaty, to rozbieraj się i śpij.

— Zawsze przychodziła na końcu. Przyprowadzał ją mąż

— Personalną?

— Przychodzili kiedy byłem najbardziej zmęczony. Ona też była zmęczona. Chciała pracować, a lęk nie pozwalał jej wychodzić z domu. Przykazałem mężowi, aby codziennie odprowadzał ją do pracy i codziennie przyprowadzał spod bramy fabryki. Robił to niechętnie. Lekarstwa nie skutkowały. Szansa na poprawę była tylko w ergoterapii. Tyle, że ta szansa stawała się coraz mniejsza. Na skierowanie do szpitala, nie zgadzała się ani pacjentka, ani jej mąż. Aby uzyskać prawo do renty powinna przepracować jeszcze dwa tygodnie. Nie mogłem dać zwolnienia. Radca prawny jej zakładu nie zgadzał się na darowanie tych dwóch tygodni. Bał się naruszyć przepisy.

— I co dalej?

— Przegrałem.

— Kochany, a co ty właściwie przegrałeś?

— Ostatnio przyszła ze szwagrem. Nie zorientowałem się, że facet nie jest jej mężem. Bracia byli bliźniakami. Jednakowo rudzi i piegowaci. Mówię do niego: panie, trzeba przetrzymać. Tylko dwa tygodnie. Przecież to również pana sprawa. A on na to: po co ją męczyć, panie doktorze. Rentę będzie miała po mężu.

— Dlaczego po mężu?

— I ja tak zapytałem. Odpowiedział: mój brat ma raka. Leży. Długo już nie pociągnie. — Wyrzuciłem ich za drzwi. Wrócili gdy byłem w płaszczu. Dałem dziewięć dni zwolnienia.

— I co, zmarł jej mąż?

— Taki wysoki, chudy i piegowaty.

— Posłuchaj Gienek — jutro naostrzymy narty, pojedziemy do wąwozów. Czarnym szlakiem przez oblodzone muldy. Tam gdzie jeździ ta dziewczyna bez nogi. Trzeba się dobrze wyspać i na tym koniec.

— Jutro, to ja będę w pracy.

— Zwariowałeś?

— Tak. Ale już wyzdrowiałem.

— Nie wolno ci pracować w okresie zwolnienia. Przepisów nie znasz?

— A wiesz gdzie mam przepisy?

— To powiedz tak na zdrowy rozum, o co ci właściwie chodzi?

— Tej pacjentce, dziś kończy się zwolnienie. Jutro zgłosi się do mnie, a mnie nie będzie. Trafi do kogoś, kto nie zna sprawy. I zostanie tą kolejną sześćdziesiątą pacjentką. Więc jak uważasz, co z tego wyniknie?

— Nic nie wyniknie. Dostanie dalsze zwolnienie.

— No właśnie. I nigdy nie wróci do pracy. Przepadnie jej i praca i renta.

— I tak nie zdążysz. Chyba, żebyś w tej chwili wsiadł do pociągu.

— Myślałem o tym zanim przyszedłeś.

— To dobrze, że przestałeś myśleć.

— Tak ci się tylko wydaje.

— Rozbieraj się i daj ludziom spać. Po wczorajszym hałasie — wszyscy już w łóżkach.

— Przecież nie puści się pan w nocy na nartach — wtrąciła dziewczyna.

— Łatwiej jest uciec w góry, niż uciec górom — dorzucił ogrodnik.

— Gadanie — powiedział Bronek. — O tej porze chce zjeżdżać pięć kilometrów po ciemku.

Znów otworzyły się drzwi. Wszedł wysoki mężczyzna w kaszkiecie. W jednej ręce miał spięte narty, a w drugiej plecak wojskowy.

— Kierownik mówił, że jest wolne łóżko.

— Jest jeszcze jedno. Przy samym piecu. Tylko deski niech pan zostawi w narciarni — powiedział ogrodnik.

— To łóżko? Zostawię tu plecak.

Wyłonił się spod piętrowego łóżka bez kaszkietu. Rudą głowę pochylił przed samą żarówką. Wyszedł z nartami.

Gienek w jednej chwili znalazł się na podłodze.

— To ten!

— Kto?!

— Nieważne.

Widział rudego męża pacjentki i rudego szwagra. Stali milcząc przed jego biurkiem w poradni, trzymali narty i śmiali się z niego bezgłośnie.

W ciszy, która zapanowała w sypialni schroniska, słychać było zatrzaskiwane klamry butów narciarskich. Szron na szybie mienił się iskrzącymi gwiazdami. W sali pozostał zaduch. Wrócił rudowłosy i powiedział: Udało się.

Tego już Gienek nie słyszał. Nisko pochylony, wyjeżdżał z lasu. Miał uczucie, jakby szybował. Zamiast w dół, narty niosły go w górę. Chwilami nie był pewny, czy jedzie, czy stoi w miejscu. Zbliżała się znowu czarna plama lasu. Coraz szybciej rosła przed nim. — Trzeba wytracić szybkość. Runął w dół jak skoczek spadochronowy. Powietrze gwizdało w uszach. Zrobił zwrot w kompletnej ciemności i drugi zwrot znów po omacku. Las pozostał z tyłu. Wiedział już, że dojedzie do dolnej stacji kolejki linowej. Rozpierała go radość. Szeptał: Uciekłem, uciekłem. Zdążę na dworzec.

EWA OSTROWSKA

O TYM, JAK CIUĆKOWA ZACZĘŁA SIĘ NA AMERYKANACH MŚCIĆ

Najpierw, jak tylko po tym biciu wyszła na dwór, Frankę opluła. Franka Ciućkowej dłużną nie pozostała, i też ją opluła. Powiedziały sobie obie co o sobie nawzajem myślą, co myślą o swoich babkach, poubliżały, opluły się raz jeszcze i taki koniec serdeczności.

I do kogo teraz Ciućkowa na telewizję będzie latać? Amerykany spalone, Franka odgraża się, że za próg nie wpuści.

Przez trzy dni Ciućkowa nie wychodziła z domu, czwartego dnia w sklepie zjawiła się.

Obrażona na cały świat, na wszystkich, patrzy źle, usta zaciska. Oko ma jedno fioletowe, drugie żółte, uch! niekiepsko musiał jej Ciuciek dołożyć, no i dobrze, że wreszcie się opamiętał. Teraz, jak sobie przypomniał, do czego pięści służą, nieprędko zapomni. Konia pewno sobie kupi na wiosnę, i za robotę uczciwą się weźmie. Najwyższy czas, bo jak im teraz ostatnia maciora przed oproszeniem padła, to za co Ciućki będą żyły?

Przyszła do sklepu, chleb kupiła, stoi.

A teraz coś wam powiem, odzywa się, coś wam powiem, aż was zatka wszytkich. Amerykanowa łże: ani grosika za jajka i kuraki nie zobaczyłam, ale niech tam będzie moja krzywda. Niech się teraz Franka panoszy, przecie widzę już pięć razy pukała do Amerykan. I Manioche też widziała, jak pukała wczoraj z gęsią pod pachą. Chodźcie, chodźcie do tych Amerykan, czemu nie? Na wszystkich was spadnie kara Boża. Bo te Amerykany to są świnie i bezwstydniki. Ich dulary to nieczyste dulary. Truposzami śmierdzą. Bo powiem wam, jak oni się tych dularów dorobili. Powiem. I tak bym powiedziała, niech mnie Matka Boska nakopie, jeśli łże, powiedziałabym! i tak samo przestałabym do nich chodzić, bo ich tylko opluć. Oni się tych dularów dorobili truposzy myjąc i goląc. A tak! Amerykanowa sama gadała, że niby ciężko, po dwanaście godzin po osiemnaście w szpitalu przy trupach pracowali. Amerykan truposze golił z włosów, a Amerykanowa truposze myła! Ot jak! Macie swoich Amerykan!

Drzwiami trzasnęła, aż się tynk posypał i poszła.

O! mówi Kluk, bo właśnie piwo pił, o! ale się wyrobiła z tej zemsty, jak świnia sołtysa na zakręcie.

Zawsze była świnia, mówi Maniocha.

Żmija paskudna„ powiada Franka.

Gorsza niż Kulasowa, Kulasowa przynajmniej w oczy powie, co złe, a Ciućkowa w plecy bije, gada Sołtyska.

Ale jakoś tak, co tu dużo mówić, belejako się wszystkim zrobiło. I nim wieczór nadszedł, każdy jeden wiedział, w jaki to sposób Amerykany dularów się dorobiły. Klub zaraz do Kulasów poleciał, wywołał Kulasa i mówi: Kulas, no i co? A Kulas nie rozumie, o jakie co Klukowi idzie? Kluk nosem pociąga niby wietrzy a wącha i mówi: Smród czuje. Truposzami zajeżdża. Kulas zdenerwował się okropnie, od czasu, jak papiery w sądzie podpisał i dulary wziął, nerwowy taki, że nie gadaj do niego, nie może, widać, przeżyć tego, że mu Amerykany dom przewalają, zmarniał bardzo i ani razu w stronę przystanku pekaes nie pójdzie, żeby swego domu nie oglądać. To krzyczy na Kluka: Won stąd, bo cie czym zdziele, ty taki i owaki! A Kluk zęby szczerzy: Eeee, Kulas, ee, bez nerw. Po co krzyczeć? Nic na to nie poradzisz, truposzami tu zajeżdża od ciebie, od twoich dularów zasranych. Bo te Amerykany, Kulasie, dularów sie dorobili, trupy goląc i trupy myjąc.

I latamy tego wieczoru, ruch na szosie, mróz szczypie, ale to nic, bo, cholera, trzeba by komitet obywatelski zawiązać, delegację wybrać, do księdza by trzeba na plebanię za krzyżówki jechać, bo jak to tak: razem z takimi żyć, co się na trupach dorobili? Kulasa musi ksiądz z ambony przekląć, że takim dom sprzedał, na zmarnowanie zresztą, bo co oni wyprawiają w tym domie Kulasa, to też grzech, dobre ściany burzyć, i świństwa wymyślać różne. Takie świństwa to mogą na filmach w telewizji pokazywać, wtedy się człowiek uśmieje i tyle, ale żeby z takimi, co takie świństwa robią, obok siebie mieszkać? z takimi, co lustra w łazience zakładają, żeby się sobie gołym przypatrywać? co specjalne aparaty montują, żeby tylko sobie umywać? Ożesz ich! Rewolwery sobie przywieźli, straszyć porządnych ludzi rewolwerami będą! A jak się taki Amerykan spije i do głowy mu wpadnie z tego rewolweru strzelać? i jeszcze kogo ustrzeli? Co za świństwo na trupach się dorabiać? Co to za kraj taki, ta Ameryka, żeby własnych nieboszczyków w ręce obcych oddawać i dularami płacić? Co za grzech śmiertelny, straszny ostatniej posługi własnemu nieboszczykowi odmawiać? A tacy jak te Amerykany to jak hieny ostatnie. Hieny na ścierwie żerują, a Amerykany na nieboszczykach. Może te pierścienie, co je na rękach Amerykanowa nosi, to z nieboszczyków ściągnięte? Bo złodziejskie nawyki u nich, jak złodzieje nocą się w dom wprowadzali! Ożesz ich! Najgorsze, że tyle dobra na marne poszło, żeby jeszcze dzionek, jeszcze dwa, pogodziliby my się w sprawie dachówki, futryn, kaflów, desków, fajerków, dogadali, co i komu, i bez grzechu, bo przecież i tak to wszystko Amerykany marnują. Spać po nocach nie można, bo kują tam u nich i kują majstry do północy.

O TYM, JAK DALSZE ŚWIŃSTWA AMERYKAN NA WIERZCH WYPŁYNĘŁY

Bo tak: patrzy Ciućkowa przez okno, Amerykan do taksówki wsiada, Amerykanowa obok niego się sadowi. Jadą, ale nie w stronę krzyżówek, tylko za zakręt. To Ciućkowa chustkę narzuca, paltoto, i przez szosę do Smolarkowej leci zapytać się, czy Smolarkowa nie wie, dokąd Amerykany pojechały.

Ale Smolarkowa nie wie, dokąd.

To obie do Pipka lecą.

A Pipek mówi, że go nie obchodzi, gdzie Amerykany pojechały. Może do sklepu? Może do Kulasów? A może do diabła!

To obie do sklepu lecą, po drodze zahaczając o tego i owego, żeby powiedzieć o Amerykanach, że może do sklepu pojechały, po chleb i bułki.

Tak naprawdę to nikt z nas poza Ciućkow-Franką i Maniochą i Sołtysami dobrze się Amerykanom nie przyjrzał, nie przypatrzył, a ciekawość rozpiera zobaczyć dokładnie, jak takie wyglądają, co trupy golą i myją, czy ten swój grzech mają na gębach wypisany?

To wszyscy lecą.

Dziś sobie na łeb nasadziła siwą peruke, opowiada Ciućkowa, tylko jej kure posadzić, co by jajo zniesła.

A może ona łysa? mówi Smolarkowa.

A może jakimś hadodztwem od jakiego nieboszczyka zaraziła i wyłysiała i stąd pereki nasadza? mówi Wasylicha.

Uch — lepiej za blisko do takiej nie podchodzić, bo zaraza i na ciebie przejdzie, mówi Frycenkrakerowa.

Przed sklepem amerykańska taksówka stoi, no i chwała Bogu, nie spóźnili my się tym razem, zdążyli na czas. Jakie większe zakupy widać Amerykany urządzają.

Za ladą Wdowa czerwona jak burak, aż po korzonki włosów. Amerykanowa ręcami w pierścieniach zrabowanym nieboszczykom portmonetkę ściska. No, nie taka ona chuda, ta portmonetka, jak to Wdowa gadała. Całkiem nie chuda, fest wypchana, i nie belejeka, a piękna, nowa portmonetka z czerwonej skórki ze złotymi brzegami.

Amerykanowa nosi siwą perukę i jakby jej przedtem w czerwonej nie widział, nie poznałbyś, że cudze włosy na głowę nasadziła. Kozaki ma Amerykanowa na nogach skórzane, futro szerokie a puszyste, też musiało takie futro kupę dularów kosztować. Patrzcie, że to na nieboszczykach tak się dorobić można? Aż strach uwierzyć, ale widać tam, w Ameryce, wszystko możliwe. O, futro się rozchyliło, widać złoto pod futrem, jakby mało miała złota na rękach i w uszach, to jeszcze sobie szyję złotem obwiesiła, złoty wisiorek dynda.

Amerykan też w futrze. Czy on zawsze w tych rękawicach chodzi? Ciekawe, ma pierścienie na rękach czy nie ma? E, pewno ma. O, jak mu kieszeń sterczy, pewno w tej kieszeni rewolwer trzyma.

A czemu ta Wdowa gorzeje jak piwonia?

Cukier też proszę i dwa kilogramy mąki, to Amerykanowa gada do Wdowy. Wdowa cukier daje, już paczkowany, na ladę stawia, a co ta Amerykanowa robi? Ożesz ją? Patrzcie ludzie, ona cukier paczkowany na wagę kładzie! na oczach wszystkich kładzie! A żeby jej Matka Boska mimo futra nakopała, mówi półgłosem Ciućkowa. Ale bez wstydu! Aże nam gorąco się robi, aże nam wstyd za Amerykanową: ona cukier paczkowany na oczach wszystkich na wagę stawia i sprawdza, czy dobrze waży!

Proszę pani, to Amerykanowa gada, a uśmiecha się, a błyska złotymi zębami, bardzo mi przykro, ale tu brakuje pięciu deko.

O, matko, jak się Wdowie ręce trzęsą? Jak trzęsą!

Franka się żegna.

Cicho się robi. Tak cicho, że jakby lato było, to by się muchę usłyszało.

Doważę, mówi Wdowa.

Nową tytkę z cukrem rozrywa, doważyła. Amerykanowa oka z wagi nie spuszcza.

Doważyła Wdowa pięć deko cukru. Dziękuję, mówi Amerykanowa, przepraszam za kłopot, ale jeśli coś ma ważyć kilogram, to musi ważyć kilogram, prawda? Bo ja płacę za kilogram, a nie za dziewięćdziesiąt pięć deko.

Yyyy, wielkie mecyje, pięć deko! mówi na głos Ciućkowa.

Takie grosze, mówi Frycenkrakerowa.

Amerykanowa uśmiecha się grzecznie — całkiem nie zawstydzona, na te parę groszy też trzeba zapracować, mówi.

Yyyy, mówi Ciućkowa.

Widać, że pani bogata, pani Ciućkowo, mówi grzecznie Amerykanowa.

Ciućkowa czerwieńsza od Wdowy się robi, ale: Yyyy, mówi.

Pięciu groszy reszty nie mam, mówi Wdowa i patrzy hardo.

To ja dam pani pięć, a pani mi wyda dziesięć, mówi Amerykanowa. I już w portmonetce grzebie, pięciu groszy szuka, istna sensacja! Jeszcze coś takiego u nas się nie zdarzyło, żeby się kto o pięć groszy upomniał! Ożesz!

Pięć groszy wygrzebała, podaje Wdowie. Wdowa dziesiątaka przez ladę rzuca. Ożesz! Nic dziwnego, że taka czerwona, aże ją mało apopleksja nie trafia! Widać, każdą tytkę Amerykanowa na wadze sprawdzała i co rusz kazała sobie doważać, to pięć, do dwa deko, a może i pół? Jeśli o pięć groszy się targuje? A co komu szkodzi, kiedy Wdowa pięć groszy nie doważy, albo pięciu czy nawet dwudziestu groszy nie wyda? Nie oszukuje Wdowa za dużo, człowiek z tego krzywdy nie ma, a Wdowa do pensji dosklada. Bo też jej płacą, uśmiać się można. Za to, co jej płacą, dwoje dzieciów nie wychowa. A tu taka przychodzi, dularowa Amerykanowa, złotem obwieszona, bezwstydnica taka, najgorsza z najgorszych, taka przychodzi, co zdrowy dom, dobry, zadbany, najlepszy dom marnuje bez mrugnięcia okiem, żeby swoim widzimisiom sprostać, a o pięć groszy się upomina! Ożesz! Świat się chyba przewraca do góry nogami, czy co? Piękne sąsiedztwo trafiliśmy, jeszcze kara boska spadnie na wszystkich.

Do widzenia, mówi Amerykanowa, Amerykan siatki z lady zabiera, wychodzą.

Wdowa osuwa się na krzesełko. Płacze.

Ożesz tych Amerykan!

O TYM, ŻE AMERYKANY KĄPIĄ SIĘ DZIEŃ W DZIEŃ

Ciućkowa na własne oczy pierwsza widziała!

Trzy miesiące dopiero minęły, jak się Amerykany po złodziejsku wprowadziły do domu Kulasa, i już tam cały środek w domie wyburzyły, po swojemu, po amerykańsku. Kurna! Ile nasprowadzali majstrów, a ile pomocników dla majstrów ożesz! bogate te Amerykany jak cholera, żeby tylu majstrom i tylu pomocnikom płacić dniówki! Tempo wzięli iście amerykańskie! Trzy miesiące! A już kuchnię mają nową, a wszystkie cztery ściany w tej kuchni białymi kafelkami obłożone, i meble też białe. No, to każdy brud będzie widoczny, na białym przecież brud widać doskonale, kto to sobie sprawia białe meble do kuchni? Albo białe ściany? Kuchnie to my malujem na ciemno, i drzwi w kuchni na ciemno, myć nie trzeba i brudu nie widać. No, to będzie ta kuchnia u Amerykan za trochę wyglądać, szkoda, że jeszcze białej podłogi nie ułożyli, ale nie: ułożyli sobie podłogę w kuchni granatową, z takich kamyczków malutkich. Ożesz, i tacy myślą, że pięknie mają? Czy widział kto gdzie taką podłogę?

A ten wielki pokój, ten, jak Ciućkowa po amerykańsku nazywa: liwinrum, to jak stodoła. I jak taki pokój ogrzać? I wiecie co? Pęc ze śmiechu! Oni tam stawiają komin z cegłów! Jak Boga kocham: z cegłów. Widać doskonale z szosy, bo majstry wybili wielkie okna, i ten komin murują. Po co w pokoju komin z cegłów? Czy te cegły niby takie piękne? Według Amerykan piękne, bo te rowki, co między cegłami się robią, jeden majster na biało szpachluje.

Zima zelżała już w styczniu, wiosna się widać wczesna zapowiada, bo i sójki do lasu odleciały, a jak sójki odlatują, to znaczy, że mrozy puszczą, i rzeczywiście słonko grzeje, ale ślicznie, z dachów kapie, odwilż na całego, tylko jezioro całkiem zmarznięte, dzieci się ślizgają. A że odwilż, to Amerykanom majstry wodę do domu ciągną. Boryna gada, że też będzie na wiosnę wodę ciągnął. Patrzajcie, jak to Amerykan małpuje! Ja tam, gadał piwo w sklepie popijając Smolarek, nawet jakby dulary miał, wody bym nie ciągnął. Bo i po co? Bydlątka wiosną, latem, jesienią w jeziorze się poją. A zimą, od czego ma dzieciaki? Wiaderko do studni spuszczą i wodę raz dwa wyciągną. I za darmo. Po co pieniądz bezużytecznie marnować? Czy taka woda na siebie zarobi, zwróci się?

Pewno, że się nie zwróci! A co ze studni wodę ciągnąć, to niewygodnie? za ciężko? Komu za ciężko, temu za ciężko. Borynie też za ciężko koniami orać, nabrał pola, nabrał, hektarów nakupował jak głupi, kto by tam u nas ciągnikiem orał? w kółku dwa są, ale stoją, rdzewieją, kto tam będzie z kółka ciągnik brał i płacił, jak można za darmo koniami zaorać, pieniądz sam nie wpada, śmiech wielki z tego kółka i nic więcej, czasem się weźmie kopaczkę, snopowiązałkę, kosiarkę, co by szybciej sianko skosić, ale żeby orać jak Boryna ciągnikiem? Na kółkowskim paliwie jeździ za pół ceny, ale i tak policzyć by, ile to on Prezesowi za paliwo miesiąc w miesiąc daje?

Ech, głupi ten Boryna, że nie wiem. Ta telewizja w głowie mu przewraca. To przecież prawie wszyscy telewizję oglądają i śmieją się z tych pierdoł, które w telewizji różne takie mężczyzny w krawatach, co to nigdy kobyle pod ogon nie zajrzały, wygadują.

Pod koniec lutego będzie Ciućkowa do Smolarków, w szybę o dziesiątej wieczór stuka. A niech ich Matka Boska nakopie w dupe! klnie Ciućkowa, otwórzcie, coś wam powiem ważnego!

O matko! woła, jak ją Smolarkowa do środka puściła, Smolarkowo! chcesz zobaczyć gołych Amerykan?

Jak to: gołych? pyta Smolarkowa, a Smolarek woła: Ja chcem! ja chcem! Amerykanową! Cyce ona ma jak gumowe, chcem zobaczyć!

Uhu, ale świnia! denerwuje się Smolarkowa, Smolarka za łeb i obie z Ciućkową wypychają Smolarka do sypialni. Do łóżka, pod pierzynę! gada Smolarkowa, a nie do cyców Amerykanowej!

Smolarek się śmieje i woła ciągle, że on chce, chce koniecznie!, ale Smolarkowa sypialkę na klucz zamyka.

Chustkę odziej i szybko, pogania Ciućkowa, a niechże ich, jakie to świnie bezwstydne, kąpią się dzień w dzień na golasa.

Całkiem na golasa? dopytuje się Smolarkowa i się żegna.

Całkiem. Całkiem są gołe!

To lecą obie, Ciućkowa ze Smolarkową, podejrzeć Amerykan. Ciuchutko, pod same okna od podwórza zaszły, a tam, Jezusie!, ale kino! Kino i zgorszenie!

Okno jasno oświetlone, tylko leciutką i przejrzystą firaneczką nylonową zasnute, za oknem widać tak: ściany w kaflach bordowych, uhu, ale paskudnych kaflach, ciemnych, i wanną widać zieloną, i lustra trzy wielkie w ściany kaflowe wpuszczone i jakieś inne figrydały błyszczące w tych ścianach, i gołą Amerykanową widać. Po łazience całkiem goła chodzi, przyśpiewuje sobie, kurek odkręca srebrny, woda cieknie do wanny z kurka od razu gorąca, widać, że gorąca, bo paruje, i w wannie w pianę białą ta woda się zmienia.

O matko święta, żegna się Smolarkowa, co to za woda, że się w piane zamienia?

Ale Ciućkowa szepcząc gada, że to nie woda pianowata, woda jest zwykła, tylko z takiej butelki Amerykanowa do tej wody coś psika i to coś w pianę jak żywe narasta. Bo, mówi Ciućkowa, ja tu już trzeci wieczór zachodzę, patrzę i własnym oczom uwierzyć nie mogę. Dzień w dzień takie świństwa wyprawiają w tej pianie. Jezu, Smolarkowo, zaraz zobaczysz, jakie świństwa oba dwa tu robią.

Matko święta, ruchają się? Tak na widoku? Tak na goło?

Jeszcze gorzej, żeby się ruchali! Oni się smyrają po plecach!

Jezusie Maryjo!

O, Amerykanowa do wanny wchodzi, cyce ma duże, sterczą jej gumiaste, brzucho też ma ładne, duże, uda grube, w pianę się zanurza i leży.

Czemu ona się nie myje! pyta Smolarkowa.

Ona zawsze tak, wlezie i leży najpierw w pianie, gada Ciućkowa.

O, Amerykan do łazienki wchodzi! Ubrany całkowicie. Ale świnio, ona goła, a on ubrany! Jezusie, aż strach patrzeć, aż gorąco uderza do głowy! O, teraz rękawy zakasuje, o, Amerykanowa plecy nadstawia, o, Amerykan w plecy Amerykanową smyra,. o, Amerykanowa się śmieje, o! Amerykan też się śmieje, o!, Amerykanowa na Amerykana wodą chlapie!, o! Amerykan dalej się śmieje, o, ale świnie, Jezu, Jezu, ale świnie.

Ożesz, nie moge dłużej, gada Smolarkowa, duszno mi jakoś.

A tu Amerykanowa goła z wany wyłazi. O, Amerykan ją ręcznikiem wyciera. O, świnia bezwstydna, w kark Amerykanową całuje. O, jak nic, zaraz ją wyrucha. Ale nie, Amerykanowa suknie długą odziewa, jasną, paskiem się przepasuje, a Amerykan spodnie ściąga. Jezu, nie do wytrzymania takie świństwa! Spodnie ściąga, gacie ściąga, wszystko mu widać, całe przyrodzenie! Ożesz! Mikry to on jest i niewielki, ale żenidło ma akuratne! Że się nie wstydzi tak przy Amerykanowej całkiem goły łazić? A łazi, podśpiewuje, a Amerykanowa wodę świeżą jeszcze całkiem wypuszcza z wanny i nową nalewa, psika tą pianą z butelki i piana wielka w wannie urasta raz dwa, klepie Amerykana po dupie, Amerykan śmieje się, zadowolony, do wanny włazi.

O! teraz mu Amerykanowa plecy smyra, a smyra, a śmieje się, a wodą chlapie, o Jezu, mówi Smolarkowa, spowiadać się z tego trzeba będzie, o Jezu.

O, dopiero się zaczęło wyprawiać następnego wieczoru! Chętnych do oglądania gołych Amerykan wielu, no, bo każdy gada, że nie uwierzy, dopóki nie zobaczy. Bo jakże to tak, żeby ludzie aż takie bezwstydne byli, albo żeby dobrą wodę marnowali?

No, to jak wieczór nadszedł z dziesięć bab i chłopów tyle na podwórko Amerykan się skrada. I pewno wszyscy na własne oczy te świństwa zobaczyli, bo zobaczyli już, jak Amerykanowa się rozdziała, jak do wanny wlazła golutka, jak w pianie sobie leżała niczym świnia wielka, drapiąc się w brzucho i w cyce, a popluskując, ale właśnie wtenczas Smolarek oknem z sypialni wylazł i nadszedł. To Smolarkowa jak swego chłopa zobaczyła pod oknem u Amerykan, jak nie wrzaśnie: Świnio ty jedna! Ostatnia! Cycków Amerykanowej zachciało ci się oglądać? I na Smolarka! I awantura! Amerykanowa myk! pod pianę, cycki ręcami zasłania. A Amerykan na ganek wypada, w ręcach coś trzyma, pewno rewolwer!

A gnały baby spod okna! A my wszyscy gnali! A Smolarkowa na szosie Smolarka dopadła i wrzeszczy, ty świnio!

A wszyscy na Smolarkową, że patrzenie zepsuła. A Smolarkowa, że co, może miała stać spokojnie i gapić się, jak się jej chłop gapi na gołą Amerykanową?

Sodoma i gomora. Zgorszenie ogólne. Baby zawzięte na bezwstyd Amerykanowej okropnie, ale my, chłopy, jakoś mniej zawzięte, uhu, trzeba powiedzieć że ta Amerykanowa baba fest! uhu, jaka fest, ale ma cyce, no, no, a niechże ją, sterczą jej te cyce jak bochenki chleba, gumiaste takie, twarde takie, uhu, kurna, i co taka piękna kobieta w takim mikrym Amerykanie widzi? Czy taki chłop mały, chudy jej wygodzi?

Fragment powieści „ŚMIERĆ JESIENINA"

CZY PAŃSTWO LUBIĄ MLECZKĘ?

Dalszy ciąg ze str. 1

– Tak, ale musiałoby to być dobre pismo. Nie wiem, czy mi się udaje, ale staram się rysować tylko dla pism o określonym profilu.

– Stanowią one jednak bardzo szeroki wachlarz.

– To prawda, ale trudno współpracować z „Literaturą", „Kulturą" i „Polityką" jednocześnie, bo po pierwsze redakcje by się nie zgodziły, a po drugie mnie by to znudziło. Głównie jednak chodzi o to, żeby były to gazety, które nie za bardzo kompromitują autora. Każda, z którą współpracuję ma swoją zaletę. Na przykład taki „Przekrój" daje mi publicity. „ITD" daje to, że obrazki są kolorowe. „Polityka" jest po prostu dobrym pismem. „Student" nic mi nie daje. Założyłem sobie lat temu kilka, że będę się zgadzał na współpracę tylko pod tym warunkiem, że mój obrazek jest cały czas w tym samym miejscu i jakoś identyfikuje się to miejsce z moją skromną osobą. Chodzi o to, aby był ostrą ramką oddzielony od całej reszty, żeby na przykład nie służył jako ilustracja do bardziej lub mniej głupiego artykułu.

– Jak się pan czuje w bocie na Mleczkę?

– To jest przede wszystkim zabawne. Byłem kiedyś we Wrocławiu na otwarciu swojej wystawy rysunków. Cały przerażony patrzyłem jak nastolatki szturmują bramę. Czułem się jak gitarzysta basowy z zespołu „Czerwone Gitary".

– Ile było tych wystaw?

– Bardzo mało. Nie lubię robić wystaw. Indywidualne wystawy miałem w Opolu, w Warszawie, Poznaniu i jeszcze gdzieś tam. Zbiorowe – to Montreal, Bratysława, Werona, Londyn, Monachium i jeszcze gdzieś tam...

– Jak to się wszystko zaczęło?

– Rysowałem mając trzy lata, ale panu chodzi zapewne o te rysunki gazetowe. Pamiętam, że wysyłałem rysunki do różnych redakcji i że ciągle mi je odsyłano.

– W którym momencie zaczęła się „cała naprzód"?

– Jakieś cztery lata temu. Najpierw było przebijanie się. Składałem czterdzieści rysunków i czekałem na wydrukowanie. W tej chwili sytuacja się odwróciła.

– Krytycy głoszą powstanie nowej polskiej szkoły rysunku satyrycznego. Co pan o tym sądzi?

– Ja wskoczyłem do tego wszystkiego później. Pierwsi byli moi koledzy, jestem z nich najmłodszy. Pech czy szczęście chciało, że trzy czy cztery osoby w roku 70 czy 71 zaczęły sobie rysować no i wyszło to co wyszło. Jest to na pewno grupa dobrych znajomych, chociaż element konkurencji istnieje.

– Z czego wynika pana zainteresowanie komiksem?

– Z tego, że akurat dobrze mi to wychodzi.

– Jak by pan to określił bliżej?

– Nie wiem, jak bym to określił. W miarę dobry praktyk za jakiego prawie że się uważam, nigdy nie będzie dobrym teoretykiem. Pozostawiam to innym, na przykład panu.

– Czy robił pan coś poza rysowaniem?

– Niewiele. Jest to jedna z cech zawodowstwa.

– Kto jest według pana dobrym zawodowcem?

– W tej chwili jest ich u nas czterech, może pięciu.

– Jak możliwa była współpraca Kofty z Dudzińskim na łamach „Literatury"?

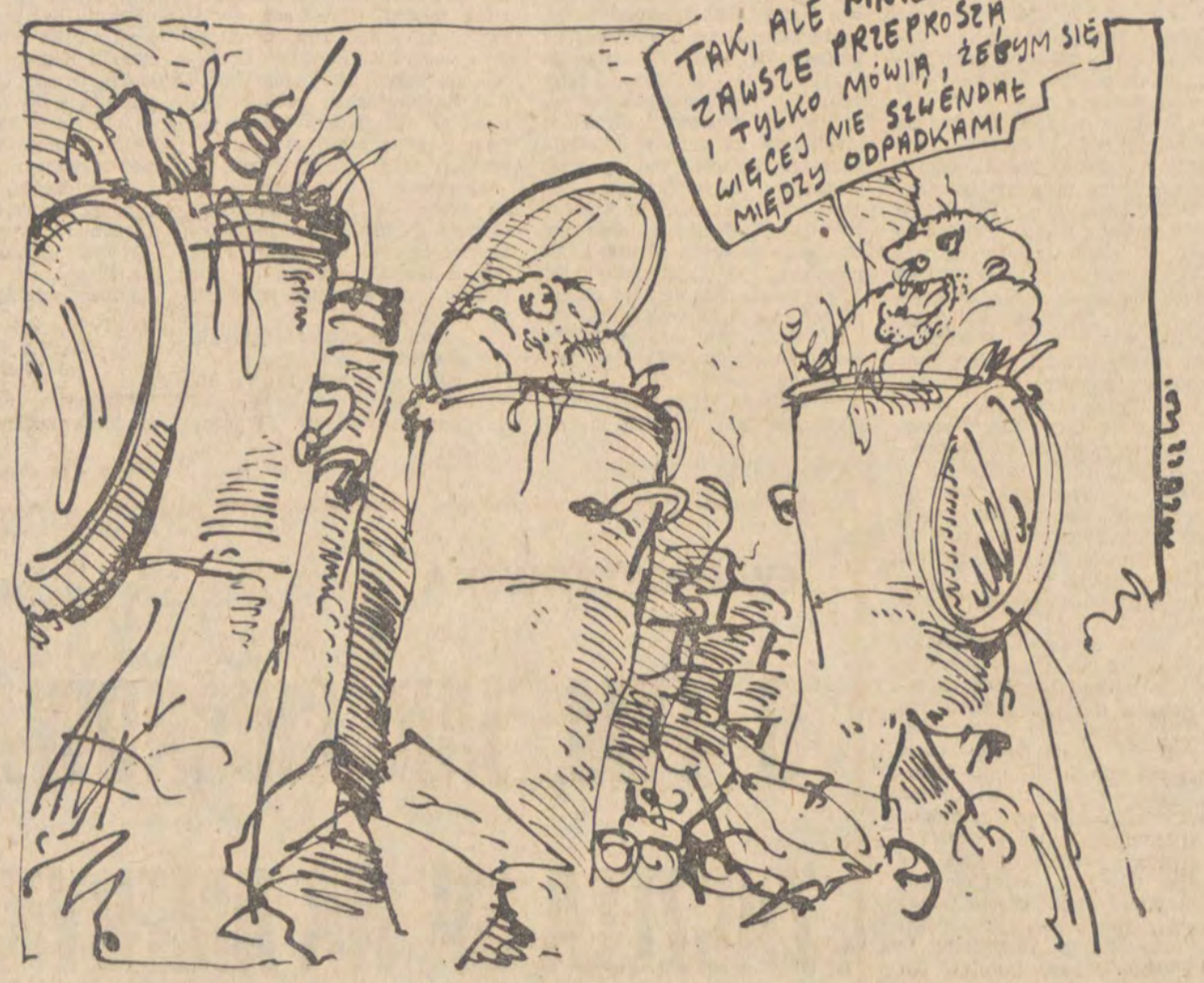

– Ja tego też nie rozumiem. Wszelka współpraca tego typu nigdy mi nie wychodziła.

– A gdyby zaproponowano panu zilustrowanie książki?

– Jakoś nikt mi tego nie zaproponował.

– Czy przewiduje pan przeskok z rysunku na coś innego?

– Być może, to wszystko zależy od tego, jak mi to będzie wychodziło. Gdyby jednak powinęła mi się noga, sprawiłbym tym przyjemność zbyt wielu ludziom. Dlatego nie śpieszę się zbytnio.

– Czy rysunki pana są wesołe?

– Niektóre pewnie są. W tej chwili słowo wesołość i śmieszność jest tak niesprecyzowane. Określenia „rysunek satyryczny" lub „humorystyczny" nie lubię. Sam nie wiem, jak je nazwać. Chyba najlepiej rysunki prasowe.

– Jak ocenia pan społeczne oddziaływanie swoich rysunków?

– Jest żadne.

– Czemu tak pesymistycznie?

– To proszę dać mi przykład, który wbiłby mnie w dumę.

– Załatwia pan jednak tymi rysunkami istotne problemy.

– Niczego nie załatwiam. Więcej załatwi jeden urzędnik przykładając jedną pieczątkę.

– Co ma pan napisane w rubryce zawód?

– Konsultant plastyczny teatru w Opolu.

– A ten zawód wynikający z rysowania w gazetach, jakby pan określił?

– Błazen za pieniądze czytelników.

– Jak traktuje pan swoje rozmowy z dziennikarzami?

– Jako zło konie... Czy to się wszystko nagrywa?

– Nie. Dopiero teraz włączyłem magnetofon. Uwaga! Zaczynamy: Gdyby się nasze role odwróciły, o co by pan zapytał?...

MAREK MILLER

ADAM LEWASZKIEWICZ

KLASERY PEŁNE FALSYFIKATÓW

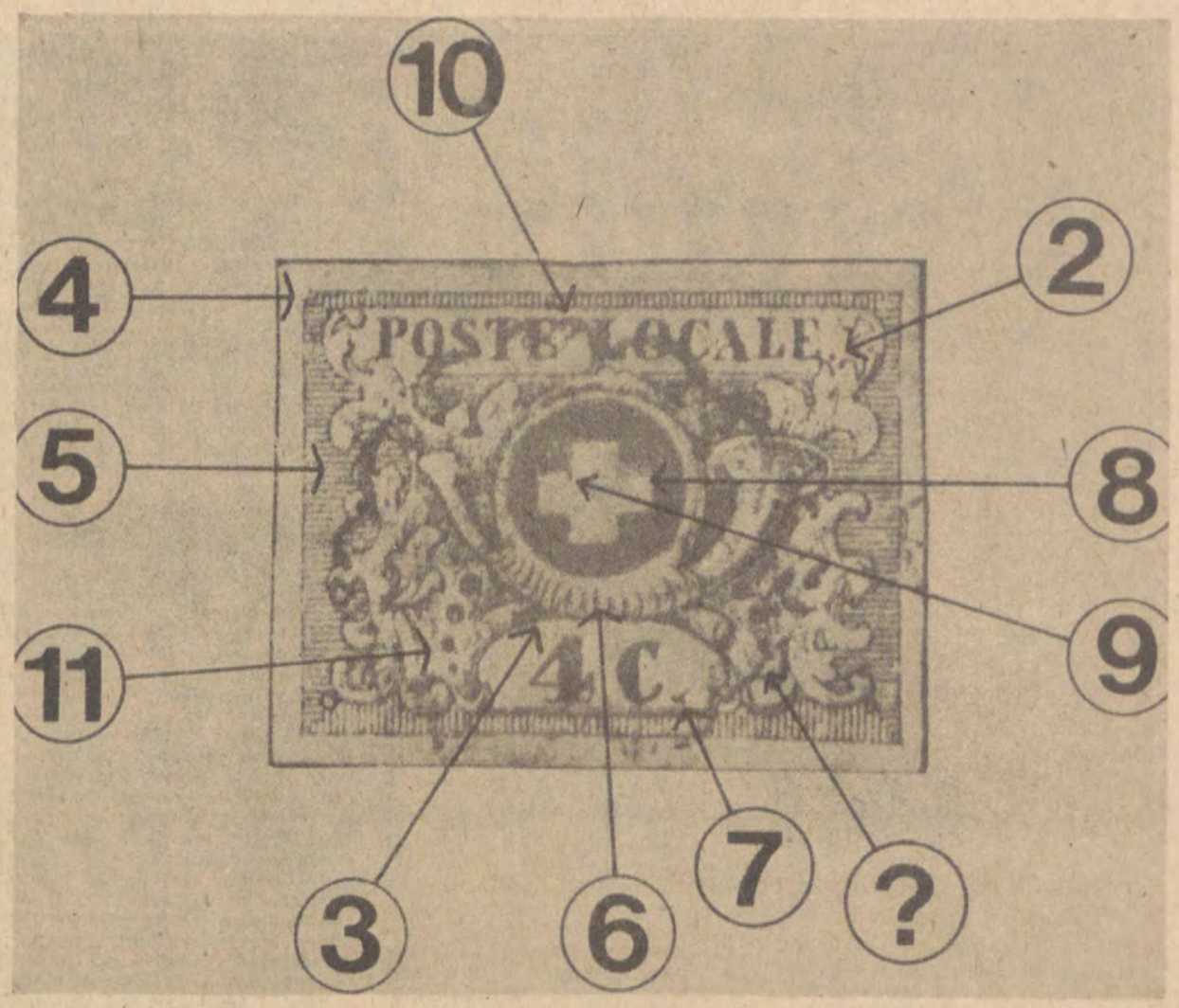

Znaczki pocztowe zbiera w Polsce pół miliona ludzi. Filatelistyce poświęcają czas uczniowie i dorośli. Reprezentują rózne zawody i są na różnych stopniach wtajemniczenia filatelistycznego bractwa. Jedni traktują zbieractwo pocztowych marek jako zabawę, wypoczynek, przygodę, inni stali się graczami, hazardzistami, a filatelistyka jest dla nich odmianą pokera. W filatelistyce – jak w każdej zabawie czy grze – obowiązują pewne reguły. Zbiera się więc znaczki tematycznie np.: transport, kosmos, sport, kwiaty, stroje ludowe, bądź też, choć coraz rzadziej, gromadzi się znaczki jednego państwa np.: Francji, Polski.

EKSPERCI CONTRA FAŁSZERZE

Ogromna liczba Polaków kolekcjonuje znaczki wydane w Polsce Ludowej. Każdy taki zbieracz pragnie mieć w swym klaserze pierwsze znaczki Polski Ludowej — serię „Wodzów" wydrukowaną 7 września 1944 roku w Lublinie, w polowych niemal warunkach, w prywatnym warsztacie drukarskim Pietrzykowskiego. Seria ta kosztuje obecnie 2250 zł. Osiągnęła już więc taką cenę, która stanowi pokusę dla fałszerzy.

Przed paru laty filatelistyczny rynek dosłownie zalan, był falsyfikatami tych znaczków. Przeciętnie na 20 serii, oglądanych przez rzeczoznawcę — tylko jedna (!) była oryginalna. Teraz fałszerstwa pierwszej powojennej serii spotyka się znacznie rzadziej, choć ciągle jeszcze wędruje do klaserów zbieraczy.

Pierwsze ostrzeżenie o fałszywych znaczkach tej serii ukazało się już w 1948 r. w „Biuletynie Informacyjnym Polskiego Towarzystwa Filatelistycznego w Krakowie". Potem w 1956 r. temat ten znów podjął „Filatelista" w artykule opracowanym przez St. Adamskiego, A. Łaszkiewicza i Zb. Mikulskiego. W cztery lata później ukazała się (znów w „Filateliście") kolejna notatka Zb. Mikulskiego.

Autor m. in. podaje: fałszowane znaczki cechuje wyraźne ząbkowanie 13 — zamiast postrzępionego i 11 1/2 jak w oryginałach.

Artykuły te czytali również fałszerze, gdyż po każdej publikacji falsyfikaty ulepszano. Zazwyczaj po opublikowaniu którejś z cech odróżniających falsyfikat — cecha ta zostawała przez fałszerzy usunięta lub poprawiona.

Taka zabawa trwać by mogła jeszcze długo, gdyby Czesław Danowski, ekspert z listy międzynarodowej, sędzia, wystawca międzynarodowy i publicysta nie wpadł na metodę, która mimo nanoszonych przez fałszerzy poprawek — pozwala zawsze odróżnić falsyfikat od oryginału.

Otóż inż. Czesław Danowski opublikował w „Łódzkim Biuletynie Filatelistycznym" pracę w której dowiódł, że drukowanej na tzw. siatce serii „Wodzów" praktycznie podrobić nie można, gdyż na każdym znaczku kropki siatki nie będą w jednakowym położeniu do obrazka znaczka. Każde fałszerstwo drukowanych tą metodą znaczków jest do wykrycia. Oczywiście praca inż. Danowskiego odnosi się nie tylko do tej serii — ma sens ogólniejszy, a na numer „Łódzkiego Biuletynu Filatelistycznego" z tą publikacją popłynęły zamówienia z zagranicy, zamawiali go nie tylko filateliści ale także policje, którym metoda ta pomaga w ujawnieniu także innych fałszerstw.

MODA W FILATELISTYCE

Najdroższym polskim znaczkiem pocztowym jest tzw. wydanie krakowskie. Na austriackiej marce „dopłata", na 10 koronach nadrukowano napis „Poczta Polska" w kolorze czarnym (nakład tylko 15 sztuk) i ten sam nadruk w kolorze czerwonym. Oficjalna cena 100 tys. zł za egzemplarz — na czarnym rynku przekracza 130 tys. zł. Oczywiście tylko niewielu filatelistów stać na taki wydatek. Stare znaczki rosną w cenie — choć ceny kształtuje także moda tematyczna.

Na czym polega to zjawisko? Weźmy za przykład znaczki obozów jenieckich. Kiedyś uważano, że nie miały one żadnego praktycznego znaczenia, że ozdabiały wewnątrzobozowe karty grzecznościowe. Sporo jednak ludzi, zwłaszcza tych, którzy byli w niemieckiej niewoli — zbierało je. Potem jednak, dzięki także pamiętnikom jeńców, dowiedziono że znaczki obozowe miały wartość praktyczną. W listach tych m. in. informowano się o terminach świadczonych sobie wzajemnie przez jeńców — usług — np. napraw zegarków, obuwia, munduru. W Sandbostel np. obóz oficerski oddzielony był od obozu żołnierskiego drogą, odległość od drutów stalagu do flagu wynosiła 12 m. Gdy żołnierze stalagu chcieli rozmawiać z kolegami z oflagu — wyznaczali sobie godzinę i miejsce przy drutach — właśnie za pośrednictwem poczty obozowej.

Teraz właśnie zbieranie znaczków i kart obozowych stało się najmodniejsze. Także w... RFN. W tym miejscu nie bez zdziwienia trzeba skonstatować, że znaczki z polskich obozów jenieckich w zachodnioniemieckich katalogach filatelistycznych traktowane są jako ... niemieckie, z następującą argumentacją: obozy znajdowały się na terenie ówczesnej rzeszy i wydawane były za zgodą niemieckiego komendanta obozu...

Ogromne zainteresowanie znaczkami obozowymi, popyt na nie ukształtował odpowiednio wysokie ich ceny. A drogie znaczki stają się przedmiotem zainteresowania... fałszerzy. Stąd mnożą się obecnie falsyfikaty znaczków obozowych.

Generalnie rzecz ujmując — i nie tylko w odniesieniu do znaczków obozowych — najwięcej falsyfikatów powstaje przy okazji drukowania katalogów, a jaśniej przy użyciu klisz używanych do drukowania katalogów.

ZNACZEK ZA MILION

Łódzki, wcale zresztą nie taki mały, świat filatelistyczny ma swoją sensację. Łodzianin jest posiadaczem pierwszego znaczka szwajcarskiego. A w katalogu Zumsteina z 1975 r. — znaczek taki wyceniono na 32.500 marek szwajcarskich, w rok później w katalogu Michla wyceniono go na 40.000 marek, ale jak twierdzą znawcy, na licytacji — gdyby taki rzadki znaczek wystawiono — osiągnąłby cenę znacznie wyższą. Ten „łódzki" znaczek jest pięknie zachowany. Jego stan jest rewelacją światową — orzekł ekspert.

Ktoś znaczek ma i pragnie go sprzedać, ktoś inny na znaczek reflektuje. A cena, bagatela! — „tylko" milion złotych.

Jeśli fałszuje się znaczki o mniejszej wartości — to oczywiście te rzadkie — najczęściej. Wokół filatelistycznych rarytasów aż się roi od falsyfikatów. Toteż reflektant przyszedł do inż. Danowskiego i rzekł: — Kupię ten znaczek jeżeli pan zadecyduje, że to nie falsyfikat.

Żaden szanujący się ekspert nie powie od razu — to oryginalny znaczek lub falsyfikat, gdyż fałszerze są coraz sprytniejsi, mają coraz to nowocześniejsze urządzenia i starają się zdobyć całą wiedzę o fałszowanej marce.

Ale eksperci mają na nich swoje sposoby. I tu zdradzimy kilka ich sekretów. Międzynarodowe biuro ekspertów rozsyła do swych członków informacje o k a ż d y m ukazującym się na filatelistycznym rynku — falsyfikacie. Biuro to wydaje również t y l k o d l a e k s p e r t ó w książki i publikacje ze spisem cech tajnych lub nie ujawnionych jakie zawarte są w oryginalnych, rzadkich znaczkach.

Łódzki ekspert inż. Czesław Danowski zabrał się więc do pracy. A my popatrzmy jak wygląda ekspertyza.

Pierwszy znaczek szwajcarski tzw. „czterocentówka" pochodzi z 1849 r. Podstawową sprawą jest więc badanie papieru. I odpowiedź na pytanie — czy papier na którym drukowany jest znaczek odpowiada tamtym czasom. Ekspert ustalił, że skład papieru, jego grubość, długość włókien papieru odpowiada cechom papieru na którym były drukowane pierwsze szwajcarskie znaczki.

1. Wymiary znaczka (21 i 1/4 na 15 i 3/4 mm) są takie jak oryginału. (Wymiary są też ważne, gdyż tzw. nowodruki są nieco większe).
2. Po słowie „Locale" powinna być okrągła kropka. Wiele falsyfikatów ma zamiast niej pochyloną kreseczkę. Kropka jest wyraźna i okrągła.
3. Ramka okalająca podaną wartość znaczka „4 C" powinna być cała, nienaruszona. Wiele falsyfikatów bowiem powstało w ten sposób, że z tańszej i późniejszej „pięciocentówki" wyskrobywano cyfrę pięć i dobijano czwórkę.
4. Górne lewe naroże jest jakby niedokończone, wydrapane. I to się zgadza z oryginałem.
5. Następna tajna cecha — z lewej strony, powinno znajdować się 61 poziomych kresek (nie licząc kresek ramki) a z prawej 60.
6. Na brzegu rysunku trąbki powinno być 18 kresek.
7. Po literze „C", jak po słowie „Locale" powinna znajdować się kropka.
8. Krzyż nie powinien być obwiedziony czarną ramką.
9. Krzyż powinien być nieregularny, a nadto powinno się na nim znajdować wcięcie w głąb.
10. Zgadzają się również wymiary i wcięcia stempla pocztowego.
11. I została ostatnia cecha: po każdej stronie cyfry znajdują się cztery kropki. Na badanym znaczku z lewej strony są cztery wyraźne kropki — natomiast z prawej strony tylko trzy. Dopiero po zrobieniu zdjęcia i przy użyciu odpowiednich filtrów widać punkt, jakby małą czwartą kropkę.

— A więc panie inżynierze oryginał?

— Raczej tak.

— Raczej?

— Właśnie tylko ta jedna kropka zadecyduje o tym czy znaczek wart jest milion.

— Ale jak się o tym przekonać?

— Właśnie trzeba poszukać nowego sposobu, by upewnić się czy ta czwarta kropka jest tam na pewno.

Ekspertyza nie jest więc jeszcze ostatecznie zakończona choć wszystko wskazuje na to, że znaczek jest oryginalny. W historii łódzkiej filatelistyki jest to najdroższy znaczek, rzecz bez precedensu.

Wszystko w kolorze blue

Dalszy ciąg ze str. 1

Wtargniesz w ciszę między parawanami lasów — kolorowe budki, kioski, pakamery i odrapane wozy Drzymały bez kół. To owoce drobnomieszczańskich ciągot, chęć posiadania chaty za wsią za wszelką cenę. Na budy przyszedł kres, przed rokiem zakwestionowano ponad trzy tysiące bezprawnie wydzielonych działek wraz z tym, co na nich stoi, ale że wzniesiono tam również pokraczne murowańce, wiele wody upłynie w Nerze, nim się odchwaści krajobraz z budownictwa pseudorekreacyjnego.

We wsiach województwa miejskiego, gdzie niemal połowę mieszkańców stanowią tzw. „dwuzawodowi", zaczyna się cierpieć na kompleks miasta i rośnie wstyd przed wiejskością.

Przy domach nie widać już dawnych, ozdobnych, stylowych ganków, bo praktyczniejsza i tańsza jest betonowa weranda.

Przed domami nie ma alei i krzewów; małe kwietniki są wprawdzie wymuskane i zadbane, ale najczęściej w wyniku akcji prowadzonej przez Koła Gospodyń Wiejskich, a nie z potrzeby serca.

Zauroczeni betonem i asfaltem, na wsi również zaczynają z chorobliwą pasją tępić drzewa, strzechy i zieleń, plantując i wycinając wszystko, co reliktowe, wiejskie.

Za granicą domy i ogrodzenia zdobi się dekoracyjną snycerką. U nas tylko siatka. Bo zezwolenie na cały płot z siatki kosztuje dwie stówy, a za ozdobne żelazne ogrodzenie płaci się trzysta za metr bieżący.

Buduje się kamienice jak pudełka. Forsy dużo, na budowanie stać każdego; na architekturę już nie, choć kosztuje grosze. Jest w urzędzie gminnym ponad trzydzieści dokumentacji indywidualnych, ale wszyscy wybierają typową. Bo jak wzór nietypowy, to zaraz całe korowody, marnowanie czasu, niemożność zdobycia właściwych materiałów budowlanych.

Ponadto nie bez znaczenia są tutaj — ludzka mentalność i sposób myślenia. Współzawodnictwo: kto postawi szybciej większy i solidniejszy bunkier, zwany szumnie willą.

Na tle tej szarzyzny, pokraczności i monotonii wyraźnie odbija wieś **Prawęcice.** Pasażerowie autobusów kursujących na trasie Łódź-Poddębice mówią: „Zaraz będzie ta niebieska wieś..."

2.

Pierwszy powszechny przegląd gmin wykazał, jak wiele jeszcze zaniedbań i niedociągnięć istnieje na wsiach województwa miejskiego. Na podstawie tej lustracji prezydent Miasta Łodzi zatwierdził szczegółowy program porządkowania gmin i sołectw. Po siedmiu miesiącach, w lutym ub. roku, podczas narady prowadzonej przez wiceprezydenta **Lecha Krowirandę**, stwierdzono, iż realizacja szeregu zaleceń dla gmin nie jest należycie kontrolowana. Postanowiono więc zapewnić rolnikom pełne dostawy materiałów budowlanych i eternitu na krycie budynków, na których dotąd były strzechy. Przygotowano również dokumentację 742 działek pod budownictwo indywidualne przyzagrodowe. Stwierdzając, iż sprawą dużej wagi jest estetyczny wygląd naszych wsi, postanowiono, że Lipiny koło Nowosolnej i Prawęcice pod Aleksandrowem będą wsiami wzorcowymi, w których zwróci się szczególną uwagę na porządkowanie obejść, rozbiórkę ruder, instalację nowoczesnego oświetlenia i stawianie efektownych ogrodzeń.

W marcu br. zwróciłem się do **Janusza Łysika**, sekretarza do spraw rolnych KM-G PZPR w Aleksandrowie z prośbą o ocenę przebiegu realizacji postanowienia w Prawęcicach.

— Wytypowano tę wieś, ponieważ jest długa i zabudowana jednostronnie, a domy stoją tuż przy drodze. Leży przy trasie przelotowej, na granicy z Sieradzkiem, może więc być dobrą wizytówką województwa miejskiego.

— Jak zareagowali na propozycję mieszkańcy?

— Przyjęli to z zainteresowaniem i aprobatą. No, ale mniej entuzjastyczni też się znaleźli. Sprawę omówiono na ogólnowiejskim zebraniu i do dzieła wzięła się najpierw grupa łódzkich plastyków.

— Był z nimi etnograf?

— Nie przypominam sobie. Wykonano zdjęcia każdego obejścia, a następnie wykonano plansze, na których, obok fotografii, znajdował się rysunek budynku z oznaczoną kolorystyką poszczególnych fragmentów. Plastycy chcieli, żeby zniszczyć siatkowe płoty, ale to nie przeszło. Zaczęto od porządkowania obejść i czyszczenia rowów.

— A potem wielkie malowanie?

— Każdy otrzymał planszę, darmowy przydział farb i termin wykonania. Pędzle poszły w ruch w maju, efekty są widoczne...

— Wieś wzorcowa kojarzy się ze wsią nowoczesną.

— Chcemy, żeby tak było. Ze względu na bliskość Łodzi i dobrą komunikację połowa właścicieli prawie siedemdziesięciu gospodarstw pracuje poza rolnictwem. Po drugim przeglądzie gmin zagospodarowano wszystką źle uprawianą ziemię. Maszyny walały się po krzakach, musieliśmy więc zbudować na wykupionym od rolnika placu bazę SKR. Są wsie, gdzie wartość produkcji towarowej z 1 ha wynosi 6 tys. zł. W Prawęcicach podciągnęliśmy ją do 13 tys. zł. To jeszcze mało, ale nie od razu Kraków zbudowano. We wsi brakuje jeszcze wiele urządzeń, nie ma na przykład klubu z prawdziwego zdarzenia, ale sądzę, że dzięki zaangażowaniu mieszkańców i dobrze współpracujących POP i koła ZSL, wiele tam będzie można zdziałać.

3.

Przemierzyłem kilkakrotnie **Prawęcice** i stwierdziłem, że ogólnie wieś sprawia przyjemne wrażenie, zwłaszcza dla pasażerów szybko przemykających samochodów osobowych i autobusów. Ze szczegółami jest już jednak gorzej.

Przede wszystkim kolorystyka. Owszem, ładna i zharmonizowana, wielobarwna, ale zdecydowanie dominuje kolor niebieski i ciężka ultramaryna. Nie wsadzam nosa w kompetencje plastyków, ale uważam, że w tej sprawie powinien wypowiedzieć się etnograf i osądzić czy wieś podłódzka była kiedykolwiek malowana na chabrowo od fundamentów po kominy, jak to zrobiono w Prawęcicach. Wszystko w kolorze blue...

Niektórzy z rolników wyłamali się z „akcji". Jeden męczył się kilka dni nad rozbiciem fundamentów i przesunięciem płotu, drugi nie przestawił betonowego płotu.

Kilka domów jest nie pomalowanych, ale dwa, z których w jednym okna zapchano gazetami, pójdą do rozbiórki.

Jeden pomalował werandę w ciapki, drugi wyprosił, żeby nie zarzucać cementem szczytowej ściany, na której pną się winogrona. I bardzo dobrze, mogłoby tak zostać, byłoby choć trochę zieleni, której przed domami nie uświadczysz. Ani krzaczka, ani drzewka...

W późniejszych rozmowach z mieszkańcami dowiedziałem się, że przed malowaniem na tynkowanie poszło dziesiątki ton cementu. Otynkowano i pomalowano od frontu kilka starych chałup, czyli — jak mówią we wsi — zakryto bidę.

Aby wykazać się reporterską sumiennością, polazłem w zastodola, obchodząc wieś od tyłu. Jest kilka nowych stodół i nowoczesnych obór (to w związku ze specjalizacją i tworzeniem tzw. pierścienia mlecznego), ale widać też czarne szopy, stare drewniane sraczyki, chwiejne płoty, zabłocone i zagracone podwórka, nieliczne zaś budynki inwentarskie maźnięte są niedbale farbą, oczywiście w kolorze blue.

Po wnikliwej penetracji wieś przypomina starą kobietę z podszpachlowaną pudrem twarzą i nie domytą tylną częścią ciała.

No, ale co by się nie powiedziało, daj Boże, aby wszystkie wsie wypadły chociaż tak jak **Prawęcice** w konkursie na najlepiej przygotowaną do wiosny miejscowość, ogłoszonym przez Urząd Miasta Łodzi.

Miasto nie szczędziło środków, aby **Prawęcice** wyglądały estetycznie. I to się częściowo udało. Mieszkańcy doceniają pomoc miasta, ale są też nieco zawiedzeni.

Oto ich opinie:

— Na mury poszło dziesiątki kilogramów farb emulsyjnych i tyleż samo farb olejnych na płoty. Na stare płoty, które szybko się rozsypią...

Ale ja widziałem, że trzech gospodarzy zbudowało z nowych desek sosnowych wielkie okólniki dla bydła.

— Nie ma przystanku autobusowego osłoniętego od deszczu i wiatru. Klub mieści się w drewnianej budzie po starej szkole. Stoi tam nieczynny magiel elektryczny.

— Mamy hodować bydło mleczne, a latem, w niedzielę, krów nie można przepędzić przez drogę. Trzeba koniecznie ograniczyć szybkość samochodów, których przejeżdża tam od cholery.

— Gdy pada deszcz, błoto pryska spod kół na malowane płoty i ściany frontowe domów.

W maju ubiegłego roku rozpoczęły się prace polowe, a jednocześnie trzeba było się zająć malowaniem i przestawianiem płotów, aby robotnicy mogli położyć wzdłuż całej wsi chodniki. Przez pole idzie do **Prawęcic** nowoczesność: kopie się rów pod wodociąg.

— Wodociąg miał iść za stodołami, ale pójdzie od frontu. Będą zrywać cały chodnik...

Założono betonowe płyty przed sklepem i położono piękny chodnik, ale przy wjazdach do zagród pozostały spadziste wyrwy. Można tu wybić zęby, a woda spływa z drogi na podwórka. Trzeba by zalać wyrwy albo wyłożyć trylinką, jak to zrobiono przy wjeździe do bazy SKR.

Samochody niszczą krawężnik jezdni i wjeżdżają na wąskie pobocze, gdzie mogłyby rosnąć kwiaty lub krzewy.

W Prawęcicach miało być nowoczesne oświetlenie. **Na słupach pod** zielonymi kloszami wiszą tradycyjne żarówki, które od trzech miesięcy nie świecą. A wsie na uboczu, jak **Krasnodęby** i **Chrośno**, są w nocy oświetlone.

— Nowoczesności nie ma — mówi na zakończenie jedna z kobiet. — **Nie ma nawet wypożyczalni sprzętu domowego. Przyjdzie wesele, to chodzi się po domach i zbiera garnki, talerze, szklanki. Przydałby się ośrodek „Praktyczna Pani", bo my chcemy nie tylko pracować, ale i żyć nowocześnie.**

4.

Architektonicznie **Prawęcice** mają jedną ważną zaletę: niemal wszystkie domy znajdują się pod niewysokim, spadzistym dachem, bardzo komponującym z płaskim krajobrazem. Większość płotów, chociaż wszystkie w kolorze blue, jest drewnianych, domy natomiast murowane, dachy zaś kryte papą, blachą, dachówką i eternitem.

Z tego, co tu wypisuję, można by wnioskować, iż jestem naiwnym i sentymentalnym piewcą słomy i drewna. Otóż nie! Ale wiem, że strzecha z dobrej słomy może leżeć nie tknięta dwadzieścia lat, natomiast blachę, z którą krucho, trzeba co kilka lat reperować albo wymieniać. Wyczytałem też, że na wsiach angielskich są jeszcze domy kryte strzechą, obok której znajdują się takie cuda techniki rolniczej i hodowlanej, o jakich naszemu rolnictwu nawet się nie śniło.

Jeśli zaś chodzi o drewno, to wiadomo, że na przykład najładniejszy jest płot drewniany, i to mi się w **Prawęcicach** podoba. Ale nie tylko ze względów estetycznych (po co w jednym kolorze?): drewno postoi czterdzieści lat, siatka wytrzymuje dwadzieścia, przy czym co parę lat trzeba ją malować i konserwować.

Wyliczono już, o czym się głośno nie mówi, że budownictwo murowane pochłania i niszczy więcej drewna, niż można by z niego wybudować. Ale my z drewna nie budujemy, bo zabrakło już nawet fachowców w tej dziedzinie. W „Czterdziestolatku" w sposób groteskowy pokazano fachowców ściągniętych z Podhala, ale faktycznie dochodzi do tego, że sprowadza się ich ze Szwajcarii...

A co będzie, gdy na wieś wkroczy budownictwo płytowe? Nie znajdzie się murarza, o którego już dziś trudno.

Doceniam inicjatywę tworzenia wsi wzorcowych, ale byłoby dobrze, gdyby takie wsie zawierały w sobie dobrze wyważone elementy nowoczesności i reliktu, połączenie drewna ze stalą, bogatej naturalnej zieleni z betonem i stonowaną kolorystyką. Przy czym nie należy bezmyślnie niszczyć stare i wznosić nowe, bo jest to zbyt kosztowne.

Władze **gminy Aleksandrów** postanowiły własnym sumptem przeprowadzić zabiegi kosmetyczne we wsi **Wierzbno**, która byłaby niejako przedłużeniem sąsiednich **Prawęcic.** Sądzę, że jest to decyzja głęboko przemyślana, w myśl zasady: „mierz siły na zamiary". Bo farbą i pędzlem można trochę poprawić estetykę, ale na pewno nie stworzy się nowoczesności.

RYSZARD BINKOWSKI

EUGENIUSZ IWANICKI

NA PRZYKŁAD: GMINA ZGIERZ

Grupą społeczną, której nigdy nie zaskakują zmiany pór roku, są rolnicy. Jest to jedyna gałąź produkcji, gdzie następujące po sobie kolejno okresy termiczne wymagają coraz to innego, choć od wieków wypracowanego, działania. Ale wiosna wymaga największego bodaj wysiłku, przygotowania sprzętu, sadzonek, gleby. Od tego zależą późniejsze zbiory, ilość warzyw na rynku, mąki w piekarniach. Na przykładzie gminy Zgierz chcę przedstawić trudności, kłopoty i wysiłek służby rolnej, w tym najbardziej niespokojnym i pracowitym okresie.

Do obsiewu i obsadzenia na wiosnę tego roku w gminie Zgierz jest około 6 tysięcy ha ziemi, z czego 800 ha należy do rolników indywidualnych. Reszta znajduje się w SKR — **Zgierz,** Rolniczych Spółdzielniach Produkcyjnych — **Gieczno, Glinnik i Kwilno,** Robotniczej Spółdzielni Wytwórczej **Srebrna-Dąbrówka** oraz Okręgowym Ośrodku Badania Odmian Roślin Uprawnych w **Lućmierzu.** W tej chwili na wszystkich niemal polach wrze praca, choć wyposażenie w sprzęt nie wszędzie jest wystarczające, a jego przygotowanie do prac wiosennych częstokroć pozostawia wiele do życzenia.

W SKR — Zgierz na jeden ciągnik przypada ponad 100 ha ziemi (powinno być około 50 ha), co oczywiście bardzo wydłuża prace polowe, a tym samym opóźni w przyszłości dojrzewanie zbóż, kukurydzy, buraków i ziemniaków. Sekretarz KG do spraw rolnych, tow. **Roman Błażejewski** powiedział, że w zasadzie nie ma problemu z przygotowaniem sprzętu do akcji wiosennej, lecz są częstokroć trudności z ludźmi odpowiedzialnymi za te prace. Na przykład w RSP — Kwilno zauważa się dość lekceważący stosunek zarządu spółdzielni do spraw gospodarskich. Pomimo interwencji Komitetu Gminnego partii i kierownictwa służby rolnej niewiele się tam dzieje. W końcu ub. roku usunięto ze stanowiska w RSP prezesa, lecz jego następca także nie kwapi się do pracy, nie przejawia inicjatywy. Zapanował w Kwilnie swoisty marazm. Oczywiście, praca w Kwilnie nie jest łatwa: od dwóch lat prowadzona jest tam melioracja gruntów, co poważnie utrudnia prace gospodarskie, jednakże nie może to w żadnym stopniu tłumaczyć braku organizacji pracy, troski o powierzony sprzęt rolniczy itp.

Ludzie decydują o tym, czy orki i obsiew zostaną zakończone w terminie. Przykładem sprawnej organizacji jest SKR w Zgierzu. Na przestrzeni pół roku zmieniło się tam dwóch dyrektorów, a mimo to praca spółdzielni jest dobra, sprzęt przygotowany. Mobilizacja sprzętu rolniczego byłaby jeszcze lepsza, gdyby POM w **Rąbieniu** przyśpieszył naprawy ciągników zarówno dla SKR jak i dla pozostałych jednostek uspołecznionych z terenu gminy.

Wiosenne prace polowe to nie tylko dobry i sprawny sprzęt zmechanizowany. To także nawozy, nasiona i sadzeniaki. Kierownik służby rolnej Urzędu Gminnego w Zgierzu, **Mirosław Łazicki,** powiedział, że tych pierwszych jest wystarczająca ilość, choć przysparzają sporo kłopotów tak służbie rolnej jak i użytkownikom. W ubiegłym roku, w czasie prac pożniwnych i jesiennych nie było dostatecznej ilości odpowiednich asortymentów nawozów. Dostarczano je na skład po zakończeniu prac polowych, co minęło się z celem. Indywidualni odbiorcy natomiast nie mogą jakoś zrozumieć, że w nawozy należy zaopatrywać się dużo wcześniej, a nie w ostatniej chwili. Wtedy bowiem tworzą się kolejki przed magazynami, występuje gwałtowny brak niektórych asortymentów, no i traci się cenny czas.

Nasiona stanowią podstawę dobrych plonów, szczególnie te kwalifikowane. W gminie Zgierz nie odczuwa się braku nasion zbóż jarych, buraków, kukurydzy, trawy i mieszanki traw. Występują drobne niedobory nasion warzyw gruntowych: marchwi i ogórków. Źle przedstawia się natomiast sytuacja z zaopatrzeniem w ziemniaki-sadzeniaki. Gminna służba rolna złożyła zamówienie w **Centrali Nasiennej w Koluszkach,** w ramach planowej odmiany, na 740 ton sadzeniaków, a otrzymała w sumie 500 ton. Realne potrzeby gminy wynoszą jednak około 900 ton. Dysproporcję tę na pewno rolnicy wyrównają, przeznaczając do sadzenia ziemniaki znajdujące się we własnych kopcach. Niestety, będą to ziemniaki nie kwalifikowane, a co za tym idzie — mogą być chore, o zmniejszonej plenności. Stąd słuszne pretensje gminy do Centrali Nasiennej, która przyjmując zamówienie nie poinformowała w porę odbiorcy, że nie będzie w stanie zapewnić dostarczenia potrzebnej ilości sadzeniaków. Wówczas służba rolna zdążyłaby w porę przedsięwziąć odpowiednie kroki, aby ziemniaki będące w kopcach sklasyfikować, a także dokonać wymiany pomiędzy poszczególnymi rolnikami. Obecnie taki manewr jest spóźniony.

Na polach gminy Zgierz trwają prace polowe. I choć w tradycji rolniczej istnieje przekonanie, że prace wiosenne najlepiej rozpoczynać jest w środę po południu, lub w sobotę, to parę dni słonecznej pogody wygoniły w pola wszystkich. Trwa siew owsa i mieszanek zbożowych, przygotowuje się pola pod ziemniaki. Około 80 proc. prac jest poważnie zaawansowanych. Przodują tu wsie: **Dąbrówka, Kębliny, Wysiekierz Rudny, Grabiszew, Rosanów, Ciosny.** Ale są tereny, gdzie obserwuje się poważne trudności z wyjściem na pole ze sprzętem ciężkim. **Kwilno, Lorenki** leżą w kotlinach, na polach stoi jeszcze woda. Ale i tam niedługo wyjadą ciągniki.

Skoro mowa o ciągnikach, należy stwierdzić, że jest ich nadal za mało. Gmina Zgierz, chcąc dotrzymać terminów agrotechnicznych, a tym samym osiągnąć lepsze plony, potrzebuje co najmniej 50 dodatkowych ciągników wraz z maszynami towarzyszącymi. Na przykład sprzęt SKR może zaorać co najwyżej półtora tysiąca hektarów, a zamówienia od rolników są dwukrotnie wyższe. Oczywiście, każdy hektar ziemi zostanie zaorany, lecz czas zasiewów znacznie się wydłuży. W jednostkach gospodarki uspołecznionej sprzęt rolniczy jest wykorzystywany maksymalnie, czego nie da się powiedzieć o ciągnikach będących własnością gospodarzy indywidualnych. Oblicza się, że na jeden ciągnik powinno przypadać od 30 do 50 ha ziemi. Rolnik indywidualny posiadający 10-hektarowe gospodarstwo przeznacza z reguły własny ciągnik (po skończeniu prac polowych u siebie) na transport materiałów budowlanych oraz inne usługi, nie związane bezpośrednio z pracami polowymi. Nie trzeba nikogo przekonywać, jakie to ma skutki w czasie nasilenia się prac wiosennych.

Tak więc batalia o przyszłe plony rozpoczęta. W gminie Zgierz trwa pełne pogotowie rolników i służby rolnej, traktory ciągnące pługi budzą z zimowego uśpienia ziemię. Będziemy z uwagą śledzić tę ciężką, lecz także pożyteczną pracę.

Foto: W. Parys

MIASTECZKO NA SZLAKU

Dalszy ciąg ze str. 1

KAŻDEMU POTRZEBNY DACH NAD GŁOWĄ

Petenci pytają o cement i materiały budowlane, o stal zbrojeniową, bardzo potrzebną odkąd władza rozdzieliła działki budowlane, tworząc zaczątek osiedla domków jednorodzinnych. Jeden obywatel błagał o szczególną pomoc, bo pod Szczecinem zabrał z przypadkowo napotkanego złomowiska kilka metrów starego i porzuconego pasa transmisyjnego, a że dostrzegł to milicjant, więc obywatela posadzono w areszcie — do wyjaśnienia. Wykupił się z tego aresztu kaucją, ale teraz władza miejsko-gminna ma mu napisać podanie do prokuratora, że właściwie sprawy nie ma, bo ten pas transmisyjny nie miał właściciela. Przyszedł też ojciec z synem, aby władza rozsądziła słuszność zaorania granicy między rozdzielonymi wśród nich już kiedyś polami.

Sekretarz nie może wszystkiego załatwić, bo decyzje wydaje tylko naczelnik. Zresztą autorytet naczelnika jest już tak duży, że gdy jest nieobecny ani sekretarz, ani nikt z pracowników urzędu nie jest w stanie go zastąpić.

Złoczew któremu w 1605 roku prawa nadał Zygmunt III Waza, aż po raz padał ofiarą ognia. Pożary niszczyły miasteczko w 1808 i 1882 roku, a 80 procent domostw strawił pożar w 1939 roku. Trzydzieści km stąd przebiegała wtedy granica polsko-niemiecka.

Gdy mieszkańców jest 2800, to i budowa dwóch nowych bloków staje się wybawieniem. Poprawi się sytuacja 90 rodzin, gdy te bloki staną. I to osiedle domków jednorodzinnych ma pomóc w rozwiązaniu kwestii mieszkaniowej. Działki na 99-letnią dzierżawę dostaje każdy, kto się tylko zgłosi — sporo jest nawet zamiejscowych, młodych ludzi, którzy tutaj, w Złoczewie, chcą żyć na swoim, a nie z rodzicami. Powstała już nawet hydrofornia, ale do momentu, gdy z kranów popłynie woda, a domów jest tu pewnie z tysiąc — jeszcze daleko. Sekretarz ma nadzieję, że te dwa bloki i te wodociągi będą gotowe do 1980 roku.

KŁOPOTY ZE ŚW. ANDRZEJEM

Miasteczko żyje nie tylko sprawą dachu nad głową. Prawie czwarta część mieszkańców pracuje we wspomnianym „Terpolu" i innych zakładach i instytucjach — w Gminnej Spółdzielni, SKR, w oświacie, sporo jednak nadal dojeżdża do pracy w Sieradzu, Wieluniu czy nawet na Śląsku, bo na miejscu pracy już zabrakło. Więc i tworzenie nowych miejsc zatrudnienia spędza sen z oczu władzom miejsko-gminnym.

— Jest w budowie rejonowa przychodnia lekarska — mówi Marian Magda. — Buduje się magazyn krwi dla potrzeb służby zdrowia, magazyny GS, jest w planie chlewnia dla SKR. Cieszą się ludzie, że coś się rusza, coś buduje, choć owe domki jednorodzinne (niektóre stoją już w stanie surowym) buduje się na terenach nie uzbrojonych, więc co trzeźwiejsi obywatele mówią, że naczelnik dał działki, ale ile kłopotów spadnie na naczelnika, gdy będą tam już mieszkać ludzie?

Złoczew kupił kiedyś miecznik sieradzki Andrzej Ruszkowski herbu Pobóg. Udał się on z pielgrzymką do Rzymu, aby, jak głoszą zapiski, odpokutować za grzechy, a potem, dla dopełnienia ekspiacji, postanowił zbudować kościół parafialny. Temu kościołowi dał właśnie imię swego patrona, św. Andrzeja. Wkrótce powstał także klasztor, w którym Ruszkowski osadził bernardynów. Ale bernardyni z czasem wynieśli się w inne strony, a klasztorne cele oddano kamedułom.

Kłopoty wynikły ze św. Andrzejem, bo jego postać utrwalona została w herbie miasteczka. Jak to? Święty w herbie?

Przypomniano więc sobie, że przez jakiś czas nie było w tym herbie żadnego świętego, a zwykły, myśliwski chart i podkowa, jakby w nawiązaniu do łowieckich tradycji złoczewiaków. Więc zasłaniano się nieco tym drugim herbem, ale przecież do dziś święty Andrzej nie został ostatecznie zdetronizowany.

AMBICJE I PATRIOTYZM

Prawdziwa klęska spotkała Złoczew kilka lat temu.

— Przymierzaliśmy się do powiatu — mówił Magda. — Planowaliśmy już nawet rozwój pewnych instytucji szczebla powiatowego, bo wszyscy uważaliśmy, że do powiatu Złoczew dorósł. Sprawa jednak, jak wiecie, przepadła z kretesem.

Ambicje, powiew historii, te zabudowania pałacowe, gdzie się mieści internat dla licealistów, te ogrody pałacowe, w których wszystkie wiązy i jesiony są dokładnie opisane w kronikach — to ludzi „trzyma", stanowiąc ważny element więzi. Przy ul. Błaszkowskiej mieszka jeden z najbardziej oddanych regionowi lokalny patriota, **Leon Szymański.** Ma poza sobą blisko 50 lat służby publicznej, był burmistrzem, potem przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej, teraz działa w **Towarzystwie Przyjaciół Złoczewa.** Z dumą pokazuje koperty pamiątkowe, wydane sumptem Towarzystwa, z nadrukiem stanowiącym skrót historii miasteczka. Można na tych kopertach odczytać takie ciekawostki, jak to, że w XVIII wieku miasto słynęło z wyrobu bryczek i wozów, że do najstarszych rzemiosł należeli tu szynkarze i piekarze.

Towarzystwo skupia około 100 członków, a wśród nich znajdują się i dwaj zagraniczni „członkowie-korespondenci" — jeden mieszka w Szwecji, drugi — we Francji. Prezesuje **Jan Skórzewski,** były sekretarz MRN. Spisywanie kroniki miasteczka powierzono prawnikowi **Jakubowi Perskiemu,** ostatnio zatrudnionemu w Sieradzu.

— Jak to? — pytam — siedzi w Sieradzu i pisze o tym, co się dzieje w Złoczewie?

— Jakoś sobie radzi. Zresztą przyjeżdża dwa-trzy razy w tygodniu do Złoczewa, bo ma tu rodzinę, rozejrzy się więc po miasteczku, pogada, zanotuje, niczego chyba nie przeoczy.

Również i **Leon Szymański,** choć już nieco sterany tym półwieczem rządzenia miasteczkiem, ożywia się, gdy rozmowa wraca do spraw najbardziej pilnych. Stara się odpowiedzieć np. na pytanie: — Co bym zrobił, gdybym nadal był naczelnikiem? — Przyspieszyłbym, jak tylko byłoby to możliwe, budowę wodociągów i kanalizacji, przychodni lekarskiej, ruszyłbym z budową ośrodka rekreacyjnego.

— No właśnie! Żyjecie przy tak ważnej trasie, przy E-12, setki turystów przejeżdżają tędy każdego dnia.

Powinien powstać tu jakiś motel czy hotel, żeby tych ludzi można było gdzieś zatrzymać. Bo na razie E-12 zatruwa nam tylko powietrze spalinami samochodowymi. Co bym jeszcze zrobił jako naczelnik? Walczyłbym o etat zastępcy naczelnika. Wie pan, jak to jest. Naczelnika nigdy pan nie zastanie, tak jest rozrywany, ciągle jeździ na konferencje, narady, do województwa na sesje. A sprawy czekają na jego decyzję. I nam należy się etat zastępcy, tak jak Warcie, Błaszkom, czy Poddębicom.

MOŻNA ZROBIĆ WIELE

W drodze do Komitetu Gminnego i Miejskiego PZPR wstąpiłem do biblioteki miejskiej. Bibliotekarka **Leokadia Armanowska** naświetliła mi problem literackiej konsumpcji w miasteczku. Najwięcej wypożycza książek historycznych i popularno-naukowych. W tym więc fakcie również przejawia się kult dla przeszłości z jednej strony, a z drugiej — potrzeba uzupełniania na bieżąco wiedzy o świecie i zjawiskach. Najlepiej „idzie" Prus, Orzeszkowa, Sienkiewicz, a przede wszystkim Rodziewiczówna. Oczywiście, powodzenie mają także „Szmaragdowe oczy" Auderskiej i „Wszystkie barwy codzienności" Paukszty. 9 tysięcy tomów jest w tej bibliotece, a więc ponad trzy książki na jednego mieszkańca. Dużo to, czy mało? Kultura w Złoczewie ma swoje małe centrum — tuż obok biblioteki jest sala kinowa, czynna pięć razy w tygodniu, obok zaś łaźnia.

Rozmowa w Komitecie Gminnym i Miejskim PZPR pozwoliła mi uzupełnić opinię o miasteczku i jego mieszkańcach.

— Wiele spraw załatwia się tu bez głowy. — powiedziano mi tam. — **Np. te działki budowlane. Jak można stawiać cokolwiek na terenach, gdzie nie ma ani wody, ani kanałów? Gdy spadnie ulewa, wszystko potopi.**

Chcemy zbudować przedszkole sposobem gospodarczym i czynami społecznymi, czy nam się to uda? Spróbujemy w każdym razie. Gdzie tylko można, staramy się nie dopuścić do tego, aby powtórzyła się historia z przychodnią. Jej budowę przerzucali sobie przez całe lata jak piłeczkę ping-pongową budowlani z Wielunia i budowlani z Sieradza. Wreszcie „padło" na Sieradz i przedsiębiorstwo sieradzkie buduje nam tę przychodnię. We właściwym czasie nie zatroszczono się o przebudowę synagogi.

Spoglądam przez okno. Widać za nim potężny prostokątny gmach z brązowej cegły, mury jeszcze zdrowe. Przekształcono go kiedyś na magazyn, ale teraz GS rozbudowuje się, więc może zrobić w murach dom kultury?

— Albo zabytek przy rogu Szkolnej i Wieluńskiej? Dawne kozackie stajnie, przestronne, w dobrym jeszcze stanie. Stoją już ze sto lat, a powierzchni mają chyba z tysiąc metrów kwadratowych. Za mało w Złoczewie sklepów, więc może w stajniach po Kozakach zrobić teraz halę targową czy dom handlowy?

Myślę, że dla tych, którzy odczuwają taką potrzebę aktywniejszego wyżycia się, roboty tutaj nie brak. Wpajanie gospodarzom zamiłowania do porządku i ładu, uczenie obywatelskiego myślenia, zaangażowanego społecznie działania. Żeby ludzie wiedzieli, jaki jest sens ich pracy, jakie są ich prawa, ale jakie też obowiązki. Żeby w drodze do punktu skupu nie sprzedawali cieląków handlarzom śrubującym potem ceny na rynku, bo jeśli zniesiono obowiązkowe dostawy, to przecież nie oznacza to zniesienia wszelkiego poczucia dyscypliny społecznej i obywatelskiej.

A wśród młodzieży złoczewskiej? Nie chodzi chyba tylko o to, aby wiedziała co to jest ZSMP, ale żeby mocniej wiązała się z ziemią, która ich wykarmiła, żeby i tu, wśród swoich widziała szansę dla siebie. Nie tak znów trudno, gdy się tego pragnie, realizować własne ambicje życiowe w tym mieście i w tej gminie, gdzie co krok znaleźć można miejsce dla inicjatywy i zapału. Najłatwiej jest machnąć ręką i jechać do innych miast, szukać szczęścia w innych regionach. Niejednego, wiadomo, ciągnie tylko przygoda, a nie charakter, ciągnie — o czym mówią mi z nieukrywanym żalem — do Łodzi, na Śląsk, do Sieradza, chociaż tu na miejscu tyle jeszcze do zrobienia.

Foto: W. Parys

FELIKS BĄBOL

ANTOLOGIA PRZYJAŹNI

Po antologiach literatury rosyjskiej, radzieckiej oraz węgierskiej mówiących o tematyce polskiej, na półkach księgarskich ukazał się wybór poezji Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Zadania edycji najwartościowszych lirycznych poloników zza Odry podjął się znany germanista z Poznania, doskonały znawca liryki niemieckiego obszaru językowego, Stefan H. Kaszyński, mający w swym bogatym dorobku naukowym i edytorskim także pozycje z zakresu poezji NRD, w tym nierzadko z naciskiem na sprawy polskie.

Pojawienie się antologii z dziedziny polonofilskiej literatury niemieckojęzycznej, wywołać musi w odbiorcy nieodzowne reminiscencje z przeszłości. Jak wiadomo, historia motywu polskiego w literaturze niemieckiej należy do tyleż interesujących formalnie, co częstokroć tragicznych w swej genezie dziejów piśmiennictwa. Literatura niemiecka rzadko w minionych stuleciach mówiła pozytywnie o Polsce, często zaś uderzała w nutę nacjonalizmu i szowinizmu, silnie zabarwionego nienawiścią do naszego kraju. Germanistyka polska okresu powojennego zajęła się eksploracją literackich stosunków niemiecko-polskich dosyć intensywnie, słusznie dostrzegając w tym zagadnieniu jeden z węzłowych punktów badawczych, ściśle powiązany z żywotnymi interesami narodu polskiego. Warto tutaj przypomnieć, że wśród uczonych podejmujących powyższą tematykę, zwraca uwagę działalność łódzkiego germanisty, profesora Arno Willa, autora wielu cennych merytorycznie i ważnych społecznie rozpraw naukowych.

Wśród licznych stosunkowo prac z zakresu niemiecko-polskich stosunków literackich dawał się odczuć brak informacji odnośnie tematyki polskiej w najnowszej literaturze niemieckojęzycznej. Antologia Stefana H. Kaszyńskiego wychodzi naprzeciw dużemu zainteresowaniu, jest ona jednocześnie świadectwem prężności poznańskiego środowiska, szczególnie zasłużonego w badaniach nad relacjami niemiecko-polskimi.

Poezja Niemieckiej Republiki Demokratycznej o Polsce i Polakach jest w prostej linii kontynuatorką polonofilskiej liryki niemieckiej XIX wieku, kiedy to nad Renem i Łabą powstały w euforii dla polskich zrywów narodowowyzwoleńczych liczne pieśni i wiersze sławiące naszych rodaków, jak i przymioty patriotów nie istniejącej wówczas na mapach ojczyzny. Przyjazna Polsce literatura niemiecka w niektórych epokach, była w zasadzie nikłym śladem wśród antypolskiego piśmiennictwa tego kraju. Wrogie Polsce nastroje, uwidocznione na kartach literatury pięknej, znalazły swoje apogeum w okresie dwudziestolecia międzywojennego, kiedy to powieści, nowele i dramaty jednoznacznie służyły przygotowaniu atmosfery dla mającej nastąpić agresji.

W tej sytuacji literatura Niemieckiej Republiki Demokratycznej stanęła przed niezwykle skomplikowanym zadaniem. Jak pisze Stefan H. Kaszyński w swym bardzo wartościowym wstępie, „upadek Trzeciej Rzeszy w rezultacie klęski faszyzmu oraz proklamacja w roku 1949 Niemieckiej Republiki Demokratycznej stworzyły nową sytuację dla antropologicznej konfrontacji obu sąsiadujących narodów. Po tragicznych latach drugiej wojny światowej wydawać by się mogło, że nie sposób już będzie pisarzom niemieckim podjąć się trudu zdobycia zaufania Polaków do narodu niemieckiego. A jednak był to warunek konieczny dla dalszego współistnienia. Sprawą równie ważną było wyrugowanie zakorzenionych od lat w świadomości przeciętnych Niemców fałszywych stereotypów w odniesieniu do Polski i Polaków".

Z perspektywy niemalże trzydziestu lat istnienia socjalistycznego państwa niemieckiego oraz tyleż samo lat pokojowego, przyjaznego sąsiedztwa z Niemiecką Republiką Demokratyczną, możemy stwierdzić, że twórcy tego kraju niemało włożyli wysiłku, aby zrewaloryzować błędne wyobrażenia swych obywateli o naszej przeszłości i teraźniejszości. W okresie po roku 1949 na temat Polski wypowiadali się liczni twórcy we wszystkich trzech rodzajach literackich, wymieńmy tutaj przykładowo tak znane nazwiska jak Johanes Bobrowski, Christa Wolf, Herman Kant, Helga Schütz, Kurt David czy Werner Heiduczek. Jak twierdzi Stefan H. Kaszyński, w liryce „najbardziej bezpośrednio ujawniają się uczucia i sentymenty. Poezję, w której występują motywy polskie, można klasyfikować zarówno w aspekcie tematycznym, jak i pokoleniowym. Nawet pobieżny przegląd dorobku poetów NRD-owskich wykaże, że tematyką polską zajmują się wszystkie pokolenia twórców na przestrzeni lat powojennych". Przeglądając karty antologii, znajdujemy potwierdzenie słów wydawcy, do najstarszych pisarzy NRD-owskich, do protoplastów piśmiennictwa tego kraju zaliczyć możemy Johannesa R. Bechera (ur. 1891) oraz Bertolta Brechta (ur. 1898), zaś do najmłodszego pokolenia liryków, debiutujących w latach sześćdziesiątych, należą m.in. Wolfgang Jöhling (ur. 1944) czy Florian Kokot (ur. 1945). Zainteresowanie tematyką polską, często fascynacja, jest więc widocznym trendem wśród całokształtu poetyckiej twórczości w Niemieckiej Republice Demokratycznej. W penetracjach źródłowych Stefan H. Kaszyński napotkał na setki wierszy o tematyce polskiej, ze zrozumiałych względów antologia mogła pomieścić tylko niektóre z nich. Tak więc tom *Przybliżenia* prezentując wybór 67 wierszy 34 autorów, wydaje się być całkowicie reprezentatywny dla całokształtu zagadnienia. Całość zawartych w antologii utworów jest podzielona na kilka kręgów tematycznych. Do najważniejszych z nich należą wiersze obrachunkowe, dalej wiersze nawiązujące do krajobrazu lub do postaci sławnych Polaków (np. Chopin, Mickiewicz, Poniatowski, Kościuszko, Kopernik), czy wreszcie liryki mówiące o dniu codziennym, o sprawach mniej może ważnych, ale typowych dla naszego społeczeństwa. Inaczej to wyrażając, antologia przynosi wiersze mówiące o ważnych wydarzeniach z przeszłości oraz o stosunkach współczesnych, wśród których fascynacja dla naszego kraju jest wyraźnie odczuwalna, i to nie tylko w wypadku twórców urodzonych na ziemiach należących obecnie do Polski, lecz także — i ci poeci nawet przeważają — u liryków znających nasze ziemie na prawach turysty. Nie miejsce tutaj na wyliczenie niektórych chociaż autorów, chociaż nie brak w tomie głośnych nazwisk, koryfeuszy poezji NRD-owskiej. Przytoczmy jako ilustrację jeden z wierszy Wolfganga Jöhlinga, znanego już u nas poety i tłumacza (przed laty pisał o nim na łamach *Odgłosów* Konrad Frejdlich), sympatyka wszystkiego, co polskie:

PONIATOWSKI

Igrając patrzeć
stawiać na właściwego konia
Iść naprzód z postępem
wbrew bitwom narodów

Cóż to za sztuka
królestwo za konia
skąd wziąć by nie ukraść

Nad oszukańcza Elstera
rozpływa się nie tylko spojrzenie
narodów.

(tłum. S. H. Kaszyński)

Przez wszystkie bez wyjątku wiersze snuje się nić sympatii do naszego narodu; prawda, że nie zawsze wyrażona w najwyższej formie artystycznego kunsztu, ale w tym wypadku treść góruje nad formą. Antologia Stefana H. Kaszyńskiego jest literackim dowodem dobrosąsiedzkich stosunków pomiędzy obydwoma krajami, jest przykładem, że odwieczne źródła nienawiści mogą być przy dobrej woli zasypane i w miejsce odium może pojawić się przyjaźń i zaufanie. Na styku odwiecznych kontaktów niemiecko-polskich możność powyższego stwierdzenia urasta do rangi wydarzenia. Antologia *Przybliżenia* daje świadectwo głębokim przemianom w mentalności narodu niemieckiego, przynajmniej tej części, która mieszka pomiędzy Odrą a Łabą.

Ważkiej treści tomu idzie w parze znakomite opracowanie całości (wybór, układ, słowo wstępne, notki biograficzne) antologii przez Stefana H. Kaszyńskiego oraz wysokiej jakości tłumaczenia, przy czym częściowo wykorzystano już istniejące, a częściowo dokonano nowych translacji.

Antologia poezji Niemieckiej Republiki Demokratycznej o Polsce jest bez wątpienia dużym osiągnięciem edytora i wydawnictwa, jak również ważnym krokiem w pogłębianiu przyjaźni po obu stronach Odry.

KRZYSZTOF A. KUCZYŃSKI

Przybliżenia. Poeci Niemieckiej Republiki Demokratycznej o Polsce. Wybór, przedmowa i noty biograficzne Stefan H. Kaszyński, tłumacze różni, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1978, ss. 138, cena zł 30.

„WĘZEŁ"

Gdyby zestawić antologię tekstów metapoetyckich — utworów zapowiadających bądź formułujących określoną poetykę czy postawę estetyczną, poetyckie credo — jak się zwykło mówić — niewątpliwie należałoby do niej włączyć i „Moją muzę" T. Soldenhoffa. Zestawienie obok siebie takich poetyckich tekstów miałoby wartość diagnostyczną, pozwalającą określić przemiany, jakim poezja polska podlegała od roku 1956 (debiutów pokolenia „Współczesności") po wystąpienia najmłodszych poetów (zatem i autora „Węzła"). Owe ostatnie propozycje poetyckie sprawiają krytyce literackiej sporo kłopotu z tej racji, że i obszar nowej poetyki nie dość jest jeszcze rozpoznany, mgławicowy, amorficzny i jakby w intencjach samych poetów wprowadzający na powrót kategorię „ja" — odnosząca ich poezję do incydentalnych i personalnych dokonań. Czy możliwe są jednak pewne hipotezy krytyczne na temat interpersonalnej sukcesji, przejęcia (aprobatywnego lub negatywnego) elemetów „tradycji najbliższej", którą czasowo przynajmniej określają daty 1956—76? Placet comparare. Prównajmy zatem wiersz debiutanta — Grochowiaka z debiutantem — Soldenhoffem. Oto fragment „Naszej wiedźmy" pierwszego i „Mojej muzy" drugiego poety:

1. (...) Nasza wiedźma nie ma duszy
mówi tylko przedmiotami
Wacha mięso zamiast róży
Woli rzepę od konwalii
Nasz wiedźma

2. (...) Jeszcze nie schizofreniczna, chociaż już nerwowa
moja muza robi w portki na
lekcji gramatyki,
kuca pod ławką, trenuje tiki
zmęczenia i nudy (...)

Bez pretensji do ogarnięcia wszystkich sensów, jakie wypływają z tych dwu fragmentów, wynotujmy pierwiastki różniące te postawy poetyckie.

Mimo przewrotne i programowo „turpistyczne" przezwanie muzy „wiedźmą" przydaje się jej moc demiurgiczną. Reprezentuje bowiem owa „wiedźma" — poprzez przekorny i brutalny wybór wartości „niższych", „plebejskich" — nowy model poezji: nominalistyczny („mówi tylko przedmiotami") i minimalistyczny zarazem, który J. Łukasiewicz określi później jako „szmaciarstwo". Piękna brzydota zostaje tu przeciwstawiona konwencjonalnym stereotypom piękna, zaś przedmiot deklaracji słownej charakterystycznej dla okresu poprzedniego. Cała operacja określenia nowej poetyki dokonuje się na drodze przekodowania elementów natury na elementy sztuki.

W wierszu drugim istnieje tylko jakby plan „kultury". Poezja „dzieje się" tu nie między „mięsem" i „różą", ale między „schizofrenią" i „gramatyką", zajścia międzysłowne wprowadzają hipostazy zamiast przedmiotów.

Drugą opozycję ewokują wyrażenia zaimkowe. Przeciwstawiono tu bowiem „nasze" — „mojemu". „Nasze" pokolenia „Współczesności" było poświadczeniem optymistycznych przewidywań, że tworzy się oto wspólna poetyka nadbudowana nad zindywidualizowanymi głosami poetyk jednostkowych. „Ja" Soldenhoffa zawiera — oprócz sygnału „wyznania intymnego" — moment osobistej odpowiedzialności za przywołane w wierszu osądy. Być może — z pewnymi w tym przypadku uproszczeniami — dałoby się określić transformację postaw poetyckich najbliższych nam czasowo poprzez „grę zaimków": my — wy — ja.

Wydaje się, że kategoria „wy" była wszechpanująca w poetyce tzw. nowej fali. Apelatywność tej liryki i konsekwentnie z tym związana retoryczność wprowadziła w sposób mniej lub bardziej jawny owo „wy".

Głównym bohaterem aktu komunikowania staje się odbiorca. Jemu to — zniewolonemu przez mass media (jak to określali poeci tego nurtu) należy zaproponować nowy typ przekazu poetyckiego wyzwalający odbiorczą aktywność oraz budujący postawę refleksyjną. Ów akt katarktyczny — akt „mówienia wprost" — nie był, niestety, pozbawiony pewnych niebezpieczeństw, o czym zresztą wiele pisano. Załamanie się nadziei wiązanych z interwencyjną rolą poezji w życiu społecznym jest najprawdopodobniej przyczyną postaw frustracyjnych poetów młodszych o przysłowiowy jeden tomik. Następuje ucieczka w „ja" — najpierw (trochę chyba za Wojaczkiem) w „ja biologiczne", potem zaś w „ja wątpiące". Jeśli można sparafrazować wcześniejsze sformułowanie, iż „ekstaza przeszła w ironię", rzec by można, że w grupie poetów najmłodszych ironia przeszła w autoironię.

W ten sposób na powrót trafiliśmy do wiersza Soldenhoffa. Czymże bowiem jak nie autoironię i dalej — autodestrukcję własnej poetyki oferuje T. Soldenhoff. Autodestrukcję na tyle wyraźniejszą, że przygotowywany przez Wyd. Łódzkie tom jego wierszy nosi tytuł „Koniec poezji". Ów element prywatnej poetyckiej katastrofy wnosi także tytułowany wiersz z omawianego tomu — „Węzeł":

Ja artysta — rzeczownik w formie żeńskiej nazywający mężczyzn
Czuję
jak mi to Ja w gardle rośnie
samozaciskowy węzeł

Nie jest to już „knebel powietrza" z wierszy powstających w latach 70-tych, jest to „ja" uwikłane w konieczność samookreślenia się i „bycia dla innych" z dialektyczną antytezą niewładności nazwania poprzez poezję. Język, który dla „lingwistów" (mimo celowe jego przedrzeźnianie i podkreślana często jego zniewalająca siłę) był jednak energią diadycznie zespoloną z rzeczywistością — tutaj staje się zbiorem pustych reguł gramatycznych. Posiadanie własnego „ja", przeżycie własnej „osoby" równoznaczne jest tutaj z konieczną rezygnacją z określenia się poprzez akt poetycki. Rozbudowano całe instrumentarium „gramatyczne" po to, by wykazać bezsilność języka (i poezji):

Ja: niewątpliwie do końca męskoosobowy, nie mający
Nie mający na szczęście odpowiednika
w liczbie mnogiej, ani
Ani niestety rodzaju (...)
ponadto ja:
Co wsiąż występuje ze swoim zaprzeczeniem (nie wiedząc
na domiar, czym biernik, mianownik,
czy może jednak wołacz)
tak, że z moim „tak" do taktu jest na
nie „nie".

Artykulacja własnego „ja" okazuje się być niemożliwa. Sam akt mówienia przybiera (celowo) postać jak to nazywa E. Benveniste „gadaniny". Podkreśliliśmy tu celowość tej metody, gdyż nie wynika ona bynajmniej z niesprawności warsztatowej młodego poety — jest natomiast nowym „prześmiewczym" stosunkiem wobec języka, innym wszakże wobec uprzednich dokonań „nowej fali".

Świadomość podjętej przez Soldenhoffa polemiki z „nową falą" winna nam towarzyszyć przy odczytywaniu utworów zawartych w „Węźle". W powierzchniowej bowiem strukturze znaleźć można niby refleksy nowofalowej poetyki, mimowolne jakby zasłuchanie się w stylistykę wierszy z lat 70. Tak więc na pozór zbieżne się mogą wydać takie frazy:

1. (...) „już oczyszczeni, jeszcze nie otłuszczeni"...

2. „Jeszcze nie schizofreniczna, chociaż już nerwowa (...)".

Sytuacja paradoksalna: opozycja wyrażeń zawierających już wewnętrzna antynomię:

1. już.., jeszcze nie 2. jeszcze nie... już

W pierwszym przypadku chodziło wszakże o określenie dialektyki „zmiennego ciała stałego", w drugim zaś — o prezentację samej procesualności polegającej na zawieszeniu wyboru między metoforą a metamorfozą. Utwór pierwszy ewokował owe „wy", o którym pisaliśmy wcześniej, wiersz Soldenhoffa przywołuje „ja" („moją muzę").

Metoda obrazotwórcza: „zawieszenie". „otwarcie" metaforyki jest charakterystyczne dla większości utworów Soldenhoffa. Ten ciąg „proponowanych" obrazów — metafor wytwarzanych i natychmiast jakby poddawanych destrukcji odnajdziemy choćby w wierszu „Moja jawa":

która musi być podparta aby stała —
jak pijany górał
gdzie zaś by tam! — nie uczona
kościelnego pienia
wyślizgana jest od dotknięć niby zakopiański trakt (...)

Spójność sytuacyjna: górala — zakopiańskiego traktu — kościelnego pienia rozbita jest poprzez wtrącone ironiczne „gdzie zaś by tam!". Owo rozbicie spójności sytuacyjnej transferowane jest dalej na płaszczyznę „powiadomienia":

(...) Kiedy powiem, że Południe — nie
uwierzy, ale przemyt
mego, Ja zorganizuje bez zarzutu na
swój język,
tak jak dziecko,
któremu jednak w chwilach nieuwagi zdarza się być mną (...)

Komplementowałem poezję Soldenhoffa oszczędnie. Wydawało mi się, że właściwsze było dopisanie do tej niewątpliwie interesującej propozycji poetyckiej kontekstu, w jakim się pojawiła. Z dwu — silniej zaznaczających się w twórczości poetów najmłodszych tendencji: ekstatycznej oraz autoironicznej Soldenhoff wybrał tę drugą. Wierzę, że jego teza o „końcu poezji" nie ma na celu kokietowania czytelnika, jest natomiast, jak sam poeta wyznaje „widomym przejawem zmiennych igraszek Losu, dowodem prawdy, że niejednej sprawie jesteśmy przypisani, lecz wciąż dążymy do nowych wcieleń, do Pełni". Sam jednakże nie wyrażam zgody na „śmierć poezji".

HENRYK PUSTKOWSKI

Tomasz Soldenhoff — Węzeł, pod red. Piotra Kuncewicza. Pokolenie, które wstępuje. Seria III — 3 (red.) Jerzy Leszin Koperski.

„KLĄTWA"

„Klątwa" jest jednym z tych utworów w dziejach naszej literatury dramatycznej, o którego wystawienie toczyła się dziesięcioletnia prawie batalia. Dość przypomnieć tytuły kilku artykułów, jakie zapełniały szpalty gazet i czasopism w latach 1910—1920, aby zorientować się w rozmiarach i charakterze dyskusji wokół tragedii Wyspiańskiego: **„Wyklęta «Klątwa». Rozdział Kościoła i Teatru", „Praktyki krakowskiej cenzury teatralnej", „Oświadczenie pisarzy polskich z powodu zakazu grania «Klątwy»", „«Klątwa» Wyspiańskiego zakazana przez ks. bpa Sapiehę".**

Galicyjska cenzura, działając w porozumieniu z kurią biskupią, obłożyła „Klątwę" anatemą i zdecydowanie zakazała wystawiania tragedii w teatrze krakowskim i lwowskim. Nie po raz pierwszy w literaturze polskiej pojawił się utwór kompromitujący przedstawicieli duchowieństwa i nie pierwszy raz zaistniała wokół tego tematu zażarta polemika.

Warto więc przy okazji premiery w Teatrze Ziemi Łódzkiej przypomnieć niebłahy chyba fakt, że pierwsza sceniczna realizacja tragedii Wyspiańskiego odbyła się w Teatrze Polskim w Łodzi 23 października 1909 roku i wraz z fragmentem „Zygmunta Augusta" zainaugurowała nowy sezon teatralny. Reżyserował ów pamiętny spektakl A. Mielewski przy wydatnej współpracy Aleksandra Zelwerowicza. **„Wrażenie było tak wstrząsające, że mało utworów w literaturze Europy podobnych wstrząśnień udziela ze sceny"** — zanotował jeden z ówczesnych recenzentów. Szczególnym uznaniem cieszyła się gra jednego z najmłodszych aktorów w zespole Zelwerowicza — Stefana Jaracza (Dzwonnik) i przybyłej na gościnne występy Stanisławy Wysockiej (Młoda).

„Klątwa" nie jest z pewnością utworem, który ułatwiałby wybór określonej koncepcji inscenizacyjnej. Przyglądając się tragedii Wyspiańskiego nietrudno zauważyć wyraźną i z pewnością zamierzoną dwoistość konstrukcyjną utworu. Można „Klątwę" potraktować jako swoistą relację z autentycznych wydarzeń, można również dostrzec w niej ponadczasowe wartości tragedii antycznej. Za pierwszą z tych koncepcji przemawiają zawarte w utworze elementy skrajnie realistyczne, dowodem chociażby szczegółowe opisy dekoracji i ścisła lokalizacja miejsca akcji, natomiast ujęcie problematyki w kategoriach Winy, Kary i Oczyszczenia, które jest swoistą wersją arystotelesowskiego katharsis, a także zabiegi czysto formalne, jak wprowadzenie chóru, wskazują na świadome nawiązanie do tragedii greckiej.

Tej dwoistości konstrukcyjnej zdaje się odpowiadać wyraźna dwoistość w planie ideowym utworu: Ksiądz i Pustelnik uosabiają dwie przeciwstawne potęgi — religię katolicką i pogaństwo, a walkę tych potęg obrazują wypowiedzi i poczynania Chóru, którego rola została w spektaklu **Jerzego Hoffmanna** wyraźnie wyeksponowana. Gromada chłopska gniewna, agresywna, a nawet niebezpieczna jest właściwym sprawcą tragedii. Założenie to w sferze teoretycznej nie budziłoby większych wątpliwości, gdyby nie jego realizacja praktyczna. Intencje reżysera zmierzające najwyraźniej do realistycznego przedstawienia gromady, nie przyniosły oczekiwanych efektów. Zabrakło indywidualności i zróżnicowania środków aktorskich, a wachlarz tych, które zastosowano przedstawia się nader skromnie, pozostawiając u widza uczucie zrozumiałego niedosytu. Jedynie scena symbolizująca zwycięstwo „starej wiary", której korzenie tkwią jeszcze głęboko w świadomości ludu, rozwiązana została w sposób trafny: Chór klęka w milczeniu po słowach Pustelnika, ignorując całkowicie obecność Księdza.

Skoro już o kapłanie owej „starej wiary" mowa, nie sposób pominąć faktu, który musi budzić poważne wątpliwości. Określenie „pustelnik" funkcjonuje w naszej świadomości w sposób ściśle — nazwijmy tak — zdefiniowany, gdyż tradycja każe w nim widzieć człowieka co najmniej w podeszłym wieku. Podobnie określają go didaskalia tragedii Wyspiańskiego: „starzec zgarbiony wpół, wsparty na kiju, głowa obnażona, łysa zupełnie; oczy zapadłe i jakby niewidzące". Pustelnik w spektaklu Hoffmanna to człowiek młody, pełen energii, z buina kędzierzawa czupryna. Chciałbym być dobrze zrozumiany. Wszelkie pomysły i wizje reżyserskie, nawet najdalej odbiegające od tekstu, mają i powinny mieć rację bytu pod jednym, lecz istotnym warunkiem: oparte być muszą o realne i sensowne podstawy, których w tym przypadku nie sposób się doszukać.

Znacznie lepiej natomiast rozwiązana została kwestia miejsca rozgrywających się wydarzeń, choć potraktowana w sposób bardziej rygorystyczny niż w tragedii Wyspiańskiego. Stonowana i oszczędna scenografia, przystosowana niewątpliwie do warunków sceny Teatru Ziemi Łódzkiej, przedstawia wnętrze jednej z izb księżej plebanii. Dramat został więc nielako wtłoczony w cztery ściany pokoju, przez co wzrosło jego napięcie wewnętrzne i oddziaływanie na widza.

Trudności inscenizacyjne związane z rozmiarami tekstu pomieszczonego w jednym akcie tragedii pokonał Hoffmann stosując zabieg nienowy, bo pamiętający jeszcze zelwerowiczowską prapremierę: wyciemnienie następuje w momencie, kiedy ostatnia z osób zainteresowanych, Matka, uświadamia sobie charakter związku łączącego syna z Młodą.

Te dwie role kobiece zasługują w omawianym spektaklu na chwilę uwagi. Postać Młodej, złożona wewnętrznie, a zarazem najbardziej dynamiczna w tragedii Wyspiańskiego, stawia odtwórczyni wysokie wymagania aktorskie. **Anna Grzeszczak** wybrała chyba najwłaściwszą linię interpretacyjną; ukazała cały proces przeobrażania się księżej gospodyni, wydobywając umiejętnie kontrast między początkowymi scenami utworu, a tragicznym finałem. Również druga z ról kobiecych w wersji przedstawionej przez **Walentynę Sakkilari** zdecydowanie wyróżnia się spośród innych propozycji zespołu. Wydaje się jednak, że jest to zbyt mało, by spektakl w Teatrze Ziemi Łódzkiej dał widzowi satysfakcję i poczucie, że ogląda się dobrą teatralną robotę.

ANDRZEJ S. WARZECHA

„Wolny strzelec"

Rzadko zdarza się nam oglądać na operowych scenach przedstawienia tak pełne, spektakle muzyczne, o tak znakomitym kształcie swego podstawowego tworzywa i jednocześnie tak perfekcyjne teatralnie, jak zaprezentowana przez łódzki Teatr Wielki inscenizacja **„Wolnego strzelca" Carla Marii Webera.**

Czekaliśmy na tę premierę w atmosferze życzliwej ciekawości pełni zainteresowania i emocji spowodowanych już choćby wielce frapującymi zapowiedziami i projektami repertuarowymi nowej dyrekcji, zapowiedziami, których pierwszą realizacją miał być ten właśnie spektakl.

O kształcie inscenizacyjnym „Wolnego strzelca", który ze względu na swą strukturę muzyczną uważany jest za utwór trudny i w związku z tym nieczęsto wykonywany zadecydowały umiejętności i talent trzech wybitnych indywidualności artystycznych Bohdana Wodiczki — w którego rękach spoczywało kierownictwo muzyczne, Kazimierza Dejmka — reżysera spektaklu i Krzysztofa Pankiewicza — autora scenografii. Ich wspólne dzieło stało się nie tylko pełną realizacja wizji Carla Marii Webera, ale także czytelną próbą rekonstrukcji opery romantycznej ze wszystkimi charakterystycznymi dla inscenizacji tego okresu rozwiązaniami scenicznymi, próbą tym bardziej udaną, że zachowującą dosyć wyraźny dystans, którego efektem jest z jednej strony ów odtworzony na łódzkiej scenie model teatru romantycznego, z drugiej zaś — wizja tego teatru wykreowana przez współczesnych, ale świadomych ciągłości historycznej tego gatunku twórców.

Miano „opery romantycznej" nadał „Wolnemu strzelcowi" jego kompozytor. Określenie to znalazło się na prapremierowym (18 czerwca 1821) afiszu tego dzieła, które otworzyło nowy rozdział historii opery inspirując i kierunkując wiele późniejszych poczynań całej plejady wybitnych kompozytorów europejskich. „Wolny strzelec" (libretto: Johann Friedrich Kind) spełniał wszystkie postulaty epoki, odpowiadał kanonom romantyzmu, będąc w zgodzie z nakazami romantycznej estetyki wychodził naprzeciw społecznemu zapotrzebowaniu na operę narodową, której charakter byłby odmienny od panujących dotąd niepodzielnie na europejskich scenach martwych już i skostniałych przez swą odwieczną niezmienność dworskich oper włoskich i francuskich.

Carl Maria Weber: Wolny strzelec. Na zdjęciu: Teresa May-Czyżowska (Agata), Delfina Ambroziak (Anusia).

Foto: Ch. Zieliński

Carl Maria Weber wprowadził na operową scenę to wszystko czym młodych twórców jego epoki porwał duch romantyzmu. Znajdujemy więc w „Wolnym strzelcu" owe tak charakterystyczne dla romantyzmu pierwiastki jak elementy starej ludowej legendy, kult piękna otaczającego nas świata przyrody (nie bez racji mówiło się, że bohaterem opery Webera jest las), życie prostych ludzi splata się tu z fantastycznymi działaniami duchów i demonów. Pierwiastki te już wcześniej pojawiły się w literaturze tego okresu, tam zresztą tworzywo słowne bardziej na wszelkie działania podatne bez trudu pozwalało się pod tym kątem kształtować. Z jego pomocą, nim właśnie malowali poeci owe przedziwne światy... Weber postawił przed sobą zadanie o wiele trudniejsze, tym bardziej, że nikt przed nim nie czynił żadnych prób w tym kierunku. O tym ile trzeba było wysiłku by uzupełnić i wzbogacić kolorystykę orkiestrową, by dźwięk zamienić w kolor lasu, by wykreować przed słuchaczem wszystkie jego odgłosy pisze sam kompozytor w liście do przyjaciela: **„W „Wolnym strzelcu" spotykają się dwa elementy dające się rozpoznać na pierwszy rzut oka: życie myśliwych i władztwo mocy demonicznych, uosobionych przez Samiela. Musiałem więc (...) znaleźć przede wszystkim najwłaściwsze barwy tonalne i dźwiękowe dla każdego z tych dwu elementów... Musiałem przypominać słuchaczowi dźwiękiem i melodią — możliwie najczęściej — te ciemne moce. Bardzo często nasuwał mi okazję do tego sam tekst, bardzo często zaznaczałem brzmieniem i charakterem tematów, że potęgi demoniczne prowadzą swą grę tam gdzie poeta nie wskazywał tego bezpośrednio. Długo zastanawiałem się jaki powinien być zasadniczy dźwięk dla wyrażenia tej niezwykłej atmosfery".** Te narzucone sobie przez Webera wymagania przyniosły efekt do dziś zaskakujący precyzją i celnością rozwiązań. Uzyskany dla poszczególnych scen koloryt dźwiękowy i znakomita instrumentacja spełniły to, co mogło się współczesnym wydawać niemożliwe. Rogi w scenach życia leśnego zgodnie z nakazem ducha epoki grają w „Wolnym strzelcu" takie melodie, w których ludowy pierwiastek pozwala słuchaczowi na szybką orientację w charakterze środowiska, w którym rozgrywa się akcja utworu. Muzyczny obraz „ciemnych mocy" i „niezwykłej atmosfery" zawdzięczamy znakomitemu użyciu przez kompozytora wszystkich barw skrzypiec, tajemniczości przydały muzyce Webera głębokie tony klarnetu i rogów i wreszcie zastosowane w tych momentach, gdzie do realnego życia bohaterów wkradają się ciemne moce piekieł — pojedyncze, akcentujące te momenty uderzenia kotłów. Fakt przeniesienia przez kompozytora wszystkich niemal sił wyrazu na orkiestrę, narzucona orkiestrze konieczność budowania podstaw nastroju stawia przed nią szczególnie wysokie wymagania. Oczekujemy tu głównie precyzji brzmienia koniecznej dla rozwiązania wszystkich stojących przed orkiestrą zadań dramaturgicznych.

Tym wymaganiom znakomicie, w zaskakujący aż sposób sprostała orkiestra Teatru Wielkiego. Prowadzona wprawną ręką Bohdana Wodiczki grała jak nigdy dotąd. Znakomity dyrygent jest też najwidoczniej wymagającym i świetnym pedagogiem skoro zespół, który do niedawna jeszcze budził wiele krytycznych uwag odkrył w sobie pod jego kierunkiem tyle interpretacyjnych możliwości, że wreszcie usłyszeliśmy wspaniałe forte i najcichsze, a pełne wyrazu piano, że zachwycaliśmy się wszyscy świetnym kwintetem (sądząc z jakości i pełni brzmienia — rozbudowanym także liczebnie), że zachwyt ten przerodził się w pewność już niemal, iż oto w Teatrze Wielkim możemy mieć wielką, bo świetnie grającą orkiestrę.

Kształt sceniczny „Wolnego strzelca" utwierdził nas w przekonaniu, że opera może być świetnym teatrem. Na słowa najwyższego uznania zasługuje reżyseria Kazimierza Dejmka, który stylizując widowisko na „romantyczne" przedstawienie, a co za tym idzie wykorzystując cały arsenał charakterystycznych dla teatru romantycznego środków inscenizacyjnych (plamy, dymy piekielne, ożywające za sprawą czarnego ducha skały, głosy potężne jak grzmot) stworzył spektakl niezwykle czysty, czytelny w przyjętej dla niego stylistyce i urzekający prostotą rozwiązań. Największą zaletą reżyserii Kazimierza Dejmka jest jej powściągliwość, której zawdzięczamy ową szlachetną prostotę całego spektaklu. Wybitny inscenizator znów (po „Henryku VI na łowach" i warszawskiej premierze „Diabłów z Ludun") dał dowód, iż posiadł rzadką dziś umiejętność tworzenia ze wszystkich elementów widowiska operowego organicznie spójnej, jednorodnej całości, której główna siła motoryczna tkwi w podstawowym tworzywie opery, jakim jest muzyka. Temu tworzywu podporządkował Dejmek rytm sytuacji scenicznych i gest aktora, i to podporządkowanie przyniosło nową cenną wartość, jaką jest odpowiadająca treści i napięciu muzyki forma teatralna. Znakomity rezyser umiał odnaleźć w partyturze wskazówki na temat kształtu scenicznego tego dzieła i stworzył spektakl, który stanowić będzie wielki rozdział najnowszych dziejów inscenizacji operowej.

Śpiewacy, którym powierzono główne partie „Wolnego strzelca" błysnęli tym razem prawdziwym kunsztem wokalnym i aktorskim. Henryk Kłosiński w tytułowej roli Maksa zaprezentował nam całą, szeroką skalę swego świetnie brzmiącego głosu. Połączenie swobody, lekkości i precyzji wokalnej z oszczędnym, a pełnym wyrazu aktorstwem przyniosły znakomity efekt, który na długo pozostanie w pamięci odbiorcy.

Bohaterką spektaklu okazała się zawsze świetna, a w „Wolnym strzelcu" wręcz olśniewająca Teresa May-Czyżowska, którą podziwialiśmy w partii Agaty... Stopień trudności tej partii jest tak wielki, że staje się on najwyższą próbą umiejętności wokalnych. Teresa May-Czyżowska pokonała tę próbę z zadziwiającą lekkością umacniając się wykonaniem partii Agaty w gronie najwybitniejszych polskich śpiewaczek i zajmując wśród nich czołową pozycję. Co szczególnie przy omawianiu tej roli chciałabym podkreślić to godny podziwu i uznania fakt, iż interpretacja Teresy May-Czyżowskiej zdaje się mieć swoje źródła także w sferze emocjonalnych przeżyć artystki. Śpiewa ona bowiem z żarem wykraczającym daleko poza „zwykłą" doskonałość wokalną.

Błyskotliwym wykonaniem partii Anusi urzekła zgromadzonych na premierowym przedstawieniu słuchaczy Delfina Ambroziak. Jej lekki sopran stanowił doskonałą i konieczną, bo podyktowaną względami dramaturgicznymi przeciwwagę głębokiego sopranu Teresy May-Czyżowskiej. Partia Anusi w wykonaniu Delfiny Ambroziak to jedno z najznakomitszych osiągnięć tej wybitnej artystki. Świetna w swej pierwszej arii oraz w duecie i tercecie z drugiej odsłony pełnię swych umiejętności zaprezentowała w czwartej odsłonie spektaklu. Uwagę odbiorców przykuwało wybitne aktorstwo Delfiny Ambroziak. Dramatyczną postać Kacpra uwikłanego w przedziwne związki ze światem duchów stworzył Tomasz Fitas. Artysta z dużą swobodą operuje swym dźwięcznym głębokim głosem umiejętnie różnicując przy tym jego barwę. W niewielkich, acz niełatwych partiach towarzyszących głównym postaciom słuchaliśmy świetnych głosów Jana Dobosza (Ottokar), Stanisława Michońskiego (Kuno), Władysława Malczewskiego (Kilian) i Andrzeja Malinowskiego (Pustelnik). W mówionej partii Samiela wystąpił Eugeniusz Nizioł. Wszyscy wymienieni tu wykonawcy zaprezentowali nam się w sposób godny uznania i pochwały dla swej sprawności wokalnej i aktorskiej. Osobno słów kilka poświęcić chciałabym Krystynie Rorbach. Prościutko i pięknie zaśpiewana przez nią aria Druhny zwiastunki szczęścia tchnęła lirycznym spokojem i wewnętrzną pogodą i płynęła ku zebranym na sali słuchaczom rozjaśniając na chwilę pełną mrocznego napięcia scenę.

Znakomicie spisał się chór. Przygotowany przez Zbigniewa Pawelca nigdy jeszcze nie śpiewał tak czysto i pięknie. Bardzo dobry w pierwszej odsłonie (wspaniałe piano!) zajaśniał pełnią brzmienia w pieśni myśliwych, a potęgę swoją ujawnił w triumfalnym finale.

Omawiane tu przedstawienie urzeka też urodą plastyczną, której przydał mu Krzysztof Pankiewicz. Podobnie jak kompozytor odnalazł w świecie dźwięków i brzmień takie ich wartości, które odpowiadały jego wizji tajemniczego świata duchów i cieni, tak i scenograf stara się tę wizję kompozytora przełożyć na język plastyki teatralnej. Zbudował więc na deskach scenicznych las pełen seledynowego, przefiltrowanego przez korony drzew światła, a Wilczy Jar — siedzibę mocy piekielnych wypełnił pełzającymi od księżycowej zimnej poświaty cieniami tajemniczych skał. Wysmakowane aż do finezji, znakomite kostiumy nabierały w kolorycie poszczególnych scen jakichś nieuchwytnych rozedrganych barw realnego to znów fantastycznego świata.

Niezwykle udanym spektaklem rozpoczęła swą artystyczną działalność nowa dyrekcja Teatru Wielkiego. Fakt ten pozwala wróżyć jego scenie dobrą przyszłość.

EWA PANKIEWICZ

ZWYCZAJNY FASZYZM

Kiedy kilka miesięcy temu wybuchła afera porwania, a następnie zabójstwa Martina Schleyera w RFN, w poważnej prasie politycznej u nas i za granicą pojawiły się komentarze, w których niedwuznacznie charakteryzowano zachodnioniemiecki terroryzm jako ponury pogłos „brunatnej przeszłości" narodu niemieckiego, zniekształcone echo faszyzmu. Sprawców „afery Schleyera" nie odkryto do tej pory, co również daje do myślenia. W chwili kiedy piszę tę słowa świat żyje nową sensacją — porwaniem czołowego polityka włoskiej chadecji Aldo Moro. Posądza się, że ten nowy akt politycznego gwałtu jest rezultatem sojuszu terrorystów włoskich i zachodnioniemieckich. Włoski skandal polityczny zdaje się potwierdzać hipotezę o faszystowskich korzeniach terroryzmu. Bowiem oba akty, najbardziej jaskrawe w historii tego ruchu zdarzyły się w społeczeństwach, które wyprodukowały fenomen faszyzmu.

Wdałem się w te dywagacje tytułem wstępu do filmu, który niezauważalnie wszedł w tej chwili na ekrany pod tytułem „Szczególny dzień". Film jest produkcji włosko-kanadyjskiej, a reżyserował go Ettore Scola. Ten szczególny dzień to 8 maja 1938 roku, historyczna data oficjalnej wizyty Hitlera w Rzymie. Film otwiera sekwencja dokumentalna wyjęta z kroniki filmowej tego wydarzenia. Oglądamy przyjazd Hitlera na Stazione Termini, moment jego powitania przez Mussoliniego, a potem triumfalny przejazd obydwu wodzów ulicami Rzymu wypełnionymi po brzegi wiwatującym, fanatycznym tłumem. Jest to jedna z najbardziej wymownych, a więc przerażających manifestacji faszyzmu. Ettore Scola w filmowej konstrukcji tej sceny podkreśla i dodatkowo wyolbrzymia cechy znamienne faszystowskiej propagandy: pretensjonalny monumentalizm graniczący z groteską, fanatyczną atmosferę gigantycznego parteitagu, histeryczny głos spikera apelujący do stadnych instynktów. Jednakże ten dokumentalny wstęp nie służy twórcy filmu do ukazania faszyzmu w jego skali masowej jako spotworniałego raka przeżerającego cały organizm społeczny. Taka była na przykład intencja radzieckiego reżysera Michaiła Romma w jego wstrząsającym filmie zestawionym z materiałów archiwalnych „Zwyczajny faszyzm", od którego tytuł pożyczyłem dla tej recenzji. Scola pokazuje zwyczajny faszyzm w skali mikro.

Akcja filmu niebawem przenosi się z ulic Wiecznego Miasta do jednego z mieszkań ogromnej rzymskiej kamienicy czynszowej. Film opuszcza groteskową atmosferę politycznego cyrku i wchodzi w kameralną tonację dramatu psychologicznego. Od tej chwili jego akcję wypełnia dialog i konfrontacja postaw dwojga ludzi, których na początku wszystko zdaje się dzielić — płeć i namiętności, charakter i temperament, mentalność i poglądy, wykształcenie i pozycja społeczna. Ona (Sophia Loren): włoska mieszczka, matka wielodzietnej rodziny, żona szefa tajnej policji w Ministerstwie Afryki Wschodniej (!) przyjmuje swój pospolity los, który sprowadza się do zasady trzech K z całkowitą naturalnością, jako jedynie możliwy. Wierzy w Ducego i religię faszyzmu, bo w to wierzą wszyscy. On (Marcello Mastroianni): inteligent-„mięczak", kawaler, były spiker faszystowskiego radia, wyrzucony z pracy za niezbyt przekonywający głos, homoseksualista. On nie wierzy, jest życiowym rozbitkiem osiadłym na wyspie niezależności wśród morza zbiorowego szaleństwa. Oboje zostali w pustej kamienicy, nie poszli na manifestację — on z powodu antyfaszystowskiej postawy, ona, aby ugotować obiad dla licznej rodziny i zaprowadzić codzienny porządek w mieszkaniu. Kiedy ona przez przypadek poznaje go, nieświadomie ratuje mu życie bowiem skrajnie zdesperowany swoją samotną wegetacją, przerażony powszechnym obłędem zamierzał właśnie popełnić samobójstwo. Ich spotkanie, które przebiega poza kulisami złowrogiej scenerii jest próbą zbliżenia, odnalezienia elementarnej ludzkiej wspólnoty, gestem człowieka ku człowiekowi wśród ludzi pełnych nienawiści, „wściekłości i wrzasku". Ten temat był możliwy nie tylko dzięki niezwykle subtelnej, pełnej zróżnicowanych efektów reżyserii Ettore Scoli, ale przede wszystkim dzięki mistrzowskiej grze aktorskiego duetu. Sophia Loren i Marcello Mastroianni oddają bez fałszu najlżejsze poruszenia psychiczne swoich bohaterów, których związek pulsuje zmiennymi uczuciami nieufności i oddania, pogardy i fascynacji, strachu i nadziei.

„Szczególny dzień" jest dziełem, które stanowi istotny głos w dość nikłej tradycji rozrachunkowej kina włoskiego. Stosunek tej kinematografii do problematyki faszyzmu był dotychczas naznaczony pewnym, zrozumiałym skądinąd skrępowaniem. Neorealizm włoski, ta wielka formacja moralno-artystyczna tej kinematografii nie rozliczył się z faszyzmem, wyrastał bowiem z próby odrodzenia duchowego narodu i podkreślał przede wszystkim narodowe klęski i cierpienia, nie wgłębiając się w ich przyczyny. Motyw faszyzmu pojawiał się także okazjonalnie w twórczości Felliniego („Rzym", „Amarcord"), ale jego sens był tu ściśle autobiograficzny, nastawiony jak zwykle u Mistrza Federica — na dekoracyjny efekt faszystowskiej tromtadracji w jej włoskim wydaniu. Scola natomiast — podobnie jak Niemiec Fleischmann w swoich „Scenach myśliwskich z Dolnej Bawarii" — pokazuje psychospołeczne oblicze faszyzmu, który rodzi się wśród zwyczajnych ludzi jako rezultat ich zwyczajnych sentymentów, niechęci, kompleksów, urazów i lęków.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

OSTATNIE DNI BITWY O ANGLIĘ

Len Deighton napisał książkę pt. „Myśliwiec", w której pokazał drugą stronę słynnej Bitwy o Anglię. Bitwa ta rozegrała się w 1940 roku między Luftwaffe a RAF.

Poniżej drukujemy fragment tej książki.

Jedną z eskadr ugrupowania nr 12, podlegającego Leigh-Mallory'emu, dowodził beznogi pilot myśliwski, Douglas Bader. Był on zagorzałym krytykiem strategii Parka i Dowdinga polegającej na wysyłaniu do walki niewielkich formacji myśliwskich i oszczędzaniu w ten sposób sił brytyjskiego lotnictwa myśliwskiego oraz nienarażaniu go na większe straty. Bader twierdził, że tylko bardzo duże formacje – „wielkie skrzydła" – samolotów myśliwskich, atakujących jednocześnie, mogą zadawać śmiertelne ciosy formacjom niemieckim.

Teoria Badera wydawała się bliższa prawdopodobieństwu. Przesadzone twierdzenia o liczbie zestrzelonych samolotów, podawane przez obydwie strony, były zwykle proporcjonalne do liczby samolotów biorących udział w konkretnej bitwie powietrznej, ponieważ wielu pilotów szybko otwierało ogień do przeciwnika i następnie meldowało, że został on zestrzelony, mimo że wcale nie musiało tak być. Tak więc formacje wielkich skrzydeł zanotowywały na swym koncie więcej sukcesów. Jedna z takich formacji zameldowała np., że zestrzeliła 57 samolotów niemieckich, podczas gdy Niemcy odnotowali, że nie powróciło do baz tylko 8 samolotów.

Formacje wielkich skrzydeł zdobyły uznanie za to, że zmuszały niemieckie 109-ki do ucieczki, podczas gdy tak naprawdę to piloci niemieccy musieli już zawracać, ponieważ zapas paliwa nie pozwalał im na dłuższą walkę. Mimo to, teoretycy wyższości formacji wielkich skrzydeł potrafili zjednać sobie zainteresowanie ze strony ministerstwa i prawdopodobnie również samego premiera Churchilla.

Uformowanie w powietrzu „wielkiego skrzydła" zajmowało dużo czasu i dlatego też było łatwiejszym zadaniem dla ugrupowania nr 12, które, ze względu na ochronę terenów odleglejszych od baz niemieckiego lotnictwa, było wcześniej informowane o zbliżających się nalotach niemieckich niż ugrupowanie nr 11, broniące południowych wybrzeży Wielkiej Brytanii. Zwolennicy taktyki wielkich skrzydeł uważali jednak, że lepiej jest zdziesiątkować niemieckie formacje już po nalocie bombowym niż przed tym ledwie ją „zadrasnąć". Takie rozumowanie nie brało pod uwagę znaczenia bezpieczeństwa lotnisk w poszczególnych sektorach, czy też bezpieczeństwa całego systemu kontrolnego.

Ataki na lotniska poszczególnych sektorów spowodowały włączenie do walki jeszcze większej liczby ludzi. Ponieważ uległa zniszczeniu sieć elektryczna, telefoniczna, teleksowa, kanalizacyjna czy też transport działalność lotnisk myśliwskich zależała od personelu naziemnego i pomocniczych pracowników cywilnych, którzy musieli naprawiać szkody wyrządzone przez bomby niemieckie.

Lotnisko RAF w Manston, zbudowane na wysokim wybrzeżu morskim, było narażone nie tylko na ataki bombowe, ale również na ostrzeliwanie z karabinów maszynowych i działek myśliwców niemieckich, które nadlatywały na niskim pułapie znad morza i przelatywały nad lotniskiem prawie nad ziemią. Piloci z tego lotniska musieli przesiadywać w schronach niemal bez przerwy, począwszy od nasilenia się ataków niemieckich, w dniu 12 sierpnia 1940 roku. Często nie można było ruszyć z miejsca przestraszonych ludzi, a oficer z księgowości nie mógł nawet znaleźć tylu pilotów, aby móc zacząć wypłacać żołd. Dowódca 54 eskadry powstrzymał innego oficera przed siedzeniem w schronie tylko dlatego, że zagroził zastrzeleniem pierwszego lepszego pilota, który nie będzie chciał stamtąd wyjść. Zdarzyło się również, że kapelan jednostki rozbroił oficera, który groził, że wystrzela wszystkie osoby znajdujące się właśnie w mesie. Podczas gdy lotnicy RAF chowali się po schronach, miejscowa ludność cywilna korzystała z okazji, aby grabić uszkodzone w bombardowaniach budynki.

Manston nie było jedynym lotniskiem, gdzie przerażeni ludzie spędzali tydzień za tygodniem w schronach. Fundusze przeznaczone na naprawianie szkód wyrządzonych przez bomby szły na marne. Obsługa cywilna, która, dopóki nie zaczęły się bombardowania, dostawała zapłatę za to, że nic nie robiła, teraz doszła do wniosku, że jest zbyt niebezpiecznie pracować, gdy trwa alarm bojowy. Dlatego też i ona siedziała w schronach podziemnych, a nieliczna grupa, mająca obsługiwać samoloty i zapewnić działanie całemu lotnisku i stanowiskom operacyjnym, wychodziła ze schronów z saperkami i okopywała się w lejach po bombach. Do tego czasu większość pilotów nauczyło się czegoś o napełnianiu zbiorników samolotów paliwem i uzupełnianiu zapasów amunicji.

Pożar samolotu był zawsze największą zmorą wielu pilotów. Myśliwce RAF miały zbiorniki z paliwem bezpośrednio przed kabiną pilota, nie zawsze oddzieloną od nich specjalną ścianką osłonową. Zbiorniki w Messerschmittach 109 miały kształt litery „L" i były umieszczone pod fotelem pilota. Zalety i wady obydwu tych rozwiązań konstrukcyjnych były ulubionym tematem dyskusji i ponurych dowcipów wśród pilotów po obu stronach Kanału. Niektórzy piloci byli tak przewrażliwieni na punkcie ognia, że zakładali rękawiczki, szaliki i gogle, aby nie mieć skrawka gołej skóry, która byłaby narażona na płomienie. Inni woleli mieć otwarte osłony kabin, żeby móc w każdej chwili wyskoczyć z samolotu; było im bardzo zimno, ale woleli mieć taką pewność. Jeden z pilotów, Tom Gleave, tak jak wielu innych, miał przy sobie zawsze pistolet; był zdecydowany zastrzelić się raczej niż spłonąć żywcem. Jednak Gleave mało nie zginął w płomieniach swojej zestrzelonej maszyny — nie zdążył użyć swego pistoletu.

Luftwaffe kontynuowało ataki na lotniska brytyjskie. Spadały bomby na Kenley, Biggin Hill, Tangmere, Croydon, Shoreham, Hornchurch. Niemcy zaczęli bombardować lotnisko w Hornchurch, gdy 54 eskadra wzbijała się w powietrze. Trzy Spitfire'y zostały zniszczone w momencie, gdy odrywały się od ziemi. Jeden potoczył się przez pola a pilot wpadł do rzeki, drugi pozostał na ziemi bez skrzydła, a Spitfire prowadzący tę trójkę wylądował na lotnisku do góry podwoziem, tak że głowa pilota w hełmie lotniczym uderzała o kamienistą ziemię. Jednak wszystkim trzem pilotom nic się nie stało i latali już następnego dnia. Lotnisko w Biggin Hill znalazło się w gorszej sytuacji, trzeba było przenieść pomieszczenia dowództwa operacyjnego do zastępczego lokalu po sklepie w tej miejscowości.

Zmęczenie i napięcie wśród brytyjskich pilotów było bardzo duże. 31 sierpnia RAF stracił 39 samolotów, zginęło 13 brytyjskich pilotów. Luftwaffe straciło również 39 maszyn. Brytyjczycy musieli wycofać niektóre eskadry z walki; np. eskadra nr 616 musiała być przeniesiona do Kenley już w połowie sierpnia. W ciągu 15 dni walk czterech jej pilotów zginęło, pięciu zostało rannych, a jeden wzięty do niewoli. Nie było innego wyjścia, jak wycofać ją z walki. Przymusowe lądowania i skoki na spadochronach stawały się coraz częstsze. Spośród 18 pilotów 85 eskadry Croydon, 14 było zestrzelonych, z tego dwóch dwa razy w ciągu dwóch tygodni.

Lotnictwo brytyjskie nie niszczyło już zasadniczo więcej maszyn nieprzyjaciela niż wynosiły jego własne straty; np. w okresie dwóch tygodni RAF stracił o 200 maszyn więcej niż otrzymał nowych z fabryk i naprawionych z warsztatów. Co gorsza, spośród tysiąca pilotów RAF 231 zginęło, zostało rannych lub zaginęło. Cześć spośród siedmiu lotnisk sektorów było mocno zniszczonych. Jeśli Goering zmierzał do zdobycia przewagi w powietrzu nad południowo-wschodnią Anglią, to do 1 września 1940 roku prawie ją osiągnął.

Goering uznał, że Londyn będzie tym celem, który Brytyjczycy zaczną bronić wszelkimi posiadanymi jeszcze myśliwcami. 7 września 1940 roku Goering stał na wybrzeżu Francji i przyglądał się, jak blisko 1000 samolotów niemieckich kierowało się na Londyn. Cała formacja wyglądała jak wielka, czarna chmura sztormowa, rozciągająca się na przestrzeni 800 mil kwadratowych i „gruba" na 3 kilometry. Dowództwo brytyjskich myśliwców spodziewało się dalszych ataków na swoje lotniska, ten nalot niemiecki nie napotykał prawie na opór. Kiedy jednak Niemcy rozpoczęli 9 września 1940 roku kolejny nalot, myśliwce brytyjskie były już na to przygotowane i rajd niemieckich maszyn został zepchnięty na południowy-zachód.

Wielkie bitwy powietrzne w dniu 15 września 1940 roku, świętowanym jako dzień Bitwy o Wielką Brytanię, dały londyńczykom możliwość zobaczenia blisko 200 Spitfire'ów i Hurricane'ów na niebie nad stolicą. Tego samego dnia dwukrotnie około 300 myśliwców RAF walczyło w powietrzu nad południowymi hrabstwami Anglii. Niemcy wysłali 400 myśliwców dla ochrony nie więcej niż 100 bombowców.

To, o czym nigdy się nie wspomina, mówiąc o walkach powietrznych tamtego dnia, to element bluffu, będący wówczas częścią planu Luftwaffe. „Aby zademonstrować swą potęgę rzuciliśmy do walki wszystkie bombowce i myśliwce, jakie posiadaliśmy" — wspominają lotnicy Luftwaffe. Ale też wielka koncentracja brytyjskich myśliwców w rejonie Londynu przekonała Niemców, że Anglicy dalecy są jeszcze od wyczerpania swych sił powietrznych, tak jak to starał się przedstawić wywiad niemiecki.

„Wielkie skrzydło" Badera znalazło się naprzeciwko wroga i widok tak dużej formacji RAF, jakiej Luftwaffe nigdy jeszcze nie spotkała, musiał wstrząsnąć niemieckimi nadziejami na łatwe zwycięstwo. Fakt, że RAF przypisywał sobie tego dnia 185 zwycięstw, zamiast 60 uznanych ostatecznie po wojnie, czy też 50, jak twierdzą niektórzy niemieccy historycy, był mniej ważny. Depesza Churchilla do Dowdinga, wysłana wieczorem tego dnia, była w zamierzeniach przeznaczona także dla odbiorców niemieckich. „...wspomagane przez czeskie i polskie eskadry siły RAF, wykorzystując tylko niewielką część swej potęgi, rozniosły w puch i pył poszczególne formacje nieprzyjaciela uczestniczące w zbrodniczych nalotach na ludność cywilną, na jej rodzimej ziemi".

16 września 1940 roku pogoda była zbyt zła, aby można było toczyć walki powietrzne na wielką skalę a na 17 przewidywano silne wiatry. Tego samego dnia brytyjski wywiad przechwycił tajny niemiecki komunikat radiowy, który zatwierdzał rozkazy w sprawie rozmontowania w Holandii urządzeń przeznaczonych dla transportu lotniczego. Z powodu braku „rozległej ciszy", jakiej potrzebowała niemiecka flota, Hitler zdecydował się odroczyć inwazję aż do ponownego zajęcia się tą sprawą. Luftwaffe, wyczerpana letnimi walkami powietrznymi, zaczęła teraz opracowywać najlepsze sposoby przeprowadzania bombardowań nocnych. Hitler zainteresował się natomiast mapami Rosji.

SMUTEK MILIARDÓW

Nie pije. Nie pali. Spódniczkami pogardza. Nie ma własnego samochodu. Do pracy w swym biurze chodzi zawsze pieszo. Jada w tanich i popularnych restauracjach. Dziennikarzy nie znosi. Rozgłosu unika jak ognia. Ma jednak własną willę. Mieszka przy słynnej Piątej Avenue w Nowym Jorku. A teraz pytanie — któż to taki? Może dodam jeszcze, że ten człowiek skończył właśnie 80 lat i do złudzenia przypomina wyglądem von Papena.

No więc, któż to taki?

To Daniel Ludwig, ostatni miliarder Ameryki. Majątek tego pana jest szacowany aktualnie na 3 miliardy dolarów. Gdyby cały ten majątek ułożyć w ściśle do siebie przylegające jednodolarowe banknoty, to można by nimi opasać kulę ziemską na równiku aż dwunastokrotnie. Daniel Ludwig, ostatni, jak się słyszy, krezus Stanów Zjednoczonych. Drogę na szczyty rozpoczął w tym samym punkcie co Onassis. W portach. Na ogromnych supertankowcach. Hamburski „Die Zeit" jest nawet zdania, że to Daniel Ludwig wymyślił supertankowce. On je wylansował. Na nich utłukł swe bajeczne miliardy.

Ameryka kocha mity.

Carter był przecież biednym plantatorem orzeszków. A do czego doszedł. Rockefeller był czyścibutem. Onassis był z początku nędznym kupczykiem, a młody Daniel Ludwig chodził w ogóle bez grosza. Jednak umiał dostrzec swoją szansę przed 65 laty. I zdołał ją od razu uchwycić za rogi. W swym rodzinnym South Haven, w Stanie Michigan, skądś wyskrobał 25 dolarów i kupił zatopiony w porcie stary parowiec wycieczkowy. W trudzie i znoju, w nieopisanych warunkach, i przy nadludzkim wysiłku parowiec wydobył, wyremontował, oczyścił, wymalował i odsprzedał po cenie wielokrotnie wyższej od ceny kupna.

Tak zaczęła się kariera Daniela Ludwiga, ostatniego już dziś miliardera Ameryki.

Bo później to już poleciało na dużej szybkości. W 1926 roku Ludwig ukończył 29 lat i zakupił pierwsze tankowce. Ameryka lubuje się w mitach, lubuje się też w trikach. Masz pomysł — jesteś człowiekiem, nie masz pomysłu — jesteś czterema literami. Więc Daniel Ludwig, jak chce tego jego oficjalna biografia, wpadł na trik genialny. Wpierw podpisywał „charter" umowy frachtowe z dostawcami ropy. W oparciu o te umowy uzyskiwał z banków kredyty na budowę tankowców. Kiedy tankowce spływały na wodę i ropę zaczęły przewozić, dość na to zarabiały dolarów, by kredyty pospłacać i odrzucać też sporymi nadwyżkami.

Tak to się zaczęło, od triku i od kredytu.

Obaj „złoci i przebiegli Grecy", zatem Onassis i Niarchos poszli śladem tego triku, nigdy jednak nie posiedli floty tankowców tej wielkości co Ludwig. Właściwie połączone nawet floty obu Greków nigdy nie dorównały potędze morskiej, która znalazła się w posiadaniu Daniela Ludwiga. Multimiliarder Ludwig to odludek. Pewne cechy jego charakteru zdumiewająco przypominają Howarda Hughesa, też miliardera, który odszedł nie tak przecież dawno. Ludwig żyje w cieniu. Żyje ponoć jak zakonnik. Jego nazwisko, nawet jego inicjały nie zdobią żadnego z jego nieprzeliczonych okrętów. To purytanin, który być może kieruje się starożytną maksymą mędrca Seneki.

— Do bogactwa dochodzi, kto bogactwem pogardza.

Daniel Ludwig czyni wszystko co może, aby istotnie uwierzono, że swoje miliardy ma w nosie i na niczym mu właściwie nie zależy. Z drugiej strony kutwa to on jest. Tak skrzętnie zdołał ukryć swój bajeczny majątek, takie stworzył wokół siebie pozory wyrzeczenia i życiowego ascetyzmu, że jego żona, z którą się rozwiódł, zadowoliła się odszkodowaniem w wysokości trzech tysięcy dolarów. To jest ten drugi trik, który Ludwigowi powiódł się w zupełności. Właściwie aż do stycznia bieżącego roku nazwisko Daniela Ludwiga w ogóle w świecie nie było znane. Mało kto znał go nawet w Nowym Jorku.

Ci zaś co go znali, potrafili milczeć. Dopiero ostatnio wścibscy dziennikarze, ku ponurej ponoć wściekłości Ludwiga, wpadli na trop tego ostatniego miliardera Ameryki.

Daniel Ludwig pogardza bogactwem.

Jeśli pogardza, to czemu wciąż, jak ów samotny orzeł, krąży na wysokościach i upatruje wciąż nowych ofiar i terenów łowieckich? Słychać, że rzucił miliard dolarów w dżunglę nad Amazonką. Wykupił tysiące hektarów dziewiczej puszczy, aby ją przekształcić w plantacje zasilające w surowiec ogromnej wielkości papiernie. Daniel Ludwig, najbogatszy obecnie człowiek świata, nie pije, nie pali, korzysta z publicznych środków transportu, chodzi najczęściej pieszo, własnego auta nie ma, żyje jak Spartanin, a jego ulubionymi potrawami są banany i mleko. Rodziny nie ma. Swe miliardy zabierze ze sobą do grobu. Orły latają samotnie. Wielkie rekiny też polują samotnie.

Smutek miliardów.

Arabskie przysłowie powiada — bezpieczny, kto samotny. Więc może z obawy o swą skórę, o swoje bezpieczeństwo, ci ostatni miliarderzy Ameryki tak są rozkochani w mrocznym cieniu samotności?

JAN BĄBIŃSKI

Inteligencja bez człowieka

Najstarsze komputery nie myślały za wiele, odznaczając się jedynie fenomenalną pamięcią i wybitnymi uzdolnieniami matematycznymi, za to dzisiejsze najlepsze modele można tak zaprogramować, by uczyły się przez doświadczenie, przyjmowały do wiadomości argumenty, zadawały trafne pytania, komponowały miłą dla ucha muzykę i pisały nie najgorsze wiersze. Mogą też prowadzić rozmowę na tematy oderwane tak przekonywająco, że rozmówca nie będzie wiedział, iż rozmawia z maszyną. Są to sympatyczne cechy komputera, naśladuje on życie jak elektroniczna małpa. W miarę jak stają się one coraz bardziej skomplikowane — naśladownictwo staje się coraz lepsze. Na koniec granica między oryginałem a kopią zacznie się zacierać. Za jakieś 15 lat, czyli po powstaniu jeszcze ze dwóch generacji komputerów, mogą się one stać nową formą życia.

Komputery biją ludzi na głowę w niektórych dziedzinach, zwłaszcza tam, gdzie wymagane są szybkie decyzje w sytuacjach kryzysowych. Mózg ludzki ma ten wrodzony feler, że nie może percepować jednocześnie kilku strumieni informacji i szybko jej przetwarzać. Spróbuj wbić sobie do głowy zbyt wiele rzeczy na raz, a od razu się zatniesz — mózg rozwinął się co najmniej 100 tysięcy lat temu, kiedy tempo życia było jednak wolniejsze. Panujemy jeszcze nad sytuacją, ale możliwości komputerów rosną w fantastycznym tempie, podczas gdy ludzka inteligencja zmienia się bardzo wolno, jeśli w ogóle. Od 1946 roku moc komputerów zwiększa się dziesięciokrotnie co osiem lat. W latach dziewięćdziesiątych, kiedy pojawi się szósta generacja komputerów, rozmiary ich i zakres operacji zaczną być porównywalne z ludzkim mózgiem.

W tych czasach superinteligentne maszyny będą współpracować z najlepszymi umysłami nad wszystkimi najważniejszymi problemami, tworząc niepokonane połączenie chłodnego rozumowania z ludzką intuicją. Co będzie potem? John Kemeny, pionier komputeryzacji, w'i przyszłość stosunków człowiek — komputer w postaci swoistej symbiozy dwóch żywych gatunków niezbędnych sobie nawzajem. Komputer — nowa forma życia, zajmująca się wyłącznie myśleniem, będzie całkowicie pod opieką człowieka, który będzie zaspokajał jego cielesne potrzeby w postaci energii i części zamiennych. Człowiek też będzie umożliwiał komputerom rozmnażanie, co zresztą robi i dzisiaj. W zamian za to komputer będzie dbał o zaspokojenie naszych potrzeb społecznych i gospodarczych. Dziecię ludzkiego umysłu raczej niż jego ledźwi stanie się jego zbawieniem w coraz str zliwiej skomplikowanym świecie.

Partnerstwo zresztą będzie trwać niedługo — sztuczna inteligencja rozwija się skokami, a granic jej rozwoju nie widać. Natomiast ewolucja człowieka stanowi chyba zamknięty już rozdział w historii życia. Ale wcale nie oznacza to, że skończyła się ewolucja rozumu na Ziemi. Doświadczenie każe nam się spodziewać powstania nowych gatunków za przyczyną człowieka, które przerosną go, tak jak on prześcignął swych przodków. Tylko szowiniści białka węglowego mogą żywić przekonanie, że nowe gatunki muszą być z krwi i kości potomkami człowieka, z mózgiem tkwiącym w kruchej, kościanej skorupie. Nowy rodzaj istot rozumnych będzie raczej z krzemu.

Z historii życia na Ziemi wynika, że powstanie nowego gatunku trwa około miliona lat. Ponieważ większość planet we Wszechświecie jest nie o jakieś tam miliony, ale o miliardy lat starsza od Ziemi, to ż cie jakiego mogą być kolebką — zakładając, że życie jest w Kosmosie rzeczą powszechną musiało już dawno przejść etap, na który my teraz wstępujemy.

Miliard lat to dla ewolucji okres bardzo długi. Miliard lat temu najwyższą formą życia na Ziemi były robaki. Życie rozumne na owych odległych, stary'i planetach musi być od nas tak różne, jak my różnimy się od stworzenia, które wije się w błocie. Takie superinteligentne istoty na pewno nie będą miały n wet w przybliżeniu ludzkiego kształtu. W Kosmosie, który trwa już od miliardów lat — a człowiek zaledwie milion — jest mało prawdopodobne, by ludzkie kształty były standardową formą cielesną.

Niewykluczone, że nasza ciekawość zostanie niedługo zaspokojona. Przecież sygnały radiowe i telewizyjne, wysyłane nieustannie przez urządzenia zbudowane przez człowieka, rozchodzą się w przestrzeni jak gigantyczny bąbel, puchnąc z szybkością światła. Najstarsze audycje minęły już ponad 500 słońc podobnych do naszego. Nasi sąsiedzi wiedzą więc o naszej obecności i niewykluczone, że odpowiedź jest już w drodze. Za 10—20 lat otrzymamy od nich list i ujrzymy naszą przyszłość. Nie bądźmy rozczarowani, jeśli okażą się oni blaszanymi pudłami wypełnionymi po brzegi krzemowymi płytkami.

Prasa światowa nadal szeroko komentuje nowy wielki sukces radziecki, jakim był pomyślny i najdłuższy w dotychczasowej historii kosmonautyki lot radzieckich astronautów — Jurija Romanienki i Gieorgija Greczki. Komentatorzy wskazują na ogromne znaczenie tego lotu dla nauki i gospodarki narodowej ZSRR oraz podkreślają, iż świadczy on o wzroście naukowo-technicznego potencjału Związku Radzieckiego.

W ciągu 96 dni pobytu w Kosmosie dwaj radzieccy kosmonauci przeprowadzili wiele unikalnych eksperymentów. Loty kosmiczne świadczą o potędze państwa: wysłać człowieka w Kosmos i zapewnić mu powrót na Ziemię jest zadaniem wykonalnym, lecz bardzo skomplikowanym i niezmiernie kosztownym. Właśnie te koszty były sztandarowym argumentem sceptyków i przeciwników aktywnej eksploracji Wszechświata. Nie ulega kwestii, iż koszty badań kosmicznych są bardzo wysokie. Amerykańscy statystycy podają, że jedna minuta pobytu na orbicie pierwszego astronauty USA kosztowała 1.680.000 dolarów (odbył się on w 1962 roku i trwał trzy godziny i 56 minut). Każda sekunda pobytu załogi statku „Apollo — 11" na Księżycu kosztowała 30.000 dolarów (astronauci przebywali na Księżycu 2 godziny 40 minut). Jeśli chodzi o próbki gruntu księżycowego, które Amerykanie dostarczyli na Ziemię, to — wliczając wszystkie koszty operacyjne — każdy jego kilogram kosztował 1.000.000.000 dolarów!

Bardzo interesująco pisze o tych skomplikowanych problemach płk. inż. M. Rebrow, specjalny korespondent gazety „Krasnaja Zwiezda", w Centrum Kierowania Lotów w Bajkonurze. Autor artykułu informuje, iż w „latach 1958—1972 Stany Zjednoczone asygnowały na badania kosmiczne 63 miliardy dolarów. Suma, wydawałoby się, bardzo duża. Należy jednak wziąć pod uwagę fakt, iż nawet w latach najbardziej intensywnych prac badawczych (1965—1967), roczne wydatki NASA nie przewyższały 1 proc. globalnego produktu narodowego USA. Są to wydatki 25 razy mniejsze od wydatków USA na wyścig zbrojeń i stanowią, mniej więcej, 20—30 proc. rozchodów pieniężnych na lotniczy transport pasażerski i towarowy w Stanach Zjednoczonych. I jeszcze jedno porównanie: na wojnę w Wietnamie wydatkowały USA ponad 120 miliardów dolarów. Suma ta przewyższa niemal dwukrotnie wszystkie wydatki na amerykańką kosmonautykę za cały okres jej istnienia. Ciekawy rachunek przeprowadził amerykański ekonomista T. Taylor. Według obliczeń, pierwszy amerykański sztuczny satelita kosztował Stany Zjednoczone 2 miliony dolarów, w rozliczeniu na jeden kg ciężaru użytecznego. W 1968 roku kilogram ciężaru użytecznego przetransportowany na orbitę kosztował już tylko tysiąc dolarów. Innymi słowy, zaledwie w ciągu 10-lecia, eksperymenty kosmiczne staniały 2.000 razy. Przejście do systemu wielokrotnego wykorzystywania statków kosmicznych — twierdzi Taylor — pozwoli na obniżenie ceny kosmicznych aparatów latających do 10 dolarów za 1 kg.

To była odpowiedź na wątpliwości sceptyków — pisze M. Rebrow.

Szturmowanie Kosmosu wymagało mobilizacji wszystkich środków współczesnej nauki, techniki i technologii produkcji. Jeśli mówić o kosmonautyce, to przede wszystkim należy się powołać na bezpośrednie rozwiązania techniczne, które są nie tylko ekonomicznie bardziej korzystne, lecz częstokroć jedynie możliwe. Weźmy — pisze płk. Rebrow — kosmiczne urządzenia retransmisyjne „Mołnia", „Raduga", „Ekran". Jak oceniają specjaliści, łączność za pośrednictwem satelitów jest korzystniejsza ekonomicznie przy transmitowaniu informacji na odległość ponad 200 km. Wieża telewizyjna w Ostankino zapewnia stały odbiór telewizyjny w promieniu mniej niż 200 km. Ale w tym wypadku jest to ekonomicznie uzasadnione ze względu na dużą gęstość zaludnienia w tym rejonie. Jednakże żeby obsłużyć telewizją tak ogromny kraj jakim jest Związek Radziecki, trzeba by wybudować takich masztów zbyt dużo. Inny przykład: sputniki typu „Meteor". Informacja otrzymywana z Kosmosu i wykorzystywana przez hydrometeorologiczną służbę ZSRR do długoterminowych prognoz różnych stanów pogody pozwala każdego roku uchronić od zniszczenia dobra materialne wartości 600—700 milionów rubli. Trafna prognoza pogody tylko na okres 5 dni przynosi oszczędności w skali rocznej, tylko w gospodarce rolnej (całej planety), w wysokości około 6 miliardów dolarów. Suma tego rzędu stanowi obecne roczne nakłady na cały amerykański program kosmiczny.

Weźmy problemy Oceanu Spokojnego, tego największego rezerwuaru zasobów żywnościowych, mineralnych i chemicznych. Przemysł rybny dostarcza co roku około 70 milionów ton produktów żywnościowych (stanowi to 12 procent całego zapotrzebowania mieszkańców naszej planety w białko). Jeśli wziąć pod uwagę, iż w celu przemysłowego zagospodarowania całego Oceanu Spokojnego należy prowadzić nieustanne prace na powierzchni 150—200 milionów km kw., to staje się zrozumiałe, że zadanie to można rozwiązać tylko przy pomocy techniki kosmicznej. W Ministerstwie Żeglugi Morskiej ZSRR utworzono zjednoczenie „Morsświaźsputnik", które zabezpiecza techniczną eksploatację radzieckich i międzynarodowych satelitów łączności i nawigacji na przestworzach mórz. Jak ważny jest ten problem, świadczą liczby. Każdego roku, w konsekwencji pomyłek w nawigacji, ze stanu światowej floty morskiej ubywają statki, których ogólny tonaż wynosi średnio milion ton.

Można wymienić — czytamy w artykule M. Rebrowa — mnóstwo problemów ziemskich, których rozwiązanie wymaga dokładnych map. Są w tym zainteresowani budowniczowie dróg kolejowych i szos, magistrali rurociągów, magistrali energetycznych, gazownicy, nafciarze, lotnicy i inni. Otóż to, z wysokości orbity kosmicznej całą powierzchnię kuli ziemskiej można utrwalić na taśmie filmowej w przeciągu niecałych 24 godzin. Żeby wykonać takie zdjęcia przy pomocy lotnictwa, trzeba by użyć do tego celu 1.000 samolotów, przebywających nieustannie w powietrzu przez wiele dni. Jeszcze jedna interesująca liczba. Z pokładu „Saluta — 4" sfotografowano 5 mln 600 tys. km kw. terytorium Związku Radzieckiego. Jak oceniają specjaliści, ekonomiczne korzyści z informacji otrzymanej tylko w przeciągu dwóch miesięcy pracy w Kosmosie dla różnych gałęzi gospodarki narodowej kraju ocenia się na ponad 50 milionów rubli.

Ogromne korzyści dla ludzkości niesie z sobą kosmiczna technologia. Zgodnie z ocenami, produkowanie na orbicie nowych materiałów o określonych właściwościach (kryształów, stopów, materiałów kompozycyjnych, preparatów lekarskich itp.) przyniesie duże korzyści już do 1990 roku rzędu od 5 do 50 miliardów rubli. Dziś na Ziemi buduje się coraz potężniejsze akceleratory (urządzenia do przyśpieszania ruchu cząstek zjonizowanych — red.). Te „instrumenty" fizyków są bardzo drogie. A w Kosmosie można spotkać cząsteczki, których energia jest wielokrotnie większa. Dlatego też — być może już w niedalekiej przyszłości — odpadnie konieczność korzystania z akceleratorów „ziemskich", bowiem badania i eksperymenty przeniesie się w Kosmos, gdzie już dziś pracują (i to bardzo efektywnie) satelity typu „Protok" badające promienie kosmiczne.

Śmiem twierdzić — pisze płk. M. Rebrow — że nie rozpoczynając w 1957 roku szturmowania Kosmosu i nie zwiększając wysiłków na tej trudnej drodze, nie mielibyśmy dziś — pracujących w przeróżnych dziedzinach przemysłu, nauki i gospodarki narodowej — systemów zdalnego sterowania, środków kontroli najbardziej złożonych kompleksów automatycznych, metod zbierania i opracowywania licznej i szybko zwiększającej się informacji, superminiaturowych urządzeń elektronicznych, materiałów o fantastycznych właściwościach i wiele innych. Ważne jest to, że ludzkość zdobyła nowy instrument poznania świata. Korzyści płynące z zastosowania tego unikalnego instrumentu badań naukowych są odczuwalne już dzisiaj. W perspektywie są one tak ogromne, że wprost trudno je sobie wyobrazić.

JERZY CZECH

2314 godzin na orbicie

ZIEMIA Z PERSPEKTYWY KOSMOSU

NAUKA

POSTĘP W WALCE Z WIRUSAMI

Amerykańscy uczeni poinformowali o wielkim sukcesie w dziedzinie leczenia chorób wywoływanych przez wirusy oraz o wyprodukowaniu pierwszego preparatu leczącego śmiertelną formę zapalenia mózgu. Doktor Richard Crause z Narodowego Instytutu Ochrony Zdrowia w Waszyngtonie określił to doniosłe wydarzenie w świecie medycyny jako największe osiągnięcie, które powinno zapoczątkować skuteczną walkę z innymi rodzajami wirusów.

Wiele poważnych chorób nękających ludzi wywołują przede wszystkim dwa rodzaje mikroorganizmów: bakterie i wirusy. Poczynając od lat 40 do walki z bakteriami używa się z powodzeniem antybiotyków, ale wirusy opierają się działaniu wszelkich leków.

W 15 klinikach Ośrodka Medycznego Uniwersytetu w Alabamie, w których prowadzono badania skuteczności nowego leku, nazwanego „ara-A", obniżono wskaźnik śmiertelności wśród chorych na zapalenie mózgu z ok. 70 procent do niecałych 28. Dr Crause jest zdania, że jest to pierwszy na Zachodzie, uwieńczony sukcesem, sposób leczenia tej ciężkiej i niebezpiecznej dla życia choroby wirusowej. Lek otwiera drogę nowym formom terapeutycznego leczenia chorób infekcyjnych podobnego typu.

Początki powstania leku „ara-A" sięgają 1965 roku, kiedy to dwóch francuskich uczonych: z Centrum Badań Laboratoryjnych w Paryżu zajęło się badaniem przeróżnych roślin oraz ciał pochodzenia zwierzęcego, w poszukiwaniu antyrakowych związków chemicznych. W toku tych poszukiwań zbadali chemiczne substancje pn. purynowych nukleozydów, wyodrębnione z jednej z licznych odmian huby. Jak się okazało nukleozydy nie są zdolne do powstrzymywania rozrostu komórek rakowych. Niemniej uczeni odkryli, niejako „po drodze", coś innego: w przygotowanych z huby kulturach nie zaobserwowano wzrostu liczby wirusów, którego należałoby oczekiwać. Dalsze badania poszły tą drogą...

Opracowaniem preparatu „ara-A", otrzymywanego z nukleozydów huby, zajęli się uczeni z laboratorium kompanii Parck Davis w Detroit. Udało się im otrzymać syntezę tej substancji i w ub. roku, przy poparciu Instytutu Ochrony Zdrowia, dwaj lekarze z Ośrodka Medycznego Uniwersytetu w Alabamie zaczęli ten preparat podawać chorym na zapalenie mózgu. Spośród 18 pacjentów, którym podawano preparat „ara-A" 5 zmarło, ale stan 7 chorych poprawił się do tego stopnia, że po leczeniu mogli prowadzić normalne życie; 4 spośród nich wyzdrowiało całkowicie. U pozostałych stwierdzono poważne naruszenie funkcji mózgu lub systemu nerwowego, co jest, jak utrzymują lekarze, prawdopodobnie następstwem zbyt późnego rozpoczęcia leczenia. W kontrolnej grupie chorych na zapalenie mózgu otrzymujących nieszkodliwe ale też i nieefektywne lekarstwa zmarło 7 pacjentów spośród 10. Lekarze, którzy prowadzili te badania zamierzali z początku rozszerzyć kontrolną grupę chorych zażywających nieefektywne leki do chwili upewnienia się, że skuteczność preparatu „ara-A" jest niezawodna. Później uznali jednak, iż byłoby nieetyczne podawać chorym leki nieefektywne, mając już dostateczne dowody skutecznego działania nowego preparatu.

(C.)

- NAJISTOTNIEJSZY PROBLEM
- TEN SAM PREMIER
- SZANTAŻ PORYWACZY

Artykuł „Prawdy" sprzed kilku dni, oceniający aktualny stan stosunków radziecko-amerykańskich, jak oficjalnie oświadczono w Waszyngtonie „studiowany jest starannie", gdyż uznany został za „poważny i przemyślany komentarz".

Artykuł ten stwierdza, że rozwój dwustronnych stosunków uległ zwolnieniu, a ostatnie wystąpienie prez. Cartera w Wake Forest i gra na zwłokę w prowadzeniu rokowań SALT mogą zastanawiać.

Wiemy, jak **wiele w procesie odprężenia zależy od stosunków dwóch największych mocarstw.** Dlatego troską o to, aby w ich rozwoju nie było zahamowań i zakłóceń jest uzasadniona.

Zwłaszcza **niepokój mogą budzić próby wprowadzenia do produkcji nowych rodzajów i systemów broni masowej zagłady** oraz formowanie się w USA całej „koalicji" zwolenników broni neutronowej, która to „koalicja" składa się oczywiście z przedstawicieli kompleksu militarno-przemysłowego.

Nic przeto dziwnego, że **temat ów stał się dominującym w toku obrad Komitetu Rozbrojeniowego 30 państw.** Pod koniec ub. tygodnia na tym właśnie forum przedstawiciel Polski raz jeszcze wyłożył stanowisko naszego kraju wobec broni neutronowej i zamiarów wyposażenia w nią armii NATO, a więc rozlokowania jej w Europie zachodniej.

Pilnym zadaniem jest podjęcie kroków, które prowadziłyby do międzynarodowego porozumienia, kładącego tamę doskonaleniu arsenałów, przede wszystkim w przypadkach, kiedy w grę wchodzą coraz groźniejsze rodzaje i systemy broni. **Człowiek**, jak to często obecnie podkreślamy **ma prawo do życia w pokoju**, a fakty eskalacji najniebezpieczniejszych zbrojeń mogą to podstawowe prawo naruszyć. Podjęcie produkcji broni neutronowej otworzyłoby nową fazę wyścigu zbrojeń, a wyposażenie w nią armii zatarłoby granicę między bronią konwencjonalną i nuklearną. Jakże łatwo wówczas wprowadzić świat w wojnę jądrową!

Z tych to względów propozycje krajów socjalistycznych zgłoszone w toku obrad Komitetu Rozbrojeniowego w Genewie na początku marca, aby podjąć rokowania, zmierzające do pełnego zakazu broni neutronowej, mają wielką wagę. Potwierdzają to coraz powszechniejsze protesty przeciwko produkcji tej broni.

* * *

We Francji miniony tydzień przyniósł dymisję dotychczasowego rządu i **ponowne wyznaczenie R. Barre na premiera nowego gabinetu.** Przyniósł też rozmowy przywódców komunistów i socjalistów — Marchais i Mitterranda z prezydentem Giscard d'Estaing. Jak to już wyjaśnialiśmy przed tygodniem, wybory we Francji przyniosły tylko nieznaczną przewagę partiom centrum i prawicy, co skłoniło prezydenta do pewnego gestu w stronę lewicy, dysponującej niemal połową głosów wyborców.

Treści rozmów w Pałacu Elizejskim nie ujawniono — wiadomo jednakże, że **zarówno socjaliści, jak i komuniści pozostaną w opozycji.**

Być może, iż wiadomość o składzie rządu francuskiego wyprzedzi druk tego komentarza. Sądzi się, że choć misję utworzenia nowego gabinetu prezydent powierzył dotychczasowemu premierowi — rząd będzie się dość znacznie różnił od poprzedniego. Czy jednak jego skład potwierdzi zapowiedź Giscarda d'Estaing o „politycznym natarciu" i nieco innych priorytetach w polityce wewnętrznej?

* * *

Z Włoch pod koniec tygodnia napłynęła informacja o szantażu terrorystów, którzy przed z górą pół miesiącem porwali przywódcę chadecji — Aldo Moro. Rozesłany został list pisany jego ręką, ale z pewnością pod dyktando, a jednocześnie zgłoszone żądanie porywaczy, aby uwolnieni zostali terroryści, przebywający w więzieniach włoskich.

Wszystkie demokratyczne partie włoskie odrzuciły jednomyślnie to żądanie. Dziennik WiPK — „Unita" napisał, że dziś prawdziwą stawką jest przyszłość republiki i dlatego „demokratyczny system nie może ustąpić przed terroryzmem". Jedno ustępstwo mogłoby pociągnąć za sobą wiele nowych żądań i w rezultacie kraj wydany zostałby na łaskę i niełaskę przemocy.

W Rzymie i właściwie całych Włoszech trwają nadal poszukiwania porywaczy. Policja i wspomagające ją wojsko nie natrafiły jednakże na żaden prawdziwy ślad. **Świadczy to o sprawnej organizacji tzw. Czerwonych Brygad**, które przez 40 minut — zanim po wypadku porwania Rzym nie został zamknięty szczelnym kordonem — zdążyły dobrze ukryć swą ofiarę. Komentatorzy zastanawiają się, jak rozległa jest siatka terrorystów i jak mocne są ich powiązania międzynarodowe. Podkreślają też, że z „komunikatów" Czerwonych Brygad wynika próba upolitycznienia aktu porwania i postawienia w stan oskarżenia nie tylko chadecji, ale również całego systemu państwowego we Włoszech.

W. SŁAWSKI

CENA SUKCESU

W ubiegłym tygodniu w Łodzi — w hali Chojeńskiego Klubu Sportowego Komunalni — rozegrano półfinałowe, rewanżowe spotkanie w piłce ręcznej o Puchar Zdobywców Pucharu. Niestety, w wyniku tego spotkania drużyna łódzkiej Anilany została wyeliminowana z dalszych rozgrywek przez zespół VfL Gummersbach z RFN. Wprawdzie mecz w Łodzi polski zespół wygrał stosunkiem 19:19, ale uprzednio w Dortmundzie łodzianie przegrali 23:16.

Zawodnicy Anilany pokazali dobrą grę, nawiązali równorzędną walkę z jednym z najlepszych zespołów w Europie, nie potrafili jednak osiągnąć takiej przewagi punktowej, aby móc zagrozić piłkarzom z RFN. W końcu też Niemcy awansowali do dalszych rozgrywek o Puchar Zdobywców Pucharu. Jeśli jednak drużyna Anilany wyciągnie właściwe wnioski z poniesionej porażki, jeśli postara się nadrobić braki, to w przyszłości śmielej będzie sięgać po międzynarodowe laury.

Wiele naszych drużyn toczy walki na zagranicznych boiskach i kibicom wydaje się, że każda taka walka powinna zakończyć się naszym zwycięstwem. Pewnie, że zdobycia każdego zespołu powinno być pokonanie lepszego przeciwnika, podnoszenie własnego poziomu, ale też droga do tego prowadzi przez międzynarodowe konfrontacje. Przegrana w tej czy innej międzynarodowej imprezie jest tylko epizodem w historii polskiego sportu. Międzynarodowe imprezy odbywają się cyklicznie, powinniśmy brać w nich udział, powinniśmy coraz mocniej dokumentować tam naszą obecność, odnosić sukcesy, ale i nie zapominać, że poza tym w kraju toczy się normalne życie, trwa codzienna praca, bez której niewiele osiągniemy na międzynarodowych stadionach i boiskach.

Krzysztof Mętrak w „Piłce Nożnej" zwrócił uwagę, że „w miarę zbliżania się terminu rozpoczęcia argentyńskich finałów, wyczuwa się w kręgach kibiców swoisty „stan zawieszenia", jakby rodzaj „niepełnego" zainteresowania tym wszystkim, co dzieje się aktualnie...". Trudno dziwić się kibicom, że czekają niecierpliwie na wielką piłkę nożną, traktując szarzyznę ligowa jako coś gorszego. Chociaż dwa mecze z 30 marca wzbudziły wielkie zainteresowanie. Jednym z nich był mecz rozgrywany w Bydgoszczy między wojskowymi drużynami Zawiszy i Śląska z Wrocławia. Drużyna Zawiszy broni się przed spadkiem z I ligi i mecz wygrała, choć jej przeciwnik — wrocławski Śląsk — goni lidera i myśli o mistrzostwie Polski, a byłaby to obrona już posiadanego tytułu.

Drugi mecz, który 30 marca 1978 roku wzbudził wielkie zainteresowanie — to po raz ósmy rozgrywane łódzkie derby. Tym razem jedenastka ŁKS gościła na stadionie RTS Widzew i poniosła dotkliwą porażkę, przegrywając z Widzewem 3:0. Nie tylko wynik, ale przebieg całego spotkania dobitnie świadczył, że lepszymi na boisku byli piłkarze Widzewa. Był to bardzo dobry dzień Zbigniewa Bońka i trochę gorszy Jana Tomaszewskiego. On to właściwie uratował piłkarzy ŁKS od wyższej porażki. Szkoda tylko, że swoim niesportowym zachowaniem nie tylko zarobił żółtą kartkę, ale i stracił sympatię kibiców, którzy decyzje sędziego Alojzego Jurgiza powitali zgodnym okrzykiem: „Brawo sędzia". Żółtą kartkę dostał też na tym meczu Krzysztof Surlit.

Mało tego dnia było żółtych kartek na ligowych boiskach i trzeba się z tego cieszyć. Poza wymienionymi: Janem Tomaszewskim i Krzysztofem Surlitem żółte kartki otrzymali jeszcze Z. Garłowski ze Śląska i Krawczyk z Odry. Mnie interesuje jednak jakie sankcje będą za te kartki? Mecze ligowe odłożono na przeszło dwa tygodnie, a wśród ukaranych jest reprezentacyjny bramkarz, w dodatku również obciążony karą dyscyplinarną w zawieszeniu. Jak PZPN postąpi w tym wypadku?

Zainteresowanie moje wynika stąd, że dały się już słyszeć głosy, aby wszelkie spory, konflikty, kary itp. odłożyć na później, czyli wrócić do nich po meczach w Argentynie. Słusznie przeciwko takiemu stawianiu sprawy zaprotestowali Krzysztof Mętrak w „Piłce Nożnej" i Bohdan Tomaszewski w „Kulturze". Bohdan Tomaszewski ujął to lapidarnie:

„Zdobędziemy w Argentynie medal a w istocie wszystko zakończy się naszą porażką. Przegramy wartości, które są najistotniejsze w sporcie".

Wszyscy chcemy, aby polska drużyna wypadła w Argentynie jak najlepiej aby przynajmniej potwierdziła swoje trzecie miejsce na świecie. Ale też nie popadajmy w przesadę. Świat nie kończy się na mistrzostwach świata w Argentynie, później będą mistrzostwa Europy, będzie olimpiada, dalej będzie grała liga i będą europejskie rozgrywki pucharowe. O piłce nożnej, tak jak o całym sporcie trzeba myśleć perspektywicznie. Marzymy o sukcesie, ale też pamiętajmy o cenie jaką za ten sukces możemy zapłacić. Nie może bowiem powstać wśród sportowców i kibiców takie przekonanie, że jednym wolno wszystko a innym nic. Sport ma nie tylko bawić, ale też wychowywać. I nie jest to wcale frazes.

BOGDA MADEJ

Edward Szuster

WĘDRÓWKI ZIMĄ I LATEM

OPOWIEŚĆ

(VI)

1.

Na skwerku urządzonym w miejscu rozebranego narożnika Wólczańskiej i Świerczewskiego — takie prostokątne, zasiane trawą i krzewami, obsadzone blizny po narożnych budynkach spotyka w swoich wędrówkach co krok — spogląda na zegarek i stwierdza, że do trzeciej brakuje jeszcze prawie kwadrans. Szwendanie się przez kwadrans przed szpitalem wcale mu się nie uśmiecha. Patrzy w okno, za którym pracuje żona a potem ogląda znajomą sylwetkę szpitala. Parę — może kilkanaście — lat temu szpital odgrodzony był od ulicy Świerczewskiego jakimiś domkami, czy płotami i w ogóle wyglądał inaczej; nie było jeszcze ani bloku stojącego wzdłuż Wólczańskiej, ani wysokiego, poprzecznego skrzydła mieszczącego na samej górze salę operacyjną. Z tej sali operacyjnej przeprowadzał pierwszą swą transmisję telewizyjną, a wcześniej spędził w szpitalu podczas ostrego dyżuru całą noc poszukując reporterskiego materiału. Niewiele go wtedy znalazł, bo ostry dyżur okazał się bardzo spokojny, jedynie gdzieś po północy zniknął, jak kamfora przywieziony.

Uprzytamnia sobie, że stoi na ulicy na której stawiał pierwsze kroki w tym mieście i postanawia przejść choćby kawałek tej samej drogi, jaką przemaszerował wówczas sześcioletni dziś trzymając się ręki ojca. Skręca w Świerczewskiego ku rzeźni i przeszedłszy kilkadziesiąt kroków wzdłuż czterdziestoletnich domów zbliża się do Gdańskiej. Przed sobą widzi narożnik Zakładów im. Dubois i przypomina sobie, że w tym budynku wiosną 1946 roku mieścił się punkt głosowania w referendum ludowym. Tu przyszedł wraz z żoną by głosować. Czekali w dość długiej kolejce przed urną bo członkom komisji niespiesznie szły czynności porządkowe i ewidencyjne. Za nimi czekało dwóch młodych ludzi którzy dość głośno zaczęli zapewniać się wzajemnie że on na pewno wrzuci do urny kartkę z takimi odpowiedziami do jakich nawoływał Mikołajczyk. Do Mikołajczyka nie miał żadnego nabożeństwa więc żarcik młodych ludzi zezłościł go i zaproponował im zakład o dość znaczną kwotę; upoważnia ich do otwarcia swej kopertki i jeśli karta głosowania zawiera trzy razy „tak" płaci on, jeśli jest inaczej — płaci on. Wykręcili się od tej konfrontacji powołując się na przepis gwarantujący tajemnicę głosowania i żartować przestali. Po wyjściu z lokalu wyborczego golnęli sobie wszyscy czworo z butelki tych młodych ludzi.

Wchodzi na odcinek ulicy Świerczewskiego który w ciągu ostatnich piętnastu lat zmienił się niewiele. Z jednej strony wznosi się nad nim wysoka ściana Zakładów im. Dubois z drugiej — ograniczał go budynek niższy oddzielony przez Politechnikę po Rosenblatcie. Tędy właśnie pod tą wysoką ścianą późnym wieczorem, ulica licho rozjaśniona żółtym światłem gazowych latarń ojciec prowadził go za rękę zmęczonego i śpiącego. Z uwagą liczył wtedy zawieszone na domach latarki z numerami bo tata powiedział, że gdy minie dwadzieścia trzy takie latarki to będą już w nowym domu. Najpierw pojawiły się dość regularnie ale potem była długa ciemna ściana idą i idą a następnego numeru nie widać. Zaniepokojony spytał ojca co się dzieje usłyszał że jak jest fabryka to długo nie ma nowego numeru. Zapamiętał to sobie i odtąd wiedział, że w tym mieście fabryki ciągną się bardzo długo.

Dziś przemierza szybko chodnik pod ścianą zakładów dochodzi do skrzyżowania przy którym w jego dziecięcych latach znajdowała się końcówka linii tramwajowej; opowiadał o tym żonie podczas niedzielnego spaceru po parku. W tym miejscu ulica Żeromskiego zaczyna być aleją Politechniki. Pozornie ta zmiana nazwy nie ma żadnego uzasadnienia on jednak pamięta że wraz z linią tramwajową kończyła się tu ulica a dalej wlokła się już tylko zwyczajna topolami wysadzana droga a przy niej rów którym wędrowały — chyba do Jasieni — sinoniebieskie śledzie ze Swelandu. Nie ma dziś drogi nie ma rowu, nie ma ścieków. Jest szeroka arteria o dwóch jezdniach rozdzielonych torowiskiem tramwajowym. Stoi tylko jak stał zakład noszący dziś imię Dubois stoją starsze pewno od zakładu wielkie topole których nie jeden człowiek nie zdołałby objąć. Dalej, tam gdzie kiedyś były jedynie płoty wznosi się szereg domów akademickich których nie tak dawno wcale jeszcze nie było.

Skręca z wąskiego trotuaru ulicy Świerczewskiego na szeroki chodnik przy alei Politechniki i wkrótce idzie wzdłuż stojącej na rozległym placu Hali Sportowej. Przykryta dachem zamknięta pełnymi ścianami zdaje mu się być mniejsza niż wówczas gdy patrzył na nią w dniach budowy. Wtedy przypłaszczone łuki żelbetowych żeber mających dźwigać całą konstrukcję robiły wrażenie oszałamiająco śmiałych, wysokich. Chyba w ciągu tych lat przywykł już do wysokich budynków, i to, co przed kilkunastu laty wydawało mu się niezwykłe dziś jest zwyczajne, opatrzone. Wiele razy siedział pod sklepieniem tej hali na różnych imprezach czy akademiach zawsze jednako oszałamiany dudnieniem gigantofonów zawieszonych gdzieś nad jego głową.

Stojący na postumencie przed halą odrzutowiec nie jest dziś oblepiony przez dzieci. Niewielu przechodniów przemierza alejki parku sąsiadującego się wzdłuż ulicy Worcella, ale to nie przeszkadza mu wcale. Zawsze chadzał chętnie, najchętniej wtedy gdy rośnące tu starannie dobrane i troskliwie prowadzone drzewa prezentują całą swą krasę. Ten fabrykancki niegdyś ogród dobrze świadczy o smaku czy guście założyciela, ale stojący w nim pałac jest wyjątkowym okazem pretensjonalności. Gotycka wieża, romańskie okna renesansowe portale i bania wykuszu przypominająca ogrodowa altanę pozlepiane tam są z nieprawdopodobną dowolnością. Ze zgrozą czyta tabliczkę informującą, że w tym ponurym wybryku fantazji budowniczego mieści się Wydział Budownictwa Politechniki Łódzkiej.

Mija fascynujący go zawsze budynek i nad płaskim dachem seminarium duchownego — stąd chyba chadzali ongiś do parku klerycy na przechadzki i grę w piłkę — widzi kikut katedralnej wieży; ceglany prostopadłościan pozbawiony strzelistego gotyckiego hełmu.

(Dziś już zobaczyłby i hełm i dachy katedry pokryte — jak dawniej — spatynowaną na zielono blachą).

Dochodzi alejkami parku do Wólczańskiej i skręca w stronę szpitala. Tu, na tym odcinku między Worcella a Świerczewskiego każdy metr ulicy wywołuje w jego pamięci jakieś obrazy czy skojarzenia. Oto zajezdnia PKS która na jego oczach powstawała ze starej hali fabrycznej. Oto klasycystyczny pałacyk pofabrykancki, wciąż mieszczący przedszkole, do którego chodziła jego córka, bohatersko przemagając strach przed wielkim, rzadzącym w podwórzu kogutem. No i dom. Dom w którym po raz pierwszy miał swój własny pokój i własną półkę z książkami; dom, do którego wracał z sublokatorskich pokoi w Warszawie; dom, w którym na czuwaniu wraz z sąsiadami spędził kilka pierwszych wrześniowych nocy w 1939 roku i obok którego — w tym samym czasie przeżył chwilę obezwładniającego strachu na wieść, że gdzieś w pobliżu zrzucono bombę gazową. W tym domu ujrzał — jeden jedyny raz — skurcz płaczu na twarzy ojca, gdy żegnał go by wraz z bratem iść na wojenną „raizę" w ślad za ewakuowaną komendą z alei Kościuszki. Z tego domu marcowym wieczorem 1940 roku wyprowadzono ich obładowanych pospiesznie pakowanymi tobołami, pod budynek PKO. Do tego domu ściągali — każde z osobna — w pięć lat później i nie odliczyli się w nim wszyscy. Do tego domu przywiózł żonę z daromiejscową córką. Tu wreszcie siedział przy łóżku matki słuchając jej słabnącego oddechu aż przestał go słyszeć.

Ze stojącego za domem szpitala zaczynają wychodzić kończący pracę ludzie. Dostrzega żonę która zdecydowanym krokiem zmierza w stronę Świerczewskiego. Udaje mu się dogonić ją niepostrzeżenie.

— Pani wybaczy — mówi ujmując ją za ramię — ale muszę o coś spytać.

— Zwariował! — woła ale on nie zwraca na to uwagi.

— Czy pani pamięta — ciągnie. — że do tej szkoły która wyrosła przed oknami byłego pani mieszkania, uczęszczały jej dziatki?

— Pamiętam — odpowiada. — Pamiętam także, że ku mojemu zdumieniu zdołały szczęśliwie ukończyć ten świetny zakład naukowy.

— A czy pamięta pani — pyta dalej — że na miejscu tego boiska szkolnego na którym pani syn odnosił wybitne sukcesy sportowe, stała mała chałupka a w niej mieszkał bardzo sympatyczny szewc?

— Niczego podobnego nie było — oświadcza przeczac oczywistym faktom chyba dlatego, że wydarzyły się one wcześniej niżli los przyniósł ją w te strony. On zaś pamięta doskonale, że tam gdzie dziś stoi szkoła, tkwił w pierwszych dniach wojny — a może jeszcze i jakiś czas po wojnie — parterowy drewniak a obok drewniana brama zamykająca wjazd w podwórze za którym w mizernej oficynie mieścił się lokal dzielnicy PPS. Wszystko to zniknęło z powierzchni ziemi wkrótce po wojnie. Mieszkańcy w drewniaczku starszawy już szewc wojny nie przeżył. Nie wie jakie były jego losy ale pamięta że dobrze mu się z nim gadało w godzinach dyżurów pogotowia przeciwlotniczego podczas kilku wrześniowych nocy. Trudniej przychodziło mu nawiązać wówczas kontakt z innymi współlokatorami, nie kleiły się ich „nocne rodaków rozmowy". Po powrocie z wojennej „raizy" ujrzał nazwisko jednego z tych sąsiadów, pod odezwą wydaną przez łódzką organizację NSDAP, wtedy pojął, czemu te rozmowy kleić się nie mogły. Kiedy z początkiem 1945 roku wrócił po raz drugi do tego domu nie zastał w nim żadnego z przedwojennych sąsiadów: albo sami uznali, że nie mogą zostać w Łodzi, albo też zostali aresztowani, a potem wysiedleni do Niemiec.

— Pójdziemy przez Piotrkowską — oznajmia żona nie znoszącym sprzeciwu tonem i skręca w Świerczewskiego.

Domyśla się, że gdzieś po drodze ma być dokonane jakieś ważne zakupy, i idzie posłusznie za nią. Dość dawno nie chadzali już tędy, choć w swoim czasie do mieszczących się tu sklepów zaglądali co dnia po pieczywo, po mleko, po mięso czy po jarzyny. Wszystkie one pozostały na swoich miejscach, choć ten czy ów urządzony został inaczej, w tym czy innym sprzedaje się co innego niż ongiś. Niewiele nowego przyniosło ostatnich dwadzieścia pięć lat na ten odcinek ulicy. Zrzucanie starej skóry jeszcze się tu nie zaczęło. Zacznie się z całym impetem już chyba niedługo, wówczas gdy rozpocznie się rozbiórka strzelczykowskiej odlewni stojącej za zbudowanymi przy Świerczewskiego domami. Wiele tych domów zniknie, by umożliwić przedłużenie alei Kościuszki.

Skręcają w Piotrkowską. Na przystanku tramwajowym czeka spora grupka ludzi, na chodniku ruch, aż gęsto od przechodniów.

— Na diabła wleźliśmy w ten ścisk? — pyta.

— Mam tu coś do załatwienia.

Pojmuje, że na bliższe wyjaśnienia nie pora. Zbliżają się właśnie do głównej bramy Zakładów Strzelczyka. Wyblakły, stary napis na ścianie budynku nasuwa mu znowu wspomnienie.

— Czy wiesz — pyta — że na kilka lat przed wojną fabryka Johna produkowała kłódki według pomysłu Szymona?

— Jaka fabryka?

Wyjaśnia, że właśnie ta, obok której przechodzą. Ona oświadcza, że nie wiedziała iż Szymon kiedykolwiek zajmował się kłódkami widać że w gruncie rzeczy nie bardzo ją to interesuje. Nic dziwnego, przecież prawie nie znała Szymona. Dla niego ten przyjaciel jego rodziców znakomity konstruktor obrabiarek, laureat nagrody państwowej, był jednym z najbliższych mu ludzi.

Mijają dom, z którego Włodek wywoził ciężarówką broń i podchodzą do dużego sklepu odzieżowego.

— Poczekaj tu na mnie — poleca ona.

Czeka i dość bezmyślnie przygląda się jakimś spodniom i marynarkom efektownie — chyba przy pomocy żyłek nylonowych — zawieszonych za witryna. Wreszcie ona wyłania się z czeluści sklepu.

— Idziemy — decyduje.

Tym razem nie powstrzymuje ciekawości.

— Po coś tam wchodziła — pyta.

Spogląda na niego karcąco.

— To moja sprawa.

Przypomina sobie nagle, że przecież pojutrze wieczorem ona będzie rozdzielać gwiazdkowe prezenty więc zaprzestaje dalszej indagacji. Do domu wracają bez żadnych przygód. Tylko wystawa księgarni usadowionej w domu ostrzelanym podczas masakry w 1905 roku przyciąga na chwilę jego uwagę ale ona stanowczo odciąga go od witryny.

W domu szybko wykonuje jej zlecenia, potem siada do maszyny i pisze.

„Pod rosnącym obok duktu starym białodrzewem, pośród brzózek krzaków leszczyny przystanęliśmy przez chwilę. Na oczyszczonej z trawy i ściółki kwaterze ogrodzonej lilipucim płotkiem z wiklinowych witek rosło parę skromnych bratków. Na pniu białodrzewu można było jeszcze zobaczyć blizny w kształcie krzyża i zdeformowane przez czas, w korze wycięte cyfry: 1, 9, 3, i 9.

— Te bratki sadzono niedawno.

— Chyba tak.

— I ciągle nikt nie wie, kto tu leży?

— Teraz na pewno już nikt. Parę lat po wojnie zabrano szczątki na sulejowski cmentarz. Ale czyje były, nie wiadomo.

Poszliśmy dalej pod wielkimi dębami ścieżką opadającą nieco w dół w geście zarośla leszczyny. Ich wielkie włochate liście poczęły się zwijać nieco zdawały się wiotczeć. Tylko tam gdzie padały na nie promienie chylącego się już słońca, jedne były jeszcze sztywne.

— Dwadzieścia prawie lat nikt już tam nie leży, ale bratki ludzie sadzą.

Skinąłem głową i położyłem palec na ustach. Zbliżaliśmy się do śródleśnej łąki ciągnącej się wzdłuż mizernego strumyczka. Pod wieczór lubiły na te łąkę wychodzić kozły i sarny. Cicho prześliznęliśmy się pod leszczynowymi chłostami, cicho podeszli do strumyczka bulgocącego wśród masy niezapominajek i przycupnawszy za kępką olszyny spoirzeliśmy na łąkę. Pieniła się tu bujna, soczysta trawa, a w niej czerwieniły całe kolonie jakiegoś kwiecia podbijającego rdzawym odcieniem zieleń łąki. Pod ścianą lasu zamykającego tę wąską, ale dość długą polanę nurzał się w trawie aż po brzuch koziołek od niechcenia skubiący wybrane źdźbła i rozglądający się uważnie. Widzieliśmy wyraźnie jego lśniące oczy ruchliwe nozdrza i niezle uperlone różki. Coś mu jednak musiało tu nie odpowiadać, bo rozejrzał się raz i drugi odwrócił się do nas białymi talerzami zadka i niespiesznie odszedł do lasu. Łąka stała pusta w ostatnich promieniach słońca. Gdzieś opodal dzięcioł łupał w drzewo jak oszalały.

Wracaliśmy do domu okrężną drogą wychodząc na wiejską ulicę koło sklepu bo chcieliśmy zobaczyć czy rzeczywiście za stodołą sklepowej stoją domki campingowe. Domków nie zobaczyliśmy, natomiast przy samym sklepie natknęliśmy się na Piotra, który natychmiast dał nura w opłotki. Rozbawieni tym epizodem pogwarzyliśmy ze stojącymi przed sklepem znajomymi, dowiedzieliśmy się ze Władek sprzedał ustęp Kostkowi, a pieniądze przepił, i poszliśmy do domu, bo nam się jeść zachciało.

Kiedy ściemniło się już całkiem, zeszliśmy wszyscy troje na łąkę, rozsiedli się na konarach powalonej sosny i rozniecili niewielkie ognisko. Biały dym ze świeżych sosnowych gałęzi wznosił się pionowym słupem ku skrzącemu się gwiazdami niebu. W przyrzecznych błotkach tęsknie i głęboko grały żaby, a za Pilicą skrzypiał derkacz, jakby nakręcał stary zegarek. Potem nad łąkami zaczęły pojawiać się i gęstnieć opary a od rzeki przypłynął chłód który odegnał nas od ogniska. Kiedy po ciemku wgramoliliśmy się na cypel i spojrzeli na łąki z góry — nad rzeką poczynało rozlewać się rozległe jezioro białych mgieł. Gdzieś zza lasów zarzecińskich wyjrzał na nocny nieboskłon żółty księżyc, podobny owalnej piłce.

(Jezioro białych mgieł może — jeśli pogoda będzie sprzyjać — i dziś zobaczyć z cypla, choć łąk już nie ma, bo przykryła je woda. Księżyc nad zarzecińskim lasem także chadza podobnie jak przed trzema laty).

Nazajutrz rano obudził mnie harmider ptaków uwijających się w otaczających dom drzewach z animuszem i ożywieniem w jaki zawsze wprawia je widok wędrującego w górę słońca. Zbiegłem na dół po zimnej od rosy trawie dobrnąłem do rzeki i ledwo się zanurzywszy wróciłem po własnych tropach widocznych ciemnymi smugami na siwawej łące. Ogarnąwszy się nieco poszedłem jak zwykle po mleko.

Piotra nie spotkałem, za to natknąłem się na matkę Bielakowej wędrującą z grabiami na ramieniu. Przystanęła mając widocznie ochotę na mnie pogadać. Przez chwilę rozmawialiśmy o siankosach i o tym czy Heńkowa krowa jest już odpięta z kłódki. Potem wypłynął temat którego spodziewałem się i któremu nie mogłem zapobiec.

— A te biegi to pan jeszcze robi?

— Czasem.

— No pewnie, już nie te lata. Ale się wtedy przestraszyła.

— Uhm.

— Idę sobie po drodze a tu słyszę tupie coś, aż się ziemia trzęsie. Koń myślę, czy co? Jaki tam koń, koń nie ziania a toto ziania jakby mu w piersiach grało. Serce mi do gardła skoczyło struchlałam. Staję, nie patrzę za siebie a tu, widzę pan koło mnie przelatuje i dalej po drodze leci, aż ziemia dudni. Tak było?

— Chyba tak.

— A dokąd to pan tak leciał?

— Donikąd. Tak sobie.

— Patrzcie państwo. Biegi pan sobie wyrabiał.

Rozmowa urwała się więc rychło pożegnaliśmy się i rozeszli. Budzyńskiej nie było w domu. Garnek z mlekiem zostawiła na ławce pod chatą i gdzieś powędrowała"

KONIEC

Powyższym odcinkiem kończymy druk fragmentów opowieści Edwarda Szustra pt. „Wędrówki zimą i latem". Całość ukaże się pod tym samym tytułem nakładem WYDAWNICTWA ŁÓDZKIEGO.

zdarzenia i zwierzenia

DIARIUSZ KULTURY

„Miło powrócić i usiąść na ławach, przed własnym domkiem, gdy ucichną gwary" — pisał Juliusz Słowacki. Tak — miło jest wracać i taki właśnie powrót w pierwsze trzy powojenne lata łódzkiej kultury zaproponowali nam prof. prof. **Aniela Kowalska i Jan Trzynadlowski.**

Oto nakładem **Łódzkiego Towarzystwa Naukowego** ukazała się książeczka niewielka lecz o wielkiej zawartości. **„Diariusz kultury łódzkiej 1945—1947"** wydano z pomocą finansową — nie, nie Wydziału Kultury — ale **Polskiej Akademii Nauk,** która biednemu miastu zrobiła ten wspaniały prezent.

Jest to bowiem druk nieoceniony. Zaniedbana pod względem kulturalnym Łódź przedwojenna dopiero po roku 1945 weszła w okres pełnego rozwoju. Te trzy lata zarejestrowane zostały poprzez spis faktów kulturalnych, dokładnie jest tych wydarzeń 558, ale w tym suchym, kronikarskim zapisie pulsuje życie w całym swoim bogactwie i złożoności.

Piszą autorzy: **„Dla tych, którzy przeżyli te lata „Diariusz" będzie wspomnieniem i przypomnieniem, zaś dla młodszego pokolenia — interesującym kompendium, cząstkowym źródłem wiedzy o początkach niepodległości miasta z łodzią w herbie".**

Powracam więc w tamte lata, z których sam niewiele pamiętam, ale lektura „Diariusza" otwiera przede mną Łódź budzącą się do życia, przypomina znane postaci i wydarzenia... Jest to scenariusz dokumentalnego filmu o kulturze Łodzi w pierwszych powojennych latach, scenariusz, który napisało życie.

Oto garść kronikarskich notatek z tamtych lat. 25 stycznia 1945 roku rozpoczął pracę Wydział Szkolnictwa Średniego w Kuratorium Łódzkim. Wśród wizytatorów nazwisko **Gryzeldy Missalowej,** zmarłej niedawno wybitnej uczonej, profesora UŁ. W lutym kuratorium rozpoczęło akcję biblioteczną celem zabezpieczenia książek w poniemieckich bibliotekach, instytucjach i domach prywatnych. Informacja: „Zabezpieczono 100 metrów sześciennych książek".

7 marca Miejska Rada Narodowa uchwala apel do rządu o utworzenie uniwersytetu w Łodzi i przedstawia dezyderat w sprawie politechniki. W kwietniu następuje otwarcie Seminarium dla Wychowawczyń Przedszkoli. Dyrektorem zostaje **Hanna Ożogowska,** znana pisarka, autorka książek dla dzieci i młodzieży.

W czerwcu ukazuje się w Łodzi pierwszy numer tygodnika społeczno-literackiego **„Kuźnica".** Nakład oscyluje w granicach 20 tysięcy egzemplarzy.

I tu aż się prosi informacja na temat prasy. **Oto „Diariusz" podaje spis tygodników i dwutygodników, jakie się w Łodzi ukazywały w latach 1945—1947. Zbyt mało miejsca, by je wszystkie wymienić, było ich wówczas w Łodzi dwadzieścia jeden. Równocześnie ukazywało się w Łodzi dwadzieścia miesięczników, dwa dwumiesięczniki („Polonista" i „Zagadnienia Literackie") oraz cztery kwartalniki.**

Kronikarski wehikuł czasu przenosi nas w rok 1946. Artykuł **„Dziennika Łódzkiego"** na najpopularniejszego łodzianina. Można powiedzieć — pierwowzór naszego plebiscytu „Łodzianie roku". A oto wyniki: **Aleksander Zelwerowicz, prof. Tadeusz Kotarbiński, Władysław Broniewski...** Spośród sportowców — bokser **Józef Pisarski.**

Okazuje się, że w roku 1946 istniała **Nagroda Literacka Miasta Łodzi.** Otrzymał ją **Mieczysław Jastrun** za tom wierszy „Rzecz ludzka". Oddział Związku Literatów Polskich wybiera w październiku nowy zarząd. Prezesem zostaje **Jan Brzechwa.** W końcu tego miesiąca odbywa się w Łodzi II Walny Zjazd Związku Literatów Polskich. W Kole Polonistów UŁ student **Tadeusz Drewnowski** wygłosił odczyt pt. „O realizmie pisarskim".

Wreszcie rok 1947. W łódzkich kinach premiera pierwszego po wojnie długometrażowego filmu polskiego „Zakazane piosenki". Ten rok notuje też wizyty gości. Przebywają w Łodzi **Irena i Fryderyk Joliot-Curie,** potem wybitny czeski poeta **Franciszek Halas,** wreszcie **Jacques Duclos** — sekretarz Komitetu Centralnego Francuskiej Partii Komunistycznej. Pod koniec tego roku gościli w Łodzi **Ilja Erenburg** i **Paul Eluard...** Eluard wygłosił odczyt poezji francuskiej w czasie okupacji.

Przytaczam nazwiska już dziś historyczne, cały ten kronikarski zapis jest historią. Pasjonującą i wielce pouczającą. Dzięki prof. prof. **Anieli Kowalskiej** i **Janowi Trzynadlowskiemu,** dzięki dotacji z kasy PAN Łódź otrzymała ważki dokument swoich pierwszych dni wolności. Zapis o wartości nieocenionej.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

Edward Szuster

Płynie czas.
A on: las, las, las...

Rys.: Stanisław Ibis Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

lewym okiem

ESTETYCZNIE I BEZ POŚPIECHU

W wielkanocnym numerze „Polityki" mogliśmy sobie poczytać o ciekawostkach gastronomicznych, zauważonych przez małżonki naszych ambasadorów w różnych krajach. Była to lektura o wiele ciekawsza, niż „Święcone u Radziwiłła Panie Kochanku", którym to święconym raczyła nas prasa rokrocznie od wielu dziesiątków lat.

Ankieta „Polityki", której wynikiem były listy pań ambasadorowych, zawierała m. in. pytanie, co zdaniem autorki warto by przenieść na nasz rodzimy gastronomiczny teren. Gdyby mnie ktoś zadał takie pytanie, odpowiedziałbym kupą truizmów, wyliczyłbym sprawy tak oczywiste, że nigdzie na świecie już zgoła nie dostrzegane — takie jak czystość, grzeczność, uśmiechnięta sprawna obsługa, zgodność karty potraw ze stanem faktycznym. W ankiecie znalazło się natomiast — i to parokrotnie — jeszcze inne marzenie: żeby tak zapanował u nas powszechnie obyczaj, zakorzeniony w wielu krajach — spożywania posiłków bez pośpiechu, spokojnie, w pogodnym, odprężonym nastroju i — co bardzo ważne — zawsze o tej samej porze. Wszyscy wszędzie o tej samej porze...

Bardzo to higieniczny obyczaj: spokojnie i regularnie. Bez pośpiechu, elegancko a systematycznie. Nie na stojaka w straszliwej spelunce z byle niedomytej skorupy, byle co i byle jak, tylko estetycznie, ze smakiem, rozsądnie... Piękny obyczaj. Ale już widzę, co by się działo gdybyśmy chcieli zbliżyć się do takiego ideału.

Próbujemy uniknąć sławetnych szczytów komunikacyjnych, ustalając początek i koniec nauki w różnych terminach dla poszczególnych szkół. Próbujemy o różnych godzinach zaczynać pracę w zakładach, biurach i urzędach, żeby ten sam wysłużony do ostateczności wagon tramwajowy mógł trzy razy obrócić i dowieźć wszystkich do pracy. Nie znamy jeszcze rozsądnego sposobu rozładowania szczytu umieralności w marcu i listopadzie i rozłożenia jakoś tego zjawiska na cały rok, co pozwoliłoby równomiernie wykonywać plany grzebalnictwa. Kupujemy natomiast kożuchy w lipcu i sandały w grudniu, żeby uniknąć szczytów sezonowych i zwiększyć szansę dobrania czegoś pod potrzebę i gust. Ale wyobrażacie sobie, co by się stało, gdyby wszyscy o jednej godzinie chcieli się pożywić?

Nie mamy wcale gastronomii. To co jest, to coś w rodzaju lokali rozrywkowych, oczywiście serwujących rozrywkę w stylu pożal się Boże. Znikają ostatnie małe lokale po parę stolików; ekonomiczniej pracuje wielka piekarnia, wielka pralnia, kawiarnia gigant i restauracja-„kombinat". W takiej ekonomicznej instytucji siada się w wielkiej, coraz większej hali przy jednym z dwustu stolików i czeka się dwie godziny na pierwsze podejście kelnera. Czym większy lokal, tym obsługa musi trwać dłużej. Jeśli dacie tam pięćdziesięciu bardzo sprawnych i szybkich kelnerów, to pięćdziesięciu kelnerów będzie stało w kolejce do kuchni i klient nic na tym nie zyska. Żaden ekonomista nie bierze tego jednak pod uwagę.

Pracujemy osiem godzin, to prawda. Ale czy pozostałe godziny są naprawdę do naszej dyspozycji? Czyniono już na ten temat wiele sondaży. Przejazdy i zakupy pożerają lwią część tak zwanego wolnego czasu. W tej resztce, która zostaje, i to porozrywana na przypadkowe, rozrzucone coraz to inaczej kwadranse, w różnych dalekich od siebie miejscach, pomiędzy autobusem a kolejką w aptece, pomiędzy kolejką na dworcu a kolejką w przychodni, zadyszane, złe, podminowane — w tej resztce musimy zmieścić nasze śniadania, obiady, podwieczorki i kolacje. O pożywieniu się w restauracji-gigancie nie ma mowy. Samoobsługa szybsza? Teoretycznie tak. Ale w gigantycznym barze samoobsługowym stoi trzystuosobowa kolejka tych, co chcą się sami obsłużyć. Małych lokali samoobsługowych nie ma, bo w ogóle żadnych małych nie ma. Pozostaje chłepnąć byle co, zagryźć byle czym, a odłożyć większy posiłek na moment sprzyjający. Czyli zrezygnować z jakiejkolwiek systematyczności i stałych godzin posiłków. Zarówno w skali ogólnej, jak i tej najbardziej indywidualnej.

Człowiek jako istota myśląca a dumna, nie chcąc przyznać się do bezradności — czyni z konieczności — cnotę. Uznaliśmy więc, że przejmowanie się tak przyziemną sprawą jak jedzenie nie jest godne naszej uwagi. To jest sprawa, o której wręcz nie wypada mówić w dobrym, twórczym, pracowitym towarzystwie. Kończę więc, nie chcąc znaleźć się za drzwiami.

ĆWIEK

propozycje

ZAMIAST

Przysłowie głosi, że **„apetyt rośnie w miarę jedzenia".** O prawdziwości tego codziennie przekonują się pracownicy handlu. Klienci już nie zadowalają się byle czym, a bardzo chcieliby, aby różnorodność towarów, ich jakość i nowoczesność dorównywała temu, co można spotkać w sklepach „Pewexu". Dlatego trudno byłoby nie zgodzić się z zastępcą dyrektora „Centralu", Julitą Haj-Fygass, kiedy pisze, że **„handlować, przy istniejącym rynku producenta, jest niełatwo".**

W 7 numerze „Odgłosów" z 1978 roku napisałem felieton pt. „Dyrektor za sklepową ladą", w którym poddałem w wątpliwość istniejący system poznawania rynku przez niektórych producentów. Zastępca dyrektora „Centralu" — Julita Haj Fygass zgadza się właściwie ze mną, gdy pisze, że **„...dotychczas przemysł nie kwapił się z badaniami rynku",** jednakże z jej pisma, nadesłanego w odpowiedzi na mój felieton, wynika, iż krytykę przyjęła do siebie, czyli do placówki, którą reprezentuje, chociaż chodziło zupełnie o coś innego.

Przypomnę tylko, że swego czasu za ladami 9 stoisk patronackich w „Centralu" stanęli przedstawiciele producentów z dyrektorami fabryk włącznie i byli zaszokowani pretensjami, wymaganiami i żądaniami klientów. Julita Haj-Fygass przypomina, że „Central" w 90 procentach zaopatruje się bezpośrednio u producenta, pomijając hurtownie i że posiada więcej niż 100 patronatów z przemysłów lekkiego, metalowego i elektrotechnicznego. Tylko, że jest to argument przemawiający na moją korzyść.

Jestem z całym uznaniem dla „Centralu", a panujący tam nieustannie tłok świadczy, że nie jestem w tej opinii odosobniony. Mogę tylko żałować, że w Łodzi jest jeden „Central", bo przydałoby się więcej tak dobrze prowadzonych domów towarowych. Ale to jest zupełnie inna sprawa.

Co więcej, w pełni zgadzam się z Julitą Haj-Fygass, kiedy pisze:

„Faktem jest jednak, że w dalszym ciągu mają miejsce niepokojące objawy produkcji nietrafionej, wytwarzania bubli itp. Marnotrawstwo surowców, techniki i technologii oraz czasu pracy jest w takich wypadkach oczywiste".

Zgadzam się również, że **„badania rynku są pewnego rodzaju środkiem zaradczym i to leczącym przyczyny a nie skutki".** Cieszę się, że „Central" — **„jedna z nielicznych organizacji handlowych wdraża badania marketingowe",** dostarczając raz na kwartał producentom **„pakiet informacji, dotyczących popytu na ich towary".** Zgadzam się również z tym, że **„raporty „Centralu" nie uwzględniają różnorodności i bogactwa gustów i sądów konsumentów".** Ale to wszystko — co dobrze świadczy o „Centralu" — absolutnie nie podważa moich zastrzeżeń wyrażonych w felietonie „Dyrektor za sklepową ladą".

Przypomnę jeszcze, że we wspomnianym felietonie napisałem: **„Niedobrze bowiem jest, kiedy dyrektor niczym król Kazimierz Wielki musi przebierać się za sprzedawcę, aby poznać prawdy, o których głośno w całym kraju".** Niedobrze jest też, kiedy dyrektora przedsiębiorstwa prezentuje się jako tę najbardziej kompetentną osobę, która może nie tylko udzielić wyczerpującej informacji klientowi, ale również pouczyć sprzedawczynie, jak należy sprzedawać towar produkowany przez „jego" fabrykę, a już zupełnie źle, kiedy przedstawiciel fabryki dopiero stając za ladą sklepową dowiaduje się, czego oczekują od niego klienci. A tak całą tę sprawę przedstawiała informacja w „Dzienniku Popularnym", z którą polemizowałem.

Przypomina mi się tu stary dowcip, kiedy przyszła do lekarza pewna pani z prośbą o radykalny środek antykoncepcyjny. — Szklanka zimnej wody — powiedział lekarz. — Przed, czy po? — zapytała pacjentka. — Zamiast — odpowiedział lekarz. Gdyby ludzie postępowali w myśl tej „recepty", to spadałby nam gwałtownie przyrost naturalny. Ale często mam wrażenie, że przemysł z powodzeniem stosuje tę zasadę.

Oto Iwona Śledzińska relacjonując w „Głosie Robotniczym" wyniki ostatniej giełdy w Poznaniu napisała:

„Bo niby wszystko jest dobrze, a jak przyjdzie co do czego, to ani mały, ani duży, ani chuda, ani korpulentna ubrać się w sklepie nie może. (...) Więc może zamiast mydlić sobie oczy akcjami pozornie użytecznymi zadbajmy raczej o to, by w ogóle na rynku było pod dostatkiem dobrych ubiorów, w różnych rozmiarach. A brakuje ich w tej chwili zdaniem handlu ponad 1 milion sztuk".

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że wielu producentów woli robić to, co im wygodne, co im „robi plan", niż badać potrzeby rynku i je zaspokajać. Dlatego jestem przeciwny wszelkim akcjom, które stosuje się w myśl recepty „zamiast", a które może miałyby jakiś sens, gdyby były stosowane obok. A poza tym trudno mi też zgodzić się na bezmyślną gloryfikację dyrektorów, którzy wprawdzie ponoszą jednoosobową odpowiedzialność za całość spraw fabryki, ale to ich zobowiązuje tylko do umiejętnego wykorzystywania kwalifikacji posiadanego personelu. Nie po to są urzędnicy, aby ich zastępowali dyrektorzy.

MARCIN RODAK

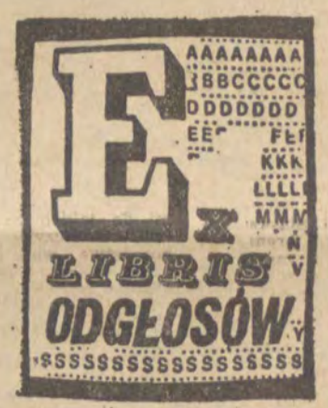

PODRÓŻE DO POLSKI

Seria „Podróże" pod redakcją Pawła Hertza obejmuje dzieła autorów polskich i obcych, poświęcone opisom wojaży, w których na plan pierwszy wybija się problematyka artystyczna i kulturalna. Znajdą się w tej serii zarówno książki wybitnych twórców XVIII i XIX wieku, jak i pisarzy współczesnych.

Ukazały się już „Kartki z podróży" Kraszewskiego i Podróże do Włoch" Iwaszkiewicza. W najbliższych planach przewiduje się wydanie Gautiera „Podróży po Hiszpanii" oraz K. Lacha-Szyrmy „Anglia i Szkocja. Przypomnienia z podróży".

Aktualnie natomiast jest w księgarniach piękna książka Jarosława Iwaszkiewicza „Podróże do Polski". Oto, co sam autor pisze na jej temat: „Tytuł, który tym zebranym w jedno fragmentom nadałem, ma dwa znaczenia. Jedno przenośne, że niby to wszystko, co tu piszę i pisałem, jest jakąś podróżą do ojczyzny; drugi, całkiem konkretny, bo najistotniejszą treścią tych kart są prawdziwe i rzeczywiste podróże do Polski. Tak się moja biografia złożyła, że trzykrotnie w ciągu mojego życia „jechałem do Polski", wybierałem się do mej ojczyzny, jak gdyby zzewnątrz, zmierzałem ku niej — pół pielgrzym, pół turysta — zgadując tylko, co jest jej istotą, co jest jej powabem i mogąc ją porównać z innym środowiskiem, w którym się pierwotnie zasiedziałem".

Niedawno drukowaliśmy fragment tej pięknej książki, dotyczący Łodzi i okolic — dziś rekomendujemy ją Czytelnikom „Odgłosów".

Jarosław Iwaszkiewicz „Podróże do Polski". PIW, cena 60 zł.

BRIC A BRAC

„Bric a brac" znaczy tyle, co rupieciarnia, lamus. Tak właśnie nazwała Halina Ostrowska-Grabska zbiór swoich wspomnień. Autorka jest córką poetki Bronisławy Ostrowskiej i artysty rzeźbiarza Stanisława. K. Ostrowskiego. Wspomnienia sięgają daleko w historię do życia dziadka autorki, zapomnianego dziś artysty rzeźbiarza Kazimierza Ostrowskiego i środowiska artystycznego Wiednia i Warszawy z lat 1869—1880, następnie Młodej Polski (lata 1900—1914), poprzez środowiska artystyczne Warszawy i Lwowa oraz polskie ośrodki w Monachium i Paryżu, aż po lata współczesne 1918—1939.

Ostrowscy tkwili głęboko w kręgach artystycznych swoich czasów, dzięki czemu „Bric a brac" przynosi tak dużo interesujących faktów i informacji o czołowych postaciach polskiej kultury: Dygasińskim, Witkiewiczu, Żeromskim, o obu Brzozowskich (krytyku i poecie), a Kasprowiczu, Dagny i Stanisławie Przybyszewskich, Szymanowskim, Schillerze, Francu Fiszerze, Staffie, Lechoniu, Iłłakowiczównie...

Mamy tu więc niemal encyklopedię polskiej kultury. I choć są to wiadomości różnego kalibru, nigdy nie mają charakteru zdawkowego. Upamiętniają one atmosferę i nieścisłości epoki, posiadają wartość źródłową, bezcenną przy badaniach nad nowszą kulturą polską.

Bez tego rodzaju wspomnień ginie coś bardzo zasadniczego dla kultury, co pozwala lepiej zrozumieć ubiegłe epoki i stanowi o ciągłości rozwoju.

Halina Ostrowska-Grabska „Bric a brac". PIW, cena zł. 100.

PIĘĆDZIESIĄT LAT

W papierach po prof. Konstantym Grzybowskim znalazło się dzieło, które zmarły tragicznie uczony przygotował do druku, ale którego nie zdążył już opublikować. Wydano tę książkę w siedem lat po śmierci Autora w przekonaniu, że — jak dotąd — dzieje Drugiej Rzeczypospolitej nie znalazły równie znakomitego opracowania.

Jest w tej książce nie tylko zadziwiająca wręcz znajomość faktów, zjawisk, procesów, ale również nie spotykane przenikliwość w widzeniu, ich powiązań, w twórczej, nieszablonowej, marksistowskiej interpretacji.

„Jest to praca — pisze w przedmowie Kazimierz Opałek — o szczególnych właściwościach, tak tematycznie jak i pod względem sposobu ujęcia. Mówi ona o sprawach i wydarzeniach bliskich nam czasowo i uczuciowo, naszych własnych, polskich. O sprawach i wydarzeniach, które zarazem były najbliższe samemu Konstantemu Grzybowskiemu, jako nie tylko zwykły przedmiot badania i zainteresowań poznawczych, ale także jako wątek snujący się przez cały jego żywot, wątek kształtujący jego osobowość, jego poglądy i stosunek do otaczającej go rzeczywistości".

Konstanty Grzybowski „Pięćdziesiąt lat", Wyd. Literackie, cena zł 25.

MAGAZYN kulturalny Nr4

NASZ AKT

Artur Rubinstein odznaczony został w Paryżu Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi PRL z Gwiazdą.

Dwie nagrody dla Andrzeja Wajdy: w Kolumbii na międzynarodowym festiwalu w Cartagenie (za „Ziemię obiecaną"), we Włoszech — Premio David di Donatello „Luchino Visconti" za całokształt twórczości. W najbliższych planach filmowych Wajdy znajduje się film „Bez znieczulenia" wg scenariusza A. Holland. Bohaterem filmu jest dziennikarz specjalizujący się w problemach Trzeciego Świata.

Kolekcję 61 oryginalnych akwafort Jana Piotra Norblina zakupi Muzeum Górnośląskie w Bytomiu. Będą to odbitki z oryginalnych płyt artysty. Do tej pory w Polsce przeważały odbitki z późniejszych, francuskich edycji.

W Krakowie staraniem Towarzystwa Fotograficznego powstaje pierwsze w Polsce muzeum historii fotografii. Placówka ta położy nacisk na gromadzenie dokumentacji fotograficznej najnowszej, wojennej i powojennej historii Polski.

Tematem, który wywołał najwięcej dyskusji podczas pierwszych gorzowskich Spotkań Młodych Poetów ze środowiska studenckiego i robotniczego było pytanie: „Czy istnieje poezja robotnicza?".

Nagrodę im. Rembrandta (w Szwajcarii) przyznano Tadeuszowi Kantorowi. W uzasadnieniu nagrody podkreślono, że największą siłę

DONOSY KRAJOWE

oddziaływania zapewniają artyście jego prace w Teatrze Cricot II.

Kontynuacją głośnego warszawskiego Sezonu Narodów będą w drugiej połowie maja i na początku czerwca br. Międzynarodowe Spotkania Teatralne z udziałem zespołów z Europy i Azji.

Konserwacji poddano zabytkowy Dzwon Zygmunta na Wawelu. Wszystkie urządzenia dzwonu działają znakomicie.

Dziekan Wyższej Szkoły Muzycznej, dziennikarka i 74-letni ksiądz — oto trzej spośród 40 członków gdańskiego klubu „Mors". Ulubionym zajęciem „Morsów" jest, jak nietrudno się domyślić, kąpiel w morzu zimą...

Na bakier z kulturą podróżują Polacy. W relacji z pociągu Szczecin—Przemyśl („Trybuna Ludu" nr 52) znaleźliśmy opis istnego „krajobrazu po bitwie": resztki jedzenia, rozlane płyny, pobrudzone butami siedzenia i wyścielane oparcia, urwane klamki, podarte firanki, uszkodzone sanitaria tworzą ten pejzaż. W wandalizmie celują pasażerowie I klasy.

Płodozmian

Dyrektorem stołecznej „Komedii" została Olga Lipińska. Pierwszą jej nową premierą na nowej scenie było „Gwałtu, co się dzieje" Aleksandra Fredry. Recenzenci podkreślają — jako niezwykły w naszym teatrze — „przyzwoity, średni poziom gry komediowej". „Nie rażą w tym przedstawieniu żadne „zgrywy", ani efekty „pod publiczkę" — pisze Roman Szydłowski („TL" nr 68).

Korespondencja

Jak donosi nasz stały korespondent P.D. (al. Kościuszki 65), Koło Naukowe polonistek (sekcja blondynek tlenionych), wystosowało do redakcji „Magazynu" kategoryczny list, z żądaniem ukrócenia niecnych praktyk anonimowego autora, bezczeszczącego arcydzieło Tadeusza Różewicza — poety współczesnego urodzonego w Radomsku dnia 9.X. 1921 r. i porażonego kompleksem wojny (por. nr 1 „Magazynu") „Kartoteka" — piszą polonistki jest utworem wybitnym, a my proszę Pana Redaktora nie pozwolimy etc.

Następują podpisy członkiń Koła i opiekunki mgr Z.

Pracy ideowo-wychowawczej w wyższych uczelniach artystycznych poświęcona była narada w KŁ PZPR z udziałem zastępcy kierownika Wydz. Kultury KC PZPR. E. Mielcarka. Dyskutowano o problemach pracy organizacji partyjnej w wyższych uczelniach artystycznych, o roli SZSP, znaczeniu osobistego przykładu pedagogów — członków partii, o potrzebie podniesienia poziomu nauczania przedmiotów ideologicznych.

*

Nowe premiery w Teatrze Nowym: 4 kwietnia na Małej Scenie „Sędziowie" Wyspiańskiego w reż. A. Wanata, 9 kwietnia po raz pierwszy w Polsce „Zwłoka" Dürrenmatta w reż. K. Dejmka. Na przełomie maja i czerwca łódzki Teatr Nowy gościć będzie — z „Egzaminem" „Dialogusem de passione" i „Operetką" — na Dniach Teatru Polskiego w Sofii.

Spektakle w Teatrze Nowym biją rekordy popularności: odbyły się setne przedstawienia „Emigrantów" i „Cienia".

*

W Ośrodku Propagandy Sztuki czynna była w marcu wystawa pod nazwą „Kinematografia radziecka 1917—1977". Integralną częścią ekspozycji był montaż fragmentów najsłynniejszych filmów radzieckich.

Z ŁODZI I OKOLIC

Przed międzynarodowym konkursem i kongresem akordeonowym (Łódź, 20—24 września)...

*

Wieczorem muzycznych objawień i rewelacji określili krytycy premierę „Wolnego strzelca" w Teatrze Wielkim. Postawiliśmy na najlepszego konia, zapowiadając piórkiem Ibisa — w pierwszym wydaniu „Magazynu" — tę „Bombę sezonu".

*

Problemom wykonawstwa muzyki dawnej poświęcona była międzynarodowa sesja naukowa, zorganizowana w marcu przez PWSM i ŁTM.

*

Już piąty rok między Gliwicami a Łodzią kursują w soboty i niedziele autobusy linii „operowej". Do tej pory Wydział Kultury UM w Gliwicach zorganizował 70 takich wyjazdów.

*

Punkt konsultacyjny dla przyszłych laikarzy zorganizował w „Arlekinie" Wydział Laikarski PWST we Wrocławiu. Punkt czynny jest w każdy piątek od g. 16 do g. 17.

*

8 kwietnia na zaproszenie Studenckiego Stowarzyszenia Jazzowego dwukrotnie koncertuje w Łodzi jeden z najwybitniejszych saksofonistów jazzowych świata — Stan Getz.

WYJAŚNIENIE

Zamieszczone w poprzednim numerze „Magazynu" ogłoszenie: „Rury wydechowej do „Syrenki" poszukuje poeta Mirosław Kuźniak", było jak nietrudno się domyślić, dowcipem primaaprilisowym.

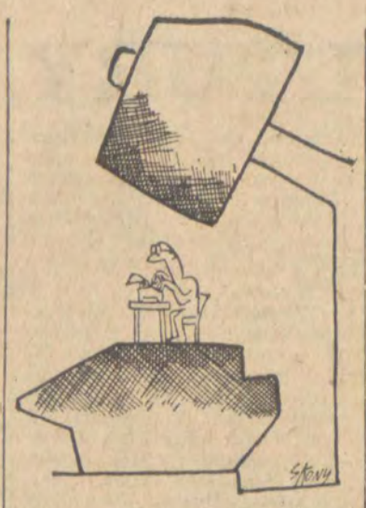

STANOWISKO RECENZJI KOLEŻEŃSKIEJ

„BONANZA W RYCZKOWIE"

W swej najnowszej powieści (zatytułowanej mało wytwornie: „PARSZYWIEC"), nasz kolega Ryszard Binkowski drąży — w ramach protestu przeciwko zaszufladkowaniu go do nurtu „pisarzy wiejskich" — temat małych miasteczek. Drąży temat — podkreślmy — z właściwym sobie znawstwem oraz zapałem.

Życie w małych miasteczkach na tyłach metropolii — to jakże kuszący materiał dla autora powieści sensacyjnej. Ryczków, w którym dzieje się akcja „Parszywca", to „ani wiocha, ani miasto". „Panują tu od pokoleń drobnomieszczańskie ambicje, nikt się nie przyznaje do chłopów", a mieszkańcy „zamiast pracować przy świniach jeżdżą do fabryk i biur w mieście". Do tego „brak rozrywek, żadnej kultury, dno". I tylko co bardziej energiczni osobnicy potrafią przybliżyć sobie „miastowe" ideały, czyli „doszlusować do średniego pułapu, mieć dom, samochód, ładny ciuch".

Lecz najprostsze drogi do realizacji tych ideałów nie muszą być, niestety, najuczciwsze.

W przyjacielskiej rozmowie z niżej podpisanymi, R. Binkowski wyraził się o swej powieści per „kryminał". Przyjdzie nam się zasadniczo zgodzić z autorem. Ale z wątku sensacyjnego wynika jeszcze inny, dydaktyczno-wychowawczy sens. Zanim bowiem — jak powiada R. Binkowski — **„po reformie Ryczków skoczy w górę"** i przestanie być wylęgarnią małomiasteczkowych kompleksów, może być wdzięcznym obiektem masowej społecznej reedukacji i expressowego wywabiania tychże. Nadchodzące Nowe sprzyja tej zbiorowej ekspiacji.

R. Binkowski, wykorzystując ulubiony wśród łódzkich pisarzy motyw powrotu do rodzinnego miasta, deleguje do Ryczkowa w charakterze katalizatora w.w. procesów człowieka, o którym wszakże również wiadomo, iż nie liczy się wśród aniołków. Człowiek ten, brany początkowo za Chlestakowa, potem zaś uznany za wyrodnego parszywca, wkracza w szacie „jedynego sprawiedliwego" i w schemacie westernu w sam środek sitwy i denerwuje ją do tego stopnia, że parę razy z wielkim trudem uchodzi z życiem. Pragnienie reedukacji Ryczkowa w duchu św. Franciszka okazuje się jednak silniejsze. W efekcie „wybucha z tego taki bajzel sądowy, jakiego nie notowały światowe kroniki. Podpalenie, zabójstwo, próba zabójstwa, szantaż, kradzione materiały budowlane, łapówki, części samochodowe z lewizny, goździki na rzodkiewce, zaniżony domiar na plastykowe Mikołaje i skok na jubilera" — oto niektóre rezultaty „Bonanzy" i powszechnego czyśca ryczkowian. „Parszywiec" kończy się zatem happy-endem.

Chcemy również zwrócić uwagę Czytelników na barwne, prawie już egzotyczne obrazy „centrów kulturalnych" miasteczka Ryczkowa, a mianowicie: rynku, knajpy i remizy. Tu wyrabia się i utrwala małomiasteczkowy obyczaj i styl, tu nowa kołtuneria wprawia się w arkana polskiej mowy.

Dla posmakowania wybraliśmy dwa fragmenty tej dynamicznej prozy. Dialog z remizy: — **Pozwól, anioł — mruknął. — Wachle zapluteˀ Białe leciˀ — Nam to, dzidzia, bynajmniej nie paskudzi — szepnął słodko (...) — Skitraj gable — warknął Kramer. — Nie ten taniec i nie ta szprota! — Kozaczek pieprzony — mruknął (...) strażak. — Ciągniem na wozduchˀ"**.

Dialog ginekologa z bywalcami knajpy, ciekawy ze względu na operowanie słowem „dziura":

„— Wokół ginekologów krążą mity...

Malicki rzucił mu rozbawione spojrzenie. — Klientek sporo ze wsi. Kiedyś te ostatnie przed wejściem do samolotu odmawiały zdrowaśki, ale teraz? Wszystko gra! Z tym — dorzucił z rezygnacją — że jak dziura była, tak jest. — A kto zarabia na tej dziurze? — rąbnął Gienio. Opariszy o kufel lusterko wyciskał wągry".

I na koniec — dla odmiany — najładniejszy, naszym zdaniem, fragment opisu (rozdz. „Niedziela", scena przed kościołem):

„Zaskakiwały silniki, prychając obłoczkami spalin; zacinane batami konie popierdywały owsianym gazem"...

(Samodzielne stanowisko d.s. recenzji koleżeńskiej mgr mgr T. i S.)

Z cyklu „KULTURA MASOWA"

SALONOWIEC NA BAZARZE PRZY WODNEJ

Jest to miejsce niezwykłe, bowiem o tej samej porze zastać tu można redaktora Zbigniewa Wojciechowskiego z PR, artystę dramatycznego Korczarowskiego E., elegantki rozgrzebujące stosy „ciuszków" palcami strojnymi w sygnety, otyłą handlarkę pół krwi tureckiej („Tytoń turecki, kaszmir, kakao..."), złodziei samochodowych, cyganów, artystów plastyków, prostytutki, uczniów szkół artystycznych, kryminalistów, miłośników „staroci", bibliofilów, „złotą młodzież" w pełnej krasie, karcianych oszustów i słynnych, przedwojennych bałuckich i widzewskich „kiziorów", fotoreportera prof. W. Parysa (z synem) oraz Salonowca. Prawdziwy to bowiem demokratyczny salon pod gołym niebem!

Kupić tu można nawet dwa lewe kapcie. Co zaś przede wszystkim? Rybki, rowery i akordeony, jabłka, sztućce, śrubki i części do telewizorów oraz aut, alkohol, psa, wędki i klasykę kiczu, wranglery, znaczki, monety i medal „Stefanowi Żeromskiemu w 50 rocznicę zgonu".

W przedświąteczną sobotę brakowało tylko koni i ziemniaków.

Bazar przy Wodnej — godny spadkobierca tradycji rynków: Bałuckiego i Czerwonego, posiada również rozbudowany dział kulturalny. Dominują tu książki („OJCIEC CHRZESTNY" za 400 zł, MAŁA ENCYKLOPEDIA PWN za 800, „Przy SZABASOWYCH ŚWIECACH" Safrina za 100), ale do tego działu zaliczyć wypada również wypłowiało-kiczowate makatki, płaskorzeźbę Mickiewicza z odbitym nosem i „zabytkowy", przerdzewiały samowar.

Sprzedawać, kupować, a jak nie — to przynajmniej oglądać (na fotografiach WŁODZIMIERZA PARYSA).

SOL.(ONOWIEC)

WYŁĄCZAJ ZBĘDNE ŚWIATŁO W CZASIE GRY MIŁOSNEJI

NAGRODA RZEPA
(komunikat)

„Nie słychać tedy rzężenia zagryzanych ofiar, przedzierających się przez dżunglę poezji, a młode lwy krytyki przybierają postaci pospolitych skunksów; jedynym skutkiem owej mimikry jest woń kadzenia, którą przesycone są wszelkie wazeliniarskie recenzje..." („STUDENT" nr 4/1978).

Wychodząc naprzeciw wszystkim docierającym do nas sygnałom i postulatom walki z coraz powszechniejszymi przejawami „krytyki kawiarnianej", „środowiskowej", „koleżeńskiej", „familiarnej", a także bełkoczącej (pseudonaukowej), komunikujemy o ufundowaniu **Nagrody RZEPA.**

Celem Nagrody jest zwalczanie w/w „krytyki" poprzez wydobywanie oraz udzielanie wszechstronnego poparcia głosom myślowo niezależnym, odważnym i krytycznym. Co miesiąc będziemy ją przyznawać za tekst (artykuł, omówienie, recenzję, felieton, wiersz) o tematyce kulturanej i artystycznej, który wyróżnił się na tle innych walorami polemicznymi, pasją, niezależnością od tzw. autorytetów, własnym punktem widzenia. Rozpatrywać będziemy nie tylko teksty drukowane na łamach prasy, lecz także nadsyłane na adres naszej redakcji („Odgłosy", Łódź, Mickiewicza 12, z dopiskiem „Nagroda Rzepa"). Najciekawsze spośród nadesłanych tekstów będą drukowane. Przy rozpatrywaniu kandydatów do Nagrody będą one uwzględniane na takiej samej zasadzie jak materiały już publikowane.

Za okres luty—marzec 1978 r. Nagrodę Rzepą otrzymuje red. Andrzej MAJER za głos polemiczny w sprawie „Przejścia" Jerzego Kaliny, laureata nagrody krytyków plastycznych im. C. K. Norwida („Oklem przechodnia", „ODGŁOSY" nr 9). W klangorze głosów chwalczych i bezkrytycznych, podniesionym przez recenzentów warszawskich (a szczególnie zaś z kół zbliżonych do współorganizatora „Przejścia" — Telewizji) red. A. Majer pozwolił sobie mieć wątpliwości. Gratulujemy!

Z CYKLU: „NA TEN TEMAT KRONIKI MILCZĄ"

RYS. MARIUSZ AMMER

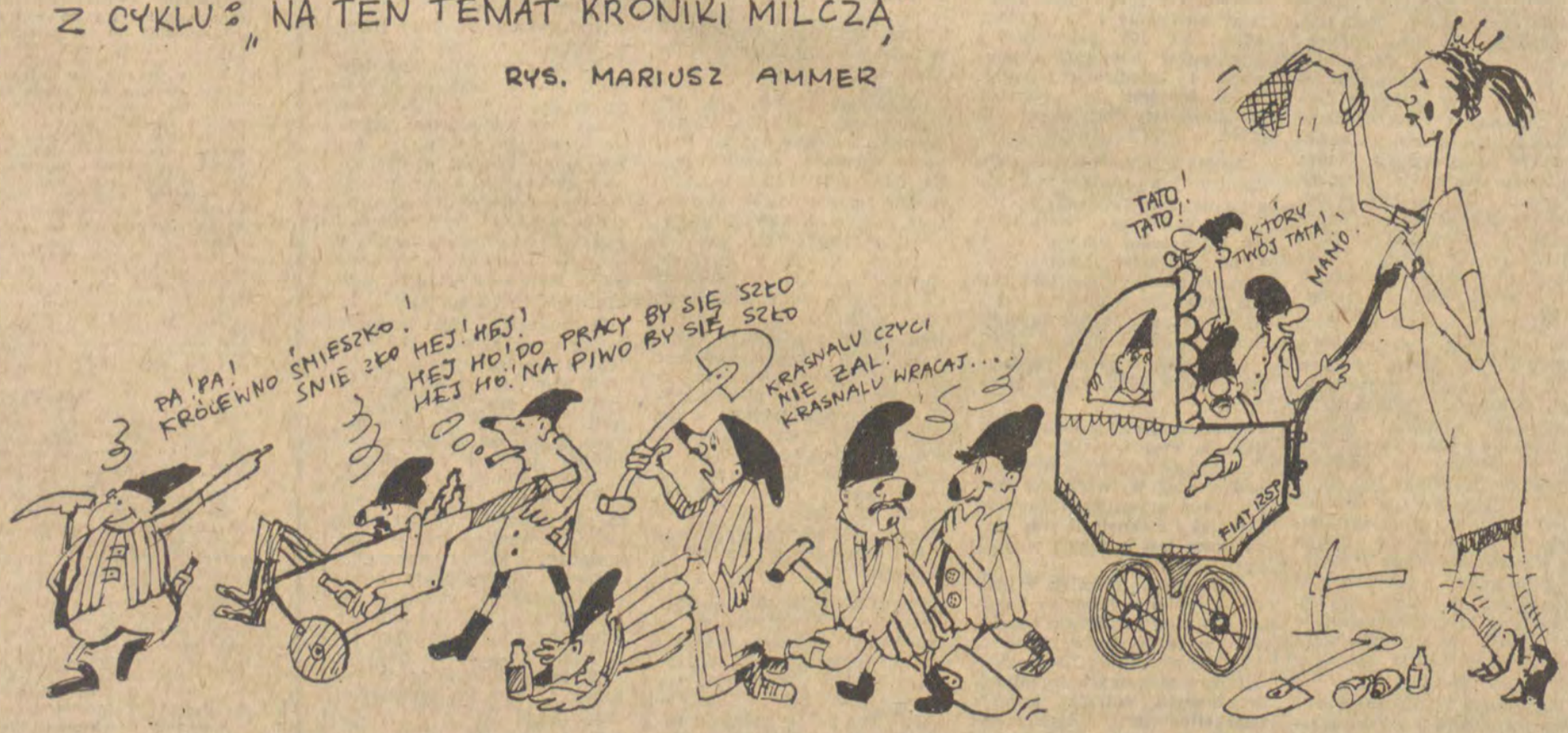

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt 90-438. Telefony 652 44 i 680-99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 745. I-14.